



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

SYRENA

WHITE EAGLE — L'AIGLE BLANC

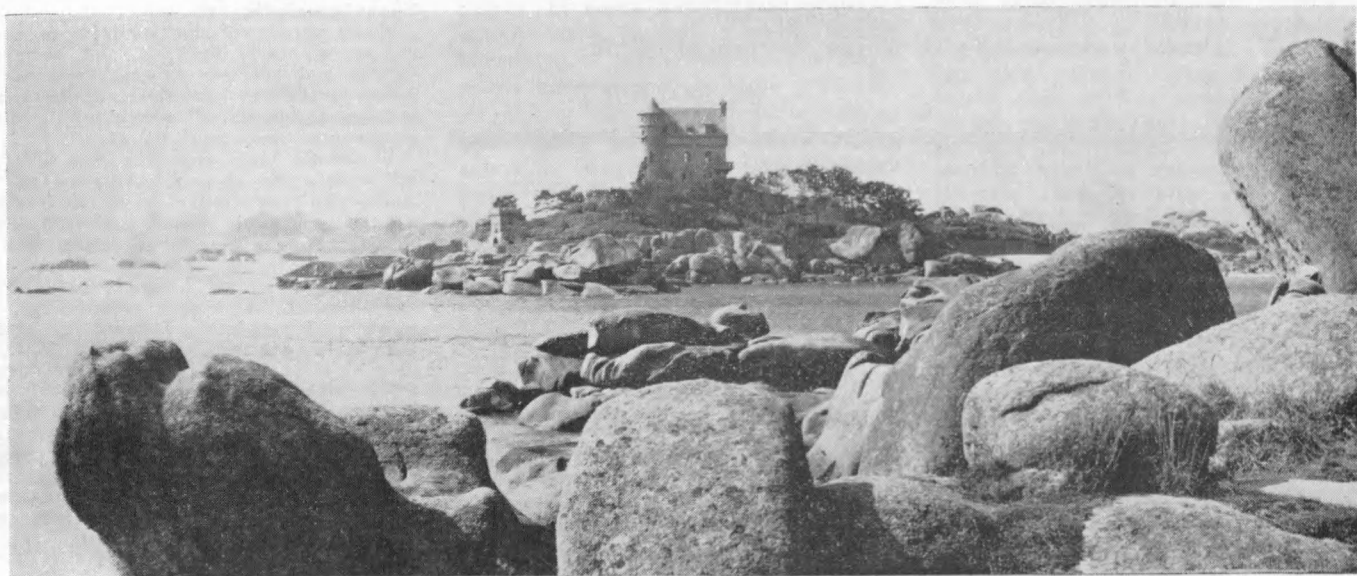
Nr 10/1157 — MAJ 1965

Cena: 3/6; \$ 0.50; 2.50 F.

44 STRONY

W NUMERZE PISZĄ:

Marian Czarnecki, Paweł Zaremba, Stanisław Paczyński, Jan Adamski, Zbigniew Grabowski, Romuald Kubisz, Andrzej J. Chilecki, Jan Claude, Witold Leitgeber, Hilda Jankowska, Stefan Wóycicki, Jakub Rożenek, Zygmunt Szyszko-Bohusz, Zofia Kasprzycka, Kazimierz Glabisz, Zdzisław Stahl, Rawicz, Stanisław Kotwicz.



BRETAGNIA — KRAJ NATCHNIEŃ SIENKIEWICZA

„Quo Vadis“ powstało w Ploumanach (Dep. Côtes du Nord)

Willa w której pisał Sienkiewicz do dziś nazywa się „Quo Vadis“. Położona na wysepce dziwi turystów swą nazwą i cudacznym kształtem. — Zdjęcie górne: niedziela przed kościołem w Pont-Aven (Dep. Finistère).

Cop. Office du Tourisme.

Fp 2156

LISTY DO REDAKCJI

WSTYDLIWE TEMATY

Są tematy poruszane na łamach polskiej prasy emigracyjnej z częstotliwością godną lepszej sprawy. Dotyczą one usterek i błędów naszej bliższej lub odleglejszej historii. Ulubiony to temat, a porusza go się w imię „uczmy się na błędach naszych“.

Tygodniki i miesięczniki nasze są drukowane dla najszerzych warstw społecznych, a nie dla grupy studiującej nauki socjalno-polityczne. Więc siaki taki Polak, żyjący na końcu świata, w jakiejś Australii, czy Południowej Ameryce, a specjalnie ten młody, który Polski nie pamięta, albo jej nigdy nie widział, krótko ucina każdą dyskusję o Kraju stwierdzeniem „Piszecie i mówicie, że u nas było źle przed rozbiorami, było źle w czasie zaborów, naród był wciągany w szkodliwe powstania, było źle w czasie dwudziestolecia międzywojennego i teraz jest źle w Polsce komunistycznej. Co ja mam kochać? ten zbiór pomyłek i błędów, jakim było nasze państwo?”

Z tego rodzaju rozumowaniem piszący te słowa zetknął się więcej niż często i to

wśród młodzieży stojącej na wyższym poziomie intelektualnym, a przynajmniej takiej co czyta i myśli.

Rzecz godna zastanowienia.

Są i inne tematy, dla których stworzono nową nazwę „Tematów Wstydlivych“. Oznaczają się one jedną cechą, że się o nich może szeptało, ale nie mówiło głośno, a już broń Boże nie pisało, przynajmniej do końca 1964 roku. Dopiero trzeba było artykulu p. Stanisława Lisa, umieszczonego w „Orle Białym“ z grudnia 1964, ażeby zerwać ten listek figowy, zakrywający oblicze polityczne naszej emigracji.

A czas już był najwyższy, aby zająć prawdzie w oczy i postawić sobie wyraźne pytanie „Quo vadis emigracjo“. Czas też najwyższy, aby cała prasa nasza, która reprezentuje myśli i kierunki polskiej emigracji politycznej, uderzyła na alarm. Czas najwyższy, aby działacze i przywódcy emigracji otworzyli usta i w sposób dobitny i zrozumiały dla wszystkich określili swoje stanowisko wobec zachodzących przemian.

Nie chowajmy głowy w piasek. Stwierdźmy jasno: jeśli reżym komunistyczny postawił sobie za zadanie rozbroić swego największego wroga poza granicami kraju, jakim jest emigracja polityczna i zamienić ją w powolną sobie „Polonię Zagraniczną“, to sukces, przynajmniej na tym jednym jedynym polu, odniósł bardzo poważny.

Żyjąc od 15 lat w Australii, oddzielony o tysiące mil od innych skupisk polskich, nie mam prawa uogólniać tego zjawiska, biorąc jednak czynny udział w życiu Polaków tutejszych, mam prawo i obowiązek stwierdzić, że proces przemiany na „Polonię“ w tym kraju prawie że dokonany został.

Jak zawsze przykład przyszedł „z warstw oświeconych“.

We wrześniu roku zeszłego, zwołany przez Radę Naczelną, odbył się w Melbourne zjazd nauczycielstwa polskiego z terenu całej Australii.

Zjazd ten prawie jednogłośnie, bo przy jednym głosie sprzeciwiającym się, uchwalił przedłożyć na Zjazd Delegatów Rady Naczelnej wniosek nauczycielstwa polskiego o dopuszczenie do polskich szkół sobotnich dziecięcych pism wydawanych przez reżym w Kraju. A uchwalono to z taką radością, że jedna z delegatek, głosząca zresztą za wnioskiem, nie mogła powstrzymać swego zdumienia, zapytując „nie rozumiem, skąd ten entuzjazm“.

Dwa tygodnie potem odbywa się w Sydney Zjazd Delegatów wszystkich organizacji polskich, wchodzących w skład Rady Naczelnej. I tu powtarza się historia. Na kilkudziesięciu uprawnionych do głosowania tylko pięciu głosuje przeciwko, a znakomita większość wprowadza reżymowe pisemka jako pomoce szkolne do polskich szkół sobotnich, dodając jakby dla uspokojenia sumienia „po uprzednim sprawdzeniu przez Komisję Oświatową“. Jak ta „cenzura“ ma się odbywać, to tylko Bogu Jedyjnemu wiadomo, zważywszy, że wszelkie pomoce szkolne są zakupywane indywidualnie, a nie przez Komisję.

Tak więc dzieci „emigrantów politycznych“ będą się uczyły prawdy o Kraju i jego tradycjach wprost z propagandówek komunistycznych.

Warto zanotować dla jaśniejszego obrazu, że w czasie dyskusji nad powyższą sprawą pod adresem delegata przemawiającego przeciwko wnioskowi, pada z ust jednego z „luminarzy“ ostrzeżenie, aby nie wprowadzać demagogii do obręd.

W świetle tych wypadków, jak słusznie mi wydają się sprawy poruszone na łamach „Kultury“ przez p. Z. Jasińskiego a na łamach „Orla“ przez p. Paczyńskiego. Szkoda tylko, że autorzy na pewno ożywień jak najlepszymi chęciami, nie potrafili powstrzymać się od uwag podyktowanych najwidoczniej osobistym stosunkiem do niektórych zagadnień. Dotyczy to przede wszystkim dawnego „Tygodnika Katolickiego“, a obecnie „Tygodnika Polskiego“ i jego redaktora R. Gronowskiego. Tygodnik ten od lat jest jedynym poważnym pismem w Australii, reprezentującym ideę niepodległościową, dający nie tylko przegląd wydarzeń w Polsce wraz z poczynaniami jej obecnych władców, ale nie wahający się publicznie i ostro piętnować wszelkie zakusy neutralizowania emigracji. Nie wiadomym mi jest choćby jeden wypadek odrzucenia przez redaktora R. Gronowskiego jakiegokolwiek pracy o podłożu niepodległościowym, natomiast lamy tego pisma zawsze są otwarte dla każdego walczącego o czystość ideologiczną emigracji. Prawdą natomiast jest, że z lam

(Dalszy ciąg listów na przedostatniej stronie okładki)

DRZAZGI

Uznanie

*Teraz „Orzeł Biały“ wspaniale się czuje
Bo go chwala. Że się rzadziej ukazuje.*

Niezlomny prorok znad Sekwany

*Na puszczy woła. Każde z jego wołań
Odnosi skutek. W postaci sprostowań.*

A w a n s

*Generata dostał. Jaka wiadomość miła.
Dostałby dawno. Tylko wojna mu przeszkodziła.*

St. KOTWICZ

fraszki

Zmodernizowane przysłowie

*Gdzie się dwóch bije,
Tam niejeden z dostaw wyżyje.*

żonom podróżników na pociechę

*Kiedy człowiek wszystko zwiedzi,
Chętniej potem w domu siedzi.*

Szczyt skąpstwa

*To jest sknera nad sknerami:
Więź się liczy ze słowami.*

RAWICZ



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

Nr 10/1157

MAJ 1965

Rok XXV

MARIAN CZARNECKI

„Europa od krańca do krańca“

— Wizja przyszłości czy taktyka na dzisiaj?

GENERAL de Gaulle ma talent tworzenia nowej terminologii — w ostatnim jego przemówieniu radiotelewizyjnym użył nowego wyrażenia — Europa od jednego krańca do drugiego. Oczywiście oznacza to to samo, co „Europa od Atlantyku po Ural“, co „Europa totalna“, czy też „Europa otwarta na wschód“.

Przemówienie to zaskoczyło obserwatorów polityki francuskiej, nie przez swoją treść, bo nie wniosło nic nowego i prezydent Francji powtórzył dobrze znane tezy swej polityki, może tylko bardziej je uwydatnił, nazwał pewne rzeczy po imieniu, a na innych położył silniejszy akcent. Zaskoczenie dotyczy okoliczności tego przemówienia, zapowiedzianego dość nagle, niemal w ostatniej chwili. Skąd ta nagłość? Dlaczego właśnie teraz? Czy ma ono związek z wizytą w Paryżu sowieckiego ministra spraw zagranicznych Gromyki?

Na tydzień przed przemówieniem premier Georges Pompidou oświadczył, że będzie ono zapoczątkowaniem kampanii wyborczej na prezydenta Francji, (wybory w powszechnym głosowaniu mają się odbyć w grudniu). Tymczasem de Gaulle słowem nie wspominał o tych wyborach, nie zrobił do nich nawet aluzji.

Inni obawiali się, że de Gaulle celowo wybrał termin pobytu sowieckiego ministra w Paryżu, by zapowiedzieć „odwrócenie aliansów“ — odejście Francji od sojuszu atlantyckiego i zdecydowane zbliżenie się do Moskwy i może — kto wie — przygotowanie z Rosją nowego sojuszu, bo zawarty w 1944 roku na lat 20 już wygasł, a nawet został wcześniej wymówiony przez

Kreml, bo w roku 1955. Te obawy nie sprawdziły się, a odwrotnie, mimo tego że to przemówienie miało najbardziej antyamerykański charakter ze wszystkich dotychczasowych wystąpień de Gaulle'a, podkreślił on, że Stany Zjednoczone są sojusznikiem Francji, a nawet więcej — przyjacielem.

Istotnym tematem, myślą przewodnią, tego wystąpienia była polityka niezależności Francji. W pierwszym rzędzie niezależności wobec Stanów Zjednoczonych, a następnie wyniesienie tej niezależności do podstawowej zasady w stosunkach międzynarodowych. Powiedział: „Jeżeli chodzi o problemy, jakie się wyłaniają w reszcie świata, to nasza niezależność prowadzi nas do akcji zgodnej z naszą własną koncepcją, a mianowicie: żadna hegemonia sprawowana obojętnie przez kogo, żadna obca interwencja w sprawy wewnętrzne jakiegoś państwa, żaden zakaz w stosunku do jakiegokolwiek kraju utrzymywania pokojowych stosunków z kimkolwiek, nie może mieć usprawiedliwienia. Odwrotnie, uważamy, że wyższy interes rodzaju ludzkiego nakazuje, by każdy naród odpowiadał sam za siebie...“

Ta zasada jest szeroko komentowana. Jedni uważają, że de Gaulle odpięra tu wymówki za uznanie Chin komunistycznych i nawiązanie z nimi stosunków dyplomatycznych. Niemcy obawiają się, że może to być zapowiedź uznania państwa wschodnio-niemieckiego Ulbrichta, jeszcze inni (niektórzy gaulliści) widzą w tym apel do narodów Europy środkowo-wschodniej, by uwalniały się od hegemonii sowieckiej,

(Ciąg dalszy na str. 2)

OSTRZEŻENIE PRZED NOWĄ DYWERSJĄ

Prasa emigracyjna w wolnym świecie podaje ostatnio wiadomości o wszczęciu przez polskich komunistów nowej akcji dywersyjnej przeciw emigracji. Obiektem specjalnego „zainteresowania“ reżymu mają być w tej nowej fazie wszelkiego rodzaju organizacje kombatanckie na Zachodzie, ze Stowarzyszeniem Polskich Kombatanatów na czele.

Akcją kieruje sam szef Bezpieki gen. Moczar pod firmą komunistycznego „Związku Bojowników o Wolność i Demokrację“.

Nowa oferta „współpracy“ dotyczy szeregu „niewinnych“ tematów, jak opieka nad grobami, pomniki bohaterów, wspólnota wspomnień z okresu walk, wspólnego obchodzenia uroczystości rocznicowych, jak np. Monte Cassino itd. Powołana przez władze ZBoWiD-u specjalna „Komisja więzi z Polonią Zagraniczną“ operację swoją ma rozpocząć od wylawiania z organizacji kombatanckich ludzi nastawionych „patriotycznie“. Odpowiednio zredagowany oświadczenie zostało już rozestany przez tę „Komisję“ do starannie dobranych niektórych kombatanatów na Zachodzie. Poza tym do akcji wciągnięto już niektóre pisma pro-reżymowe na Zachodzie, jak np. wychodząca w Londynie „Kronika“.

Polskie uciążliwość polityczne i polska emigracja przedwojenna, jako ostatnie zapory przeciw usankcjonowaniu niewoli komunistycznej w Kraju są od dwudziestu lat przedmiotem ataku reżymu, który zmierza konsekwentnie do zlikwidowania emigracji jako czynnika politycznego w walce narodu polskiego o jego prawa.

Przeżywaliliśmy w tym dwudziestolecu różne okresy, od furiackich napaści, oszczerstw i szantażów do umizgów i apeli. Dotychczasowe wysiłki reżymu nie dały oczekiwanego przezeń rezultatu.

Stowarzyszenie Polskich Kombatanatów przy różnych okazjach kładzie w swych uchwałach i publikacjach duży nacisk na konieczność zachowania odporności, przestrzega przed bagatelizowaniem wysiłków reżymu i podkreśla potrzebę zdecydowanego przeciwstawiania się rozkładowej robocie komunistów warszawskich.

W związku z „nowym etapem“ akcji dywersyjnej podjętej przeciw organizacjom kombatanckim, uważamy za nasz obowiązek ponownie przestrzec przede wszystkim b. żołnierzy żyjących na Zachodzie przed szkodami, jakie może przynieść akcja ZBoWiD-u zarówno sprawie, której służymy, jak i osobiście tym, którzy w naiwności swej pójdą na lep propagandy komunistycznej.

Kto ulegnie złudzeniu i da się raz wciągnąć do współpracy z ZBoWiD-em na „niewinne tematy“, ani się spostrzeże jak się stanie narzędziem służącym obcym, wrogim narodowi polskiemu celom.

Wyciąganą do nas obtudnie rękę funkcjonariuszy Bezpieki odrzucamy.

ZARZĄD FEDERACJI ŚWIATOWEJ
STOWARZYSZENIA POLSKICH
KOMBATANATÓW

tak jak Francja uwolniła się od amerykańskiej. Miało to być rzekomo również wyjaśnieniem wobec opinii publicznej, że mimo zbliżenia się do Rosji, czy też „flirtu“ z nią, jak to się popularnie określa, de Gaulle z pewnych postulatów swej polityki nie rezygnuje. Dlatego też to zadeklarował publicznie w chwili pobytu Gromyki w Paryżu — by nie było nieporozumień.

Ale Kreml tak tego nie zrozumiał, bo korespondenci francuscy z Moskwy donoszą, że mowa de Gaulle'a wywołała tam zadowolenie, zwłaszcza ta teza niezależności Francji i chęć utrzymania stosunków ze wszystkimi krajami, obojętne jaki jest ich ustrój. Kreml nie liczy na możliwość odłączenia Francji od jej zachodnich sojuszników, tak jak uważałyby za nierealne próby oderwania od Moskwy członków Paktu Warszawskiego.

Większość komentarzy francuskich jest temu przemówieniu nieprzychylna. (Londyńskich egzegretów polityki de Gaulle'a proszę o niepomawianie mnie o „antygauilizm“, bo takie nie są moje osobiste przekonania. Ale do obowiązków korespondenta należy przedstawianie wydarzeń, reakcji i opinii, a nie narzucanie czytelnikowi swych własnych mądrości. Z faktów i z ich różnych oświetleń inteligentny czytelnik wyciągnie sam właściwy wniosek). Tym negatywnym opiniom nie ma się co dziwić. We Francji większość prasy i to zdecydowana, wszystkie związki zawodowe, prawie wszystkie kluby polityczne, które są pewną kuznią opinii elit — a jest ich ponad sto — i wreszcie większość tradycyjnych partii politycznych jest antygauilistyczna. Progaullistowskie opinie znajdują się właściwie tylko w środowisku gaullistów, a więc w ich szczupłej prasie i w szeregach partii UNR-UDT i niezależnych republikanów.

Ne czoło krytyków wybija się poważny dziennik „Le Monde“ — należą niewątpliwie do elity dzienników światowych, jak go ocenił kilka lat temu „New York Herald Tribune“ — gdzie jego dyrektor Beuve-Méry, występujący w ważnych okazjach pod pseudonimem Sirius, pisze: „Pod pokrywką antyamerykańskiego festiwalu, ofiarowanego panu Gromyce i narodom „trzeciego świata“, generał de Gaulle otworzył swą kampanię wyborczą“.

A więc mimo, że de Gaulle nie zrobił nawet aluzji do grudniowych wyborów prezydenckich, „Le Monde“ uważa to przemówienie za wyborcze. Podobnego zdania są i inni komentatorzy. Prezydent Francji z zagadnienia zachowania z takim trudem uzyskanej niezależności zrobił tak wielki problem, że prze-

ciętny Francuz reaguje w sposób prosty: takiej polityki byle kto nie jest w stanie kontynuować. I rzeczywiście, jeden z czołowych gaullistów, Louis Vallon, pisze: „Któż inny mógłby jutro kontynuować tę politykę o dalekim zasięgu lepiej od samego de Gaulle'a?“ Innymi słowy, jeżeli zgadzacie się z tą polityką, (a ta niezależność i wielkość niewątpliwie pochlebia przeciętnemu Francuzowi,) to w grudniu musicie głosować na de Gaulle'a. Nic dziwnego, że Sirius twierdzi, iż metoda jest zręczna i dość nowa.

Drugi wielki dziennik „Figaro“ pisze, że „ustępy poświęcone Francji żywo zaniepokoją tych, którzy uważają, iż nasz kraj odcięty od swych tradycyjnych sojuszników, ryzykuje, że zostanie jednego dnia „mocarstwem otoczonym słabością“.

Mówiąc o Europie de Gaulle bardzo wyraźnie wypowiedział się przeciw jakiegokolwiek integracji. Już nie mówi nawet o „konfederacji“ czy „Europie państw“, a tylko o „solidarności sześciu“. Sirius na to odpowiada: „Jak stworzyć Europę (...) w której każdy zachowywałby w zasadzie pełną suwerenność ale faktycznie przyłączył się do koncepcji francuskich w systemie stosunków dość bliskich do tych, jakich Francja nie chce za żadną cenę ze Stanami Zjednoczonymi?“. Maurice Faure, szef radykałów, określa to jako „odwrócenie się tyłem do wszystkich nowych idei, jakie od dwudziestu lat narodziły się na Zachodzie w stosunkach między narodami“, a sędziwy b. premier Paul Reynaud, który przed wojną „odkrył“ de Gaulle'a i w czerwcu 1940 r. mianował go w swym rządzie podsekretarzem stanu, jest zdania, że „ten egoizm nie jest godny przeszłości Francji i może nas zaprowadzić nad przepaść“. Wreszcie rzecznik skrajnie lewicowego odtamu socjalistów P.S.U. nazywa to wystąpienie „nacjonalistycznym bluffem“. Przesadny nacjonalizm zarzucają zresztą de Gaulleowi prawie wszyscy krytycy, a broni go przed tym sekretarz generalny gaullistowskiej partii UNR Jaques Baume: „Francja wierna swej historii i swemu miejscu, powinna grać istotną rolę w międzynarodowym koncercie przez politykę wolną od jakichkolwiek zależności. Powinna co raz bardziej stawać się więzłem między narodami, a nie stawką ani satelitą. Ta niezależna polityka nie prowadzi ani do odosobnienia ani do wyświechtanego nacjonalizmu“.

To tylko próbka różnych opinii, bo trudno przytaczać wszystkie. Ale de Gaulle z nimi mało się liczy, bo on przez radio i telewizję zwraca się i

trafia wprost do mas francuskich i na ich opinii mu zależy. Elity i działacze związkowi czy polityczni interesują go mało. Znanie jest jego powiedzenie: „Gdybym w 1946 roku miał telewizję...“ — (gdy usunął się od władzy na skutek ostrego konfliktu z partiami politycznymi i nie miał środka oddziaływania na masę).

Nas Polaków interesuje jeden z ostatnich ustępów tego przemówienia: „Pojawienie się narodu o wolnych rękach, jakim staliśmy się, zmienia oczywiście grę światową, która od Jałty zdawała się być ograniczona do dwóch partnerów. Ale ponieważ w tym podziale świata między dwie hegemonie i w wyniku na dwa obozy, wolność, równość i braterstwo narodów zdecydowanie nie znalazły swych praw, inny porządek, inna równowaga są niezbędne dla pokoju. Któż może je lepiej podtrzymać od nas, pod warunkiem że zostaniemy samymi sobą?“

De Gaulle jest wierny swej idei obalenia jałtańskiego porządku. Tylko tu wylania się zawsze ten sam znak zapytania: jakie ma na to możliwości, na czym ten nowy porządek będzie polegać i kiedy to może nastąpić? W koncepcjach, które wylaniają się z oświadczeń, często bardzo mglistych, prezydenta Francji, nawet bardzo bliscy mu ludzie nie zawsze są w stanie odróżnić, co w nich stanowi realny plan działania na najbliższe lata, a co jest wizją na daleką przyszłość, która często stanowi tylko logiczne wypełnienie pewnego obrazu, pewnej całości. Bo koncepcje de Gaulle'a zawsze mają logiczną całość; to nie są chaotyczne, niepowiązane ze sobą szkice czy fragmenty. On widzi tę swoją Europę, ale nigdy nie powiedział jak daleko zajdzie na drodze do jej urzeczywistnienia.

A jego następcy? Są jak mgławica przez którą nic nie widać i która sama jest bezkształtna.

Marian Czarnecki

NOWE WYDANIE
głośniejszej książki

STEFANA KORBOŃSKIEGO

„W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ“

w oprawie płóciennej

Cena: £3.3.0, \$9.00, 40.00 F.

„GRYP“ — 171 Battersea Church Road,
London, S.W. 11.

PAMIĘĆ I SPRAWIEDLIWOŚĆ

Hasło na 25-tą
rocznicę zbrodni katyńskiej

Dwudziestą piątą rocznicę Katynia uczczono w Londynie obchodem w dniu 10 kwietnia 1965, na który przybyli czołowi przedstawiciele polskiego społeczeństwa Londynu z gen. W. Anderssem na czele. Scenę sali teatralnej przyozdobiono wstęgami o barwach narodowych i żałobnych dookoła napisu „Katyń 1940-1965“.

Zagałę akademię prezes zarządu Stowarzyszenia B. Sowieckich Więźniów Politycznych, gen. K. Rudnicki, który powitał zebranych i wezwał do uczczenia pamięci ofiar Katynia przez powstanie. Odmalował dalej grozę okrutnego masowego mordu bezbronnych jeńców polskich i jako b. zastępca szefa armii polskiej w Sowietach w 1941 roku przedstawił następnie ogromną stratę jaką armia poniosła i trudności na jakie w organizacji swojej natrafiła. Przez likwidację całego niemal korpusu oficerskiego — mówił — Moskwa zamierzała doprowadzić do obsadzenia naszego wojska sowiecką kadrami wojskową. Z sowieckiej odpowiedzialności za Katyń wszyscy dziś zdają sobie sprawę i jedynie polityka koegzystencji przeszkadza to ujawnić i postawić przed sądem morderców, co niemniej pozostaje nadal naszym, polskim celem.

Dr Zdzisław Stahl wygłosił z kolei prelekcję, w której stwierdził na wstępie, że jako „byli więźniowie sowieccy, później żołnierze armii, która pod dowództwem gen. W. Andersa wyszła z Rosji na Środkowy Wschód i przekształciła się w 2 korpus — czuliśmy się zawsze szczególnie blisko związani z ofiarami Katynia. Byli to nasi dawni i niedoszli towarzysze broni, byli to współwięźniowie w sowieckiej niewoli, którzy nie doczekali się wolności. Od pierwszej publicznej manifestacji w kwietniu 1950 roku w londyńskim Westminster Hall w 10-lecie zbrodni co roku urządzamy obchód katyński i od nas obyczaj ten rozpowszechnił się na inne kraje polskiego rozsiadlenia urodzonego.

Kiedy zastanawiałem się, jak ująć to, o co w tych obchodach przede wszystkim chodzi, doszedłem do przekonania, że najlepiej oddadzą tę treść dwa słowa: pamięć i sprawiedliwość. Pamięć osobista należy się zmarłym od rodziny i przyjaciół, pamięć także narodowa tym, którzy padli w służbie dla ojczyzny, a sprawiedliwość, sąd i kara należą się zbrodniarzom, jeśli śmierć zadano ręką morderczą“.

Pełny tekst przemówienia podamy w numerze czerwcowym.

POLSKA MACIERZ SZKOLNA ZAGRANICĄ



DAR NARODOWY 3 MAJA 1965 R.

Wzywamy wszystkich Polaków do udziału w zbiorce i do ofiarności na cele oświatowo-szkolne na emigracji. Potrzeby są olbrzymie, a środki jakimi dysponuje Polska Macierz Szkolna nie wystarczają na rozwinięcie pełnej działalności.

Znaczenie działalności Polskiej Macierzy Szkolnej wyraża serdecznie przysłane z Polski

BŁOGOSŁAWIENSTWO KS. KARDYNAŁA PRYMASA POLSKI

940/65/P.

Warszawa, dnia 2 marca 1965 r.

Pragnę wyrazić swą radość, że Polska Macierz Szkolna Zagranicą już od 11 lat kontynuuje piękną tradycję przedwojennej Macierzy zachowywania i rozwijania mowy i kultury polskiej wśród młodzieży polonijnej, że prowadzi szkoły sobotnie wspólnie z innymi organizacjami religijnymi i społecznymi w Wielkiej Brytanii, że stała się centrum wydawnictw, podręczników i pomocy szkolnych — oraz pośrednictwa pedagogicznego dla polskich ośrodków szkolnych na całym świecie, i że wydaje czasopisma „Wychowanie Ojczyście“ dla nauczycieli i rodziców, a czasopismo „Dziatwa“ z dodatkiem „Razem Młodzi Przyjaciele“ dla dzieci i młodzieży polonijnej.

Wielki ten wysiłek pedagogiczny i oświatowy opiera się finansowo na zbiorce na „Dar Narodowy 3 Maja“ oraz na pomocy ludzi dobrej woli, którym droga jest mowa ojczyzna i skarby duchowe tysiącletniej polskiej tradycji katolickiej.

Całym sercem błogosławię temu ofiarnemu trudowi Polskiej Macierzy Szkolnej Zagranicą i życzę, aby Jej wysiłki nadal wydatnie zespalały młode pokolenia Polonii zagranicznych z Krajem ojczystym, który przygotowuje się do obchodów jubileuszowych Tysiąclecia Chrztu Polski oraz, aby w podniosłych umysłach i szlachetnych sercach tej młodzieży kwitnęła żywa wiara w Boga Ojca naszego Niebieskiego, dziecięca ufność w opiekę nad nami Matki Boskiej Częstochowskiej, Królowej Polski, tudzież ofiarna miłość w codziennej służbie Bogu i bliźnim.

† Stefan Kardynał Wyszyński
PRYMAS POLSKI

NIEMIECKIE ODSZKODOWANIA

W pierwszych dniach lutego obradował w Frankfurcie nad Menem, zwołany z inicjatywy niemieckiej unii ruchów oporu i pod egidą międzynarodowej organizacji U. I. R. D., „Europejski parlament prześladowanych przez nazizm“. W ciągu 4-dniowej sesji tego „parlamentu“, w której wzięli udział przedstawiciele 80-ciu organizacji, reprezentujących pół miliona poszkodowanych, rozpatrywano i przedyskutowano najważniejsze zagadnienia odszkodowań niemieckich, najbardziej aktualne w chwili obecnej, gdy pod obrady „Bundestagu“ wchodzi w ostatecznej fazie projekt końcowy ustawy odszkodowawczej. Bundestag zamierza w najbliższych tygodniach ustawę tę przeprowadzić; rząd federalny jak i większość parlamentu w Bonn uważają, że uchwalenie ustawy końcowej miałyby ostatecznie załatwić wszystkie pretensje poszkodowanych.

W wyniku obrad, który zakomunikowano prasie i który delegacja „parlamentu poszkodowanych“ pragnie przedstawić osobiście Kanclerzowi prof. Erhardowi, wypracowano w 3 komisjach zjazdowych szereg propozycji, zmierzających do poprawy całego ustawodawstwa odszkodowawczego. Sprzeciwiono się zamiarowi rządu, by obecny projekt uznać jako ustawę końcową. Stwierdzono przez prezydium zjazdu na konferencji prasowej, że dotychczasowa ustawa traktuje bardzo niesprawiedliwie grupy poszkodowanych ze względu na ich narodowość czy też przynależność do jednej z mniejszości narodowych. Zajęto się również zagadnieniem tych prześladowanych, którzy po terminie prekluzyjnym, t. j. 1.10.1953 r., znaleźli się w wolnej części świata.

Parlament poszkodowanych wyraził również w sposób stanowczy przekonanie, że zbrodnie hitlerowskie nie mogą ulec przedawnieniu w dniu 8. maja 1965 roku.

Wszystkie niedomagania nowego projektu ustawy w stosunku do narodowo prześladowanych, jak i nieuwzględnione dotychczas mniejszości narodowe przedstawił w referacie w czasie obrad komisyjnych mec. M. Chmielewski, jako przewodniczący komisji prawnych wszystkich organizacji uchodźczych. Rezolucję zaproponowaną w sprawie narodowo prześladowanych przyjęto jednomyślnie.

Grupa narodowo prześladowanych była licznie reprezentowana w czasie tych obrad.

Ze strony polskiej przybyli: Prezes K. Odrobny z Velbert (Niemcy), mec. Bogdański z Hamburga, z Londynu

„Tak jak nie chciał bym być sługą, tak też nie chciał bym być panem. Oto moje wyobrażenie demokracji. Wszystko co od tego wyobrażenia odbiega nie jest demokracją“.

Abraham Lincoln

W roku 1860 nazwisko Abraham Lincoln nie wiele znaczyło w Ameryce. Dla jednych był przedmiotem nienawiści, dla innych pogardy. Inni, tych była większość, pokładała w nim nadzieję, lecz i ona przytłumiona była powątpiewaniem.

Poza Ameryką jego nazwisko nie znaczyło nic.

A gdy w dniu 4 marca 1861 roku składał przysięgę prezydencką że „będzie strzec całości Unii“ słowa jego zakrawały na ironię. Bo w tym dniu Ameryka rozpadła się już była na dwa państwa, na dwa światopoglądy i na dwie kultury. Lecz gdy po czterech latach wojny, po latach ofiar, trudów, wątpliwości i załamań, kula fanatyka przecinała pasmo życia Lincoln, współcześni, nie tylko Amerykanie, widzieli w nim wielkiego człowieka. Bo dokonał rzeczy na pozór niemożliwych. Unia była ocalona, naród amerykański stał się faktem historycznym i kulturowym, a ustrój demokratyczny udowodnił światu, że potrafi się zdobyć na najwyższy wysiłek we własnej obronie, że nie jest bynajmniej zaprzeczeniem ładu i organizacji. Świat dziwił się Lincolnowi i poważał go. Poważał go także dlatego, że czynem, a nie tylko słó-

prezes Związku b. Kacetowców St. Benedykt i mec. M. Chmielewski. Ukraińców reprezentowali prof. Kordiuł i p. Melnyk, Jugosłowian sekretarz Centralnego Związku p. Sedlar, Litwinów p. Valdis. Z Paryża przybyła mec. E. Szabelska.

Poseł Hirsch wygłosił w czasie zebrań inauguracyjnego dłuższe i rzeczowe przemówienie, krytykując niedomogi dotychczasowej ustawy, którą należałoby zastąpić nowym projektem — dodając jednak, że jest to w obecnych warunkach niemożliwe.

W czasie inauguracji w imieniu narodowo prześladowanych przemawiał prezes St. Benedykt, składając zasadnicze oświadczenie w imieniu Związku polskiego i innych uchodźczych związków, oraz podkreślając z ubolewaniem, że Polska nie jest objęta ustawodawstwem odszkodowawczym.

ABRAHAM

wem, zadał śmiertelny cios zasadzie wyższości człowieka nad człowiekiem. Po Lincolnie niewolnictwo, nawet tam gdzie się ostało, szukać musiało i do dziś szuka usprawiedliwienia i maski. Broni się go kłamstwem, zakrywa się go innym słowem, bo nikt nie ma odwagi jawnie się do niego przyczynić.

Powszechnie przekonanie okazało się mocniejsze niż uczone wywody historyków. Nazwano wojnę pogardliwie „wojną o murzynów“. Była „wojną o murzynów“. Nie tylko o nich i nie tylko za nich. Bo była czymś więcej. Była wojną o wolność i o godność człowieka, „który rodzi się sobie równy“.

Po stu latach pamięć Lincolną nie zszarzała. Przeciwnie jaśnieje coraz mocniej.

Wiele w tym demagogii, wiele przemądrzałej filozofii, wiele doktrynerskich wyolbrzymień. Wiele gorzkiego sarkazmu. Po co temu przeczyć? Przecież „w sto lat po Lincolnie“ równouprawnienie białych i czarnych Amerykanów jest ciągle ideałem, o który ciągle trzeba walczyć. Więc pamięć o Lincolnie to jakby wyrzut sumienia. Albo smutne przyznanie, że na tym odcinku Ameryka wygrawszy wojnę sama z sobą, przegrała przecież sama z sobą pokój. A inni, szerzej patrzący, mówić mogą, że w drugiej połowie wieku dwudziestego ludzkość dalsza jest może upowszechnienia wolności i poszanowania człowieka niż była przed laty pięćdziesięciu. Wiek dwudziesty, wiek postępu technicznego, dobrobytu, upadku kolonializmu jest przecież wiekiem socywieckiego komunizmu, wiekiem obózów koncentracyjnych, ludobójstwa i niewoli ideologicznej, cięższej niekiedy od niewoli fizycznej.

Sporo w tym prawdy, lecz nie cała prawda. Bo gdyby nie amerykańska Wojna Domowa, gdyby nie siedemset tysięcy poległych w niej Amerykanów, gdyby nie wielkość wizji i siła woli Abrahama Lincoln, nie było by dziś o co walczyć. Nie istniał by ideał wolności, w tym integralnym, pełnym a nie tylko politycznym znaczeniu. Historia nie zna słowa „gdyby“, więc dociekania czy gdyby Lincoln nie zabito 14 kwietnia 1865 zdołał by doprowadzić do psychicz-

LINCOLN

nego, a nie tylko formalnego, zjednoczenia zwycięzców i pokonanych są próżną spekulacją. Być może, że nie pozwolił by na upokorzenie pokonanych Południowców i tym samym zapobiegł reakcji nienawiści, której ofiarą stali się ich czarni współobywatele. Lecz czy sam Lincoln był by przez to większym niż był? W sądzie sprawiedliwym, a tym jest sąd historii lub tym być powinien, intencja równie jest ważna co dokonanie. A dziś, z perspektywy tak długiego czasu do wielu tak dokładnie przeanalizowanych zasług Lincolna dołącza się jedna, być może najistotniejsza. Polega na tym, że nauczył potomnych sztuki odróżniania złego od dobrego nie tylko w codziennym życiu lecz także w życiu politycznym i społecznym. Zło jest złem bez względu na to kto je popełnia i dla jakich je popełnia celów.

Lincoln udowodnił, że zasady moralne mają pierwszeństwo nad literą prawa i że mają pierwszeństwo nad „racją stanu“. I co dziwniejsze, udowodnił, że w oparciu o te przekonanie można rządzić, można prowadzić wojnę totalną i można zwyciężyć.

Bo choć nie związany ściśle z żadnym wyznaniem, Lincoln był chrześcijaninem. W miłości bliźniego widział podstawy kodeksu moralnego, który obowiązuje wszystkich ludzi; a przede wszystkim jego samego.

W ogromnej, ponad sześć stóp wzrostu mierzącej postaci, kościstej, niezdarnej, chudej i obdarzonej siłą fizyczną nabytą w ciężkim trudzie pracy na roli, w lesie i na tratwach rzecznych, czaiła się moc charakteru, siła woli i upór. Pod wysokim czołem, w głęboko osadzonych oczach tkwiła mądrość życiowa, szybka myśl i rzetelność przekonań etycznych. Jego filozofia polityczna wykształciła się przede wszystkim drogą refleksji myślowej i bacznej obserwacji życia. Miała już kształt gotowy, gdy stanęło przed nim zadanie jakie nie przypadło żadnemu Amerykaninowi przed nim i po nim. Mógł zmieniać taktykę, lecz nigdy nie potrzebował wybierać między poglądami, przerzucać się z jednej ostateczności w drugą. Nie spodziewał się sytuacji, która mogła by go zaskoczyć. Nie za-

TWÓRCA WSPÓŁCZESNEJ DEMOKRACJI

B.D.I.C.

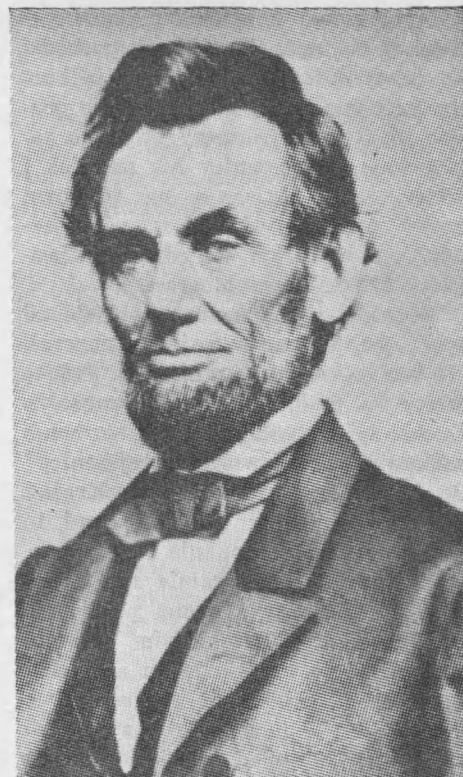
skoczyło go też nigdy nic. Jego spokojna pewność siebie nie miała w sobie nic z bufonady. Wierzył w słuszność założeń etycznych, wierzył w demokrację, tę demokrację która jest chlebem codziennym a nie zlepkim hasel i doktryn. Wiedział, że jeśli upadnie Unia amerykańska upadnie z nią razem demokracja, nie tylko w Ameryce. Jego demokracja była demokracją egalitarną, demokracją sprawiedliwej szansy i równego startu życiowego, demokracją, która nie zawaha się użyć siły w swej obronie.

Z przekonań tych wynikało wiele. Skoro mówił, że wierzy w rząd z ludu, przez lud i dla ludu miał na myśli właśnie rząd. Rząd silny, lecz odpowiedzialny przed rządzonymi i rządzący w oparciu o ich wolę. Udowodnił, że rząd taki może istnieć, że może się ostać.

Zdumiałby się zapewne, gdyby mu powiedziano, że jego mowy uznają Anglicy za pomniki krasomównia godne porównania z Cyceronem. Mowy Lincolna, mowy człowieka, który nauczył się sam pisać i czytać i nigdy nie był w żadnej szkole. Nie uwierzyłby gdyby mu powiedzieli pochlebcy (jakżeż mało schlebiano człowiekowi nazwanemu przez zarozumiałych polityków „małą z Illinois“!) że dzieło jego życia ugruntuje demokrację w całym cywilizowanym świecie, że przyspieszy emancypację robotników w Anglii, rzuci podwaliny pod rządy ogółu w państwach europejskich i że jego pomnik zdobić będzie plac przed parlamentem brytyjskim. Wzdrygnąłby się gdyby mu powiedziano, że jego woła uruchomił masę wojska kilkakrotnie liczniejszą od wszystkich armii Napoleona.

Zdziwiłby się gdyby mu powiedziano, że po stu latach pamięć jego będzie własnością wszystkich ludzi miłujących wolność i sprawiedliwość bez względu na kraj gdzie mieszkają, język jakim mówią i kolor skóry z jakim się narodzili.

Nie zdziwiłby się tylko gdyby mu zapowiedziano, że reszty życia dokonana w tym samym nastroju pogodnej melancholii, w którym przeżył ciężką młodość, że pozbawiony będzie szczęś-



cia osobistego i że zapłaci własną krew cenę ocalenia ukochanej Unii i cenę zniesienia niewolnictwa.

W pierwszych dniach kwietnia 1865 roku czteroletnia Wojna Między Stanami dogorywa na pogorzeli-skach miast i na pobojuwiskach setek wielkich bitew. 9 kwietnia generał Lee, „Święty Południa“, kapitułuje z resztkami swych wojsk w Appomatox Court House w Wirginii. Na wiadomość o kapitulacji tłumy biegną pod Biały Dom w Waszyngtonie. Lincoln cichym głosem prosi by orkiestra zagrała „Dixie“ ukochaną melodię pokonanego Południa. „Bo już jest wspólną naszą własnością“. 14 kwietnia Prezydent przerywa wieczorem narady nad budową pokoju i jedzie z żoną na przedstawienie banalnej sztuki angielskiej „Nasz kuzyn z Ameryki“. O godzinie 10-tej widownia słyszy strzał. To aktor John Wilkes Booth zabija Abrahama Lincolna.

Zaniesiono go do pobliskiego domu. Nie odzyskał przytomności. O godzinie 7.22 następnego ranka Edwin Stanton wypowiedział słowa: *Now he belongs to the ages.* — Z wielu tłumaczeń tego zwrotu wybieram najważniejsze: Należy do wieków które po nim przyjdą.

Paweł Zaremba

Mam przed sobą kilka listów — dokładnie: pięć. Choć każdy pochodzi od innej osoby, wszystkie mają bardzo podobną treść, a zakończenie prawie identyczne: autorzy proszą o zachowanie w tajemnicy ich nazwisk i równocześnie nalegają na to, bym zrobił prasowy użytek z „zaproszenia“, jakie otrzymali od szefa Bezpieki Mieczysława Moczara.

Autorów listów znam osobiście od wielu lat. W czasie wojny odznaczali się wielką odwagą żołnierską. Jak to więc się stało, że dzisiaj zabrakło im odwagi „cywilnej“? Dlaczego mam zachować ich nazwiska w tajemnicy? Że bezpieka? Że rodzina w Kraju? Wyznam szczerze: nie trafia mi to wszystko do przekonania.

Ale nazwisk naturalnie nie ujawniam. A za listy składam publicznie podziękowanie. Dzięki nim bowiem znalazłem się w posiadaniu aż pięciu „zaproszeń“ Moczara, skierowanych do znanych działaczy kombatanckich we Francji. Poniżej podaję ich treść:

Szanowny Panie,

Zbliża się 8 maja, dzień, który przypomina ludzkości datę zwycięstwa przed 20 laty nad hitlerowską Rzeszą i zakończenia II wojny światowej.

Naród polski, podobnie jak inne narody, a zwłaszcza narody byłej koalicji antyhitlerowskiej, szczególnie uroczyste przygotowuje się do uczczenia tej pamiętnej rocznicy.

W obchodach 20-tej rocznicy zwycięstwa, które odbędą się w Polsce, wezmą aktywny udział uczestnicy walk wolnościowych, kombatancki i bojownicy Ruchu Oporu z II wojny światowej, byli więźniowie i jeńcy hitleryzmu zrzeszeni w masowej, społecznej organizacji — Związku Bojowników o Wolność i Demokrację.

Pragniemy, aby w tych uroczystościach uczestniczyli także ci Polacy, którzy losami wojny znaleźli się poza granicami kraju i tam żyjąc i pracując godnie reprezentują sprawę swej Macierzy — Polski.

Dlatego serdecznie zapraszamy Pana do Polski w dniach 6-15 maja b.r. celem wzięcia udziału w uroczystościach 20-lecia Zwycięstwa oraz przy tej okazji zwiedzenia kraju i bliższego zapoznania się z pokojowym trybem i życiem naszego narodu. Będziemy się starali uwzględnić również wszelkie inne życzenia Pana.

Będzie nam bardzo miło, jeżeli pozwoli Pan, ażeby wszelkie koszty wy-

ZWIĄZEK BOJOWNIKÓW O WOLNOŚĆ I DEMOKRACJĘ
ASSOCIATION DES COMBATTANTS POUR LA LIBERTÉ ET LA DEMOCRATIE

Warszka, dn. 12.4.1965
Rakoczkiego 13
tel. 27-00-82

Szanowny Panie,

Zbliża się 8 maja, dzień, który przypomina ludzkości datę zwycięstwa przed 20 laty nad hitlerowską Rzeszą i zakończenia II wojny światowej.

Naród polski, podobnie jak inne narody, a zwłaszcza narody byłej koalicji antyhitlerowskiej, szczególnie uroczyste przygotowuje się do uczczenia tej pamiętnej rocznicy.

W obchodach 20-tej rocznicy zwycięstwa, które odbędą się w Polsce, wezmą aktywny udział uczestnicy walk wolnościowych, kombatancki i bojownicy Ruchu Oporu z II wojny światowej, byli więźniowie i jeńcy hitleryzmu zrzeszeni w masowej, społecznej organizacji — Związku Bojowników o Wolność i Demokrację.

Pragniemy, aby w tych uroczystościach uczestniczyli także ci Polacy, którzy losami wojny znaleźli się poza granicami kraju i tam żyjąc i pracując godnie reprezentują sprawę swej Macierzy — Polski.

Dlatego serdecznie zapraszamy Pana do Polski w dniach 6-15 maja b.r. celem wzięcia udziału w uroczystościach 20-lecia Zwycięstwa oraz przy tej okazji zwiedzenia kraju i bliższego zapoznania się z pokojowym trybem i życiem naszego narodu. Będziemy się starali uwzględnić również wszelkie inne życzenia Pana.

Będzie nam bardzo miło, jeżeli pozwoli Pan, ażeby wszelkie koszty wynikłe z pobytu i podróży Pana po Polsce pokryła nasza organizacja.

Prosimy uprzejmie Pana o odpowiedź do 30 kwietnia b.r., aż możemy liczyć na przyjęcie naszego zaproszenia, co umożliwi nam należyte zorganizowanie pobytu w kraju.

Łączymy wyrazy szczerzego szacunku.

P R E Z E S
Zarządu Głównego ZBoWiD
Mieczysław Moczar

Fotokopia „listu zapraszającego“ z Bezpieki

nikle z pobytu i podróży Pana po Polsce pokryła nasza organizacja.

Prosimy uprzejmie Pana o odpowiedź do 30 kwietnia b.r., czy możemy liczyć na przyjęcie naszego zaproszenia, co umożliwi nam należyte zorganizowanie pobytu w kraju.

Łączymy wyrazy szczerzego szacunku.

P R E Z E S
Zarządu Głównego ZBoWiD
Mieczysław Moczar

Jak widzimy, zaproszenie jest bardzo „serdeczne“. Szefowi osławionego MSW 5 będzie „bardzo miło“, jeśli mu się pozwoli pokryć wszystkie koszty. Co więcej, gotów jest on nawet „uwzględnić wszelkie inne życzenia“

Ile takich „zaproszeń“ wysłał Moczar do polskich kombatanatów w wolnym świecie? Sto? Dwieście? Kilka-

set? Nie wiemy. W tej chwili nie znamy nawet dokładnej liczby tych „zaproszeń“ skierowanych do polskich działaczy kombatanckich we Francji. Ale już dzisiaj wiemy z pewnością, że agenci MSW 5 w tym kraju drżą o własną skórę. Oni to bowiem ustalili listę osób, do których Moczar zwrócił się osobiście, prosząc „serdecznie“ o wzięcie udziału w nadwiślańskich obchodach. I zawiódł się srodze: z Francji pojedają tylko ci, co od dawna już „godnie reprezentują sprawę“, to znaczy pojedzie dwóch czy trzech karłow-oportunistów i kilku powszechnie znanych reżimowych agentów. To wszystko. Koniec. Kropka.

Agenci MSW 5 we Francji wiedzą więc dobrze, że będą musieli ponieść wszystkie konsekwencje moczarowego zawodu i gniewu. Toteż na gwałt sta-

UMIZGI MOCZARA I BEZSENS DIALOGU Z KOMPARTIĄ

rają się naprawić swój błąd, gorąco przygotowują „kontakty“ dla ekipy „zbowidowej więzi“, która w pierwszych dniach maja przybywa do Paryża. Rozumują przy tym w sposób następujący: skoro się nie udało nakłonić praktycznie biorąc nikogo do wyjazdu, to może się uda skłonić działaczy kombatanckich do podjęcia „dialogu“ na miejscu — nad Sekwaną. Dialogu między „kombatantami“.

Byłby to oczywiście dialog nie z kombatantami z Kraju, lecz z wysłannikami polskiej partii komunistycznej. I wykorzystany zostałby wyłącznie przez kompartię dla jej własnych celów. Dla celów nie mających nic wspólnego z dążeniami krajowych kombatantów i walką naszego narodu o wolność. I dlatego usiłowania agentów MSW 5 spalą na panewce — żadnego dialogu nie będzie. Wszelki bowiem dialog z kompartią — z każdą kompartią — nie prowadzi do niczego i kończy się zazwyczaj poważniejszym skandalem. Przekonali się o tym zwłaszcza „postępowi“ katolicy francuscy.

Istotnie, w styczniu 1964 kompartia francuska zorganizowała „Tydzień myśli marksistowskiej“ — już trzeci „Tydzień“ tego rodzaju. Przemówienie wstępne wygłosił Jacques Duclos, członek Sekretariatu kompartii, a przemówienie końcowe Roger Garaudy, członek Politbiura. Ten ostatni w swym przemówieniu podkreślił, że „po raz pierwszy mogliśmy doprowadzić do udziału w naszej dyskusji dwóch wybitnych księży katolickich: jest to wydarzenie o wielkiej doniosłości“.

Nie była to oczywiście dyskusja naukowa. Znany francuski komunista i uczonec, Henri Lefebvre, profesor uniwersytetu w Strasbourgu, z tej „dyskusji“ nie był wcale zadowolony. W swym sprawozdaniu z niej pisał, że w „Tygodniach myśli marksistowskiej“ na ogół „wiedza zostaje podpo-

rządkowana taktyce politycznej“, a „kompromis między nauką i propagandą przechyla się zawsze na korzyść tej ostatniej“. Innymi słowy, „Tydzień myśli marksistowskiej“ nie ma nic wspólnego ani z myślą, ani z nauką. Jest to impreza dyktowana komunistyczną polityką, komunistyczną taktyką, różnymi manewrami komunistycznej propagandy. Nawet komunistyczni myśliciele, którzy do zagadnienia marksizmu-leninizmu podchodzą w sposób naukowy — odnoszą się do niej z pogardą.

Inaczej odnieśli się do niej wspomniani księża katolicy. Jeden z nich, o. Jolif, w piśmie „postępowo-katolickim“ p. Hourdina „Informations catholiques internationales“ zapewnił, że:

„Partia komunistyczna ofiarowała mi najpiękniejsze audytorium, jakie kiedykolwiek miałem: kilka tysięcy młodych, wyjątkowo uważnych i gorących“.

Jak słusznie zauważyło wówczas inne pismo katolickie, „Itinéraires“, audytorium równie wyborowe, równie młode i równie uważne można znaleźć także gdzie indziej. Na przykład w Lourdes. Wydaje się rzeczą dziwną, że o. Jolif nigdy się nie zetknął z tego rodzaju audytorium.

Ale o. Jolif tego problemu dalej nie rozwijał. Położył natomiast nacisk na konieczność „dialogu“ między „marksistami“ i „chrześcijanami“. Pisał dosłownie:

„W końcowej analizie wszystko się sprowadza do pytania bardzo prostego: czy marksiści są także ludźmi? Jeśli się na to pytanie odpowie twierdząco, to należy dojść do przekonania, że wszystko jest możliwe i że trzeba dyskutować“.

Tak się rozpoczął ów sławetny „dialog“ między „chrześcijanami“ i „marksistami“. Lecz w rzeczy samej, był to jedynie „dialog“ z francuską partią komunistyczną. Francuscy „katolicy postępowi“ uprościli zagadnienie, utożsamili pojęcie „marksista“ z „partią komunistyczną“. Tymczasem co innego jest „marksista“, co innego „komunista“, a jeszcze co innego „partia komunistyczna“. Jeżeli się chce iść w „masy“ — „marksistowskie“ czy „komunistyczne“ — to należy jak ognia unikać „partii komunistycznej“. Tych „mas“ bowiem w „partii“ nie ma. Nawet w Związku sowieckim kompartia przedstawia za-

ledwie 5% ludności. We Francji dzisiaj kompartia liczy zaledwie 250.000 członków.

Ten „dialog“ z kompartią ani na jotę nie zmienił przekonań jej aparatu. Natomiast doprowadził o. Jolifa do wygłoszenia też następujących:

„Marksista nie może przyjąć mojej koncepcji człowieka, tak samo, jak ja nie mogę przyjąć koncepcji humanizmu marksistowskiego. Widzę tedy jedyny sposób pokonania tej sprzeczności: należy brać bardziej względnie nasze teoretyczne koncepcje i stale je konfrontować z człowiekiem takim, jaki rzeczywiście istnieje (...).“

A ponieważ dla tego typu „postępowych katolików“ człowiekiem „realnym“, „człowiekiem takim, jaki rzeczywiście istnieje“ — był z zasady „aparatecznik“ komunistyczny, który naturalnie nigdy ze swych pozycji nie chciał ustąpić, przeto zaczął ustępować katolicki ksiądz. Ten jednostronny „kompromis“, połączony z energiczną akcją sowieckiego PAX-u, prowadzoną od przeszło dziesięciu lat — doprowadził do dramatycznego wstrząsu wśród kleru katolickiego.

Poważna część prasy katolickiej uderzyła na alarm. Na półkach księgarskich pojawiły się książki poświęcone komunistycznemu niebezpieczeństwu, zagrażającemu Kościołowi we Francji. Na czołowych księży „postępowych“ wskazano palcem. W odpowiedzi, na łamach „postępowego“ tygodnika katolickiego „Témoignage chrétien“ ukazał się artykuł księdza Michonneau, w którym „prawicowi katolicy“ francuscy zostali po prostu nazwani psami: „to są psy“. I „dialog“ toczył się dalej. Tym razem w ramach „Tygodnia intelektualistów katolickich“. Wzięli w nim udział „katolicy“ ze Wschodu.

Publiczne debaty odbyły się w połowie marca br. W latach poprzednich wykorzystywali tę trybunę przedstawiciele sowieckiego PAX-u, występujący jako „postępowi katolicy polscy“. Ale PAX jest obecnie całkowicie zdemaskowany we Francji i nikogo nie może wprowadzić w błąd. Przyczyniła się do tego przede wszystkim znana nota Stolicy Apostolskiej, o której w swoim czasie pisałem na tych łamach. Toteż paxowców zastąpili „węgierscy katolicy postępowi“. Jest to najlepszy dowód,

że akcją paxowską w szerokim tego słowa znaczeniu kieruje jedna centralna — Moskwa.

Węgierski „katolik postępowy“ Ronay nie przyniósł wstydu ani PAX-owi ani Moskwie. Gromił katolików zachodnich i nawoływał ich do „czynnego zaangażowania się w dzieło praktycznej budowy socjalizmu“. Część audytorium zgotowała mu burzliwą owację.

Tydzień później, na łamach „Témoignage chrétien“ ukazało się entuzjastyczne sprawozdanie. Co więcej, w tym samym numerze wspomniany już przedtem Garaudy, członek Politbiura francuskiej kompartii, w długim artykule przekonywał czytelników tego „katolickiego“ pisma, że państwa chrześcijańskie nie potrafiły zrealizować wspólnoty ludzkiej, podczas gdy komunizm wprowadził ją w życie, nadał jej kształt konkretny. Wtórował jemu — na tych samych łamach i w tym samym numerze — cytowany wyżej dominikanin Jolif. Stwierdzając, że chrystianizm okazał się bezsilny w dziele tworzenia braterskiej ludzkości — witał on „świt, który wschodzi“.

Tak więc ten zdumiewający „dialog“ przedostał się z sal publicznych na łamy „postępowej“ prasy katolickiej. Zatrucie umysłów ludzkich czyniło postępy coraz większe. Rzecz prosta, antykomunistyczni katolicy francuscy do prasy komunistycznej nie mieli żadnego dostępu. Propaganda szła tylko w jednym kierunku: aparatcziki kompartii i „nowi księża“ nawracali katolików na komunizm.

W tym stanie rzeczy, nawet bardzo pobłażliwy episkopat francuski miał już tego dosyć: Rada episkopatu zdecydowała się wreszcie udzielić surowej nagany dyrekcji „Témoignage chrétien“. Nie wiemy natomiast, czy i jakie konsekwencje zostały wyciągnięte w stosunku do „bardzo postępowych“ księży. Kroniki na ten temat milczą.

* * *

Emigracyjni ugodowcy, oportuniści wszelkiego rodzaju przypominają mi do złudzenia „bardzo postępowych“ katolików francuskich. Oni także „nie chcą odwracać się tyłem do narodu“, szukają „dialogu“ z jego „wysłannikami“. I tępią każdy

JUŻ tylko trzy tygodnie dzieli nas od wyborów do sejmu R.P. ludowej, wyznaczonych na dzień 30 maja, w których społeczeństwo polskie ma wyrazić kierownictwu partii pełne zaufanie do jego polityki, a zarazem zapobiec nowemu układowi zawartemu w dniu 8 kwietnia z „braterskim związkiem radzieckim“.

Okres przedwyborczy cechuje wzmożona aktywność agitpropu partii, liczącego kilka tysięcy płatnych aktywistów. W biurach i warsztatach, w mieszkaniach i na wsiach usiłują mówić do ludności tylko o ważności wyborów. Muszą oni bowiem wysyłać codziennie do jednostki nadrzędnej raporty o nastrojach wśród wyborców. Wprowadzając kandydatów do sejmu komitet centralny już wybrał i podobnie jak dawniej, z ważnie oddanych głosów padnie na listę frontu narodowego 98,40 procent głosów, po co więc ta cała agitacja?

Odpowiedź na to jest prosta. Chodzi o to, aby udział w wyborach był masowy, aby nikogo nie zabrakło przy urnach. Tym zadaniem obarczono aktywistów, którym, jeśli udział byłby słaby, grozi utrata dobrze płatnych stanowisk.

Nastroje wśród społeczeństwa cechuje obojętność. Ludzie przypominają sobie dobrze wybory w 1957 i 1961 roku i odwrót w tym okresie Gomułki od propagowanej przez niego tzw. „polskiej drogi do socjalizmu“.

WYBORY W 1957 R.

Wybory odbyły się w atmosferze powszechnego entuzjazmu. Powrót Gomułki i rezultaty jego kilkumiesięcznej pracy na stanowisku I sekretarza KC stanowiły zapowiedź nowego okresu, zarówno w polityce wewnętrznej jak i w stosunku do Sowiec. Wyprz-

emigracyjny sprzeciw, każdą emigracyjną przestrożę. Ten „dialog“ prowadzony jest oczywiście nie z przedstawicielami narodu, lecz z nasłanymi agentami nadwiślańskiej kompartii, którzy z narodem nie mają nic wspólnego. Kończy się on zawsze ustępstwem oportunistów, zyskiem kompartii. Na szczęście naród nie ponosi przy tym żadnej poważniejszej straty. Nigdy on bowiem nie liczył na emigracyjnych oportunistów.

Na oportunistycznych dwustółkowców nikt nigdy liczyć nie może. Nie ma prawa. Jest to jeden z podstawowych kanonów politycznych.

Stanisław Paczyński

JAN ADAMSKI

MAJOWE

czenie na wolność kardynała Wyszyńskiego i 7 biskupów i zawarcie w grudniu 1956 r. nowego porozumienia między Kościołem katolickim a państwem, wypuszczenie na wolność pożądaną liczby więźniów politycznych, którym amnestia z kwietnia 1956 r. nie dała jeszcze wolności, usunięcie od wpływów wojowniczych stalinowców i rehabilitacja ofiar, zasadzonych na podstawie sfabrykowanych sztucznie oskarżeń, to wszystko zdawało się wskazywać na przywrócenie ludności, zagwarantowanych w konstytucji praw i swobód obywatelskich.

Do popularności Gomułki wśród mas pracujących przyczyniło się również jego oświadczenie w sprawie wypadków poznańskich, z czerwca 1956 r., gdy stwierdził publicznie, że winę za wypadki ponosiły całkowicie partia i rząd i w ten sposób przekreślił groźby Cyrankiewicza, który każdemu, kto podniósł rękę na władzę ludową zamierzał obciąć tę rękę.

A wreszcie jego rozmowy z Sowiec, skreślenie przez nich urojonych długów Polsce i przyrzeczenie, że odciążą ją za transporty kłajnowe poprzez Polskę, wskazywało, że i w tej dziedzinie wyzysk kraju przez Sowiety skończył się. Odwołanie Rokossowskiego, około 40 wyższych dowódców i kilkuset „doradców“ zamknęło ostatecznie pozytywny bilans krótkiej pracy Gomułki.

Udział w wyborach był przeto silny, co należy przypisać stanowisku Episkopatu, który udział w wyborach zaliczył.

OKRES 1957—1961

Jednak nastrój ogólnego entuzjazmu trwał tylko krótko. Już z wicną 1957 reżym nie dopuścił do stworzenia odrębnej demokratycznej organizacji młodzieżowej. Na gruzach zbankrutowanego ZMP stworzono nową ogólnokrajową organizację komunistyczną pod nazwą ZMS (związek młodzieży socjalistycznej). W lecie 1957 zamknięto tygodnik studentów i młodych intelektualistów, „Po Prostu“. Demonstracje przeciw zamknięciu pisma, polcją rozprędziła a studentów pobito.

Wybrane po październiku, w drodze pierwszych uciążliwych wyborów Rady Robotnicze zmieniono niedługo na tzw. Konferencje samorządu robotniczego, w których podstawowe organizacje partyjne miały decydujący głos. W latach 1959 do 1961 realne płace w

„WYBORY“ DO SEJMU R.P. LUDOWEJ

gospodarce uspołecznionej wzrosły tylko o przeciętnie 2 procent rocznie, mimo ciągłego wzrostu cen za artykuły pierwszej potrzeby.

Politykę wewnętrzną w tym okresie cechował powrót na odpowiedźalne stanowiska wielu zdecydowanych stalinowców, m.i. Szyra, Tokarskiego i Witaszewskiego.

Stosunek reżymu do Kościoła uległ w tym okresie wyraźnemu pogorszeniu. W lutym 1955 r. minister skarbu wydał zarządzenie o opodatkowaniu władz kościelnych i duchowieństwa, które pozbawiło Kościół 65 procent dochodów. Na ziemiach czdyskanych, gdzie Kościół już w 1950 oddał dobrowolnie ziemię, stanowiącą własność Kościoła, reżym zdecydował, że również inne nieruchomości, jak budynki parafialne, np. probostwa, stanowią własność państwa. Z konfiskaty wyłączono tylko kościoły i kaplice.

Katolicki Uniwersytet w Lublinie obciążono wysokimi podatkami, które, jak wiadomo, w 1964 urosły do astronomicznej cyfry 37 milionów złotych.

W tym samym czasie reżym rozpoczął walkę z pisarzami i intelektualistami, uważając każdego, kto nie zgodził się pójść po linię partyjnej polityki, za rewizjonistę i wroga nr 1.

Wybory w 1961 r. cechowała przeto ogólna apatia. Jednak mimo skromnych uprawnień, jakie wyborcom daje ordynacja wyborcza, wynik głosowania, jak wykazały ostateczne cyfry, był dla reżymu bardzo niezadowolający, bowiem:

Wstrzymało się od głosowania ok. 960,000, wykreśliło wszystkich kandydatów przeszło 300,000, głosowało na kandydatów nie według kolejności na liście wyborczej przeszło 900,000.

W sumie zatem, przeszło 2 miliony wyborców czyli około 12 procent nie zastosowało się do haseł, głoszonych zwłaszcza w ostatniej fazie przedwyborczej przez aktywistów.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że np. we Wrocławiu, Rapacki i Matwin otrzymali mniej głosów od innych miejscowych kandydatów, w Krakowie kandydat „Znaku“ Stomma, otrzymał więcej głosów od Cyrankiewicza.

Z CZYM IDZIE GOMUŁKA DO TEGOROCZNYCH WYBORÓW?

W okresie od ostatnich wyborów, Gomułka nie pozostawił już żadnych

wątpliwości co do swego odwrotu od „polskiej drogi do socjalizmu“. Jego częste, zupełnie niepojętne ataki na „imperialistów“, szczególnie na Stany Zjednoczone, które dostarczają Polsce ziarno na każdy czwarty bchenek chleba, stanowią wyraźny dowód, jego związania z moskiewskim centrem dyspozycji.

W dziedzinie gospodarczej sytuacja jest ciężka, głównie z powodu chaotycznego planowania, wiązania się z takimi partnerami jak Kuba, Indonezja i kilkoma nowopowstałymi krajami afrykańskimi. Gwałtowne obcięcie funduszu płac spowodowało zwolnienie około 10 procent robotników w gospodarce uspołecznionej. Na rynku brakuje stale mięsa, ponieważ mięso stanowi główny artykuł eksportowy do krajów kapitalistycznych. Import zboża wzrósł w 1964 do 3 milionów ton. Zarobki wzrosły w okresie ostatnich 5 lat tylko o 10 procent. W okresie nowego planu tj. 1966—1970 zarobki, według Gomułki, miały wzrosnąć o 10 procent, jednak w uchwałach 4 zjazdu partii, nie związane się nawet tą drobną podwyżką. Deficyt mieszkań pozostał na niezmiennym poziomie, jednego miliona mieszkań (nie izb).

Walka z rewizjonistami weszła w nowe stadium, gdy pisarza Wańkowicza skazano na trzy lata więzienia a innym wytoczono dochodzenia o szkolenie Polski ludowej.

Stosunki z Kościołem uległy w tym okresie poważnemu pogorszeniu. Wbrew dwu umowom zawartym z Episkopatem odebrano władzom kościelnym prawo udzielania nauki religii w budynkach szkolnych. Punkty katechetyczne poddano kontroli władz administracyjnych. Ze szpitali usunięto zakonnice, a kaplice przyszpitalne zamknięto. Zakonom odebrano prawo prowadzenia własnych szkółek, a pomieszczenia, zarówno dla klas jak i mieszkania siostr skonfiskowano.

W tym samym czasie udzielono pełnego poparcia wszystkim organizacjom ateistycznym, którym przyznaje się hojnie papier drukarski. Propagandę ateistyczną w wojsku rozbudowano by wpoić w młode umysły żołnierzy zasady materializmu.

Stalinowcy nie tylko pozostali na stanowiskach, lecz ostatnio zdobyli nowe, wpływowe stanowiska pod nazwą „partyzantów“. Zamianowanie doświadczonego UBowca Moczara ministrem spraw wewnętrznych stanowi dalszy

dowód zaostżenia kursu przeciw pisarzom i intelektualistom.

Tak oto w skrócie wygląda bilans Gomułki za okres ostatnich czterech lat.

TECHNIKA PREDWYBORCZA

Konstytucja i ordynacja wyborcza przyznają prawo wyboru kandydatów organizacjom politycznym i społecznym. Ale już wcześniej, znany ekspert od robienia wyborów Zambrowski, a ostatnio na 3 plenum i Gomułka oświadczyli, że wybór kandydatów do sejmu jest jedną z istotnych prerogatyw kierownictwa partii. O tej technice świadczą najlepiej przykłady. I tak np. na zebranie przedwyborcze do okręgu Bielsko—Biała, Komitet Centralny wysłał jako mówcę głównego politruka armii, gen. Urbanowicza. Po przemówieniu zebrani jednomyślnie wybrali go kandydatem i postawili go na pierwszym miejscu listy wyborczej okręgu.

Podobnie do Koszalina pojechał Leon Kasman, naczelny redaktor „Trybuny Ludu“, który już w poprzednim sejmie zasiadał jako poseł z Chorzowa. I tu zebranie wybrało go jednomyślnie posłem okręgu koszalińskiego.

W taki sposób wracają do sejmu i inni kandydaci stalinowcy: Zenon Nowak, Szyr, Tokarski, Moczar, a ponadto wszyscy pierwsi sekretarze egzesztyw wojewódzkich partii. Po dłuższej przerwie wraca również do sejmu główny sprawca wypadków gryfickich, Jerzy Pryma.

A wreszcie, w ostatniej fazie przedwyborczej przyjdzie, jak zwykle, najoryginalniejszy chyba apel kierownictwa partii: „Nie skreślać żadnych kandydatów! Głosować na taką ich kolejność, w jakiej ich umieszczono na kartkach do głosowania“.

Jest to ostatni etap farsy, tym razem skierowany przeciw kandydatom miejscowym, których umieszczono na ostatnich, rezerwowych miejscach; przeciw tym, którzy znają stosunki miejscowe i pozwolili by ich nazwiska umieszczono na liście wyborczej. Podobnie jak w czasie ostatnich wyborów, do sejmu mają wejść nie oni, ale ci, których wybrał już komitet centralny. Nie oni, lecz wybrani przez KC mają pobierać diety poselskie, chociaż już zajmują dwa albo nawet trzy dobre płatne stanowiska. W ten sposób partia ostrzega i rozkazuje, aby nikt na nich nie oddał głosu i nie odważył się utracić kandydata wybranego przez kierownictwo partii.

Tak oto w dniu 30 maja br. zakończy się farsa, nazwana wyborami do sejmu R.P. ludowej.

Jan Adamski

Drukujemy ostatni rozdział studium Zbigniewa Grabowskiego p. t. „Ojczyzna Europa“. Rozdział ten odnosi się do Włoch i zamieszczamy dwa odcinki z tego rozdziału: pierwszy w numerze obecnym, a drugi w numerze czerwcowym. Zachowujemy oryginalną numerację podrozdziałów.

1. „ROŚLINA LUDZKA“

Już z dawna zauważono, że roślina ludzka krzewi się niebywale bujnie we Włoszech. Uczępiła się ona z jakąś pasją — uporem — ziemi, która na północy właściwie tylko, a także w środkowym pasie Włoch, jest żyzna — podczas gdy na południe od Rzymu staje się coraz bardziej ugorana, aby u dołu „buta“ Włoch przejść w krajobraz niemal księżycowy. Cudzoziemiec, który odwiedza Włochy, ma przeważnie do czynienia z tą ich częścią, która uprawiona jest doskonale, gdzie trud człowieka i jego wiekowa praca naniosły gaje i drzewa, ogrody i sady. Wyobraża on sobie Włochy jako kwitnący ogród, bo takie są przeważnie jego doznania z okolic Lago di Garda, riwier de Levante i di Ponte, okolic Florencji i całej Umbrii i Toskanii. Nie zastanawia się przeważnie nad tym jak skalista i trudna jest ta gleba i ile trzeba było znoju, aby zmienić ją w ten kwitnący ogród. Dopiero na południe od Neapolu, a zwłaszcza w Apulii i koło Taranto ta ziemia pokazuje niejako swoje kły — ugoru, wapiennych wzgórz, skał i urwisk.

To dopiero daje nam pojęcie o trudnościach warunków życia we Włoszech — dawnych i nowych, podobnie jak zastanawianie się nad historią Rzymu i nad jego architekturą skłoni nas do wniosku, że było to miasto gdzie musiano okazywać nieładna hart i wytrzymałość, by żyć w nędznych domkach Trastevere. A cóż dopiero powiedzieć o norach Neapolu, o ludziach jaskiniowych w dzielnicy Santa Lucia? Wydawałoby się, że ludzie tam mieszkający cierpią na wszystkie choroby świata. Przeciwnie, — przechodząc przez ulice i zaułki starego Neapolu znajdujemy rasę dynamiczną, żądną życia, rozśpiewaną i rozgadaną — jakież kontrast w stosunku do przedwojennego londyńskiego East Endu, nie mówiąc już o zaułkach Glasgowa, o rozmaitych Gorbals, o oślizgłych wilgocią i sadzą murach Newcastle.

Pewien lekarz amerykański, który chciał udowodnić tezę, że zamożność idzie w parze ze zdrowiem i że rzeczywiście najzdrowsze okazy ludzkie znajdują się w Stanach Zjednoczonych, musiał zmienić swoją książkę traktującą o tej sprawie po pobycie w Neapolu. Okazało się, że znalazł tam okazy nie-

WŁOCHY (1)

bywałego zdrowia i najpiękniejsze zęby jakie kiedykolwiek w życiu oglądał. Wyjechał z Włoch w przekonaniu, że kto wie czy bieda nie jest lepszym podkładem dla biologii, aniżeli affluent society.

Nie tylko ten nawrócony lekarz amerykański wyjechał z Włoch przekonany, że roślina ludzka krzewi się niebywale bujnie na ziemi włoskiej i że uczępiła się tej gleby ze zwierzęcą pasją. Tysiące cudzoziemców, którzy mieli sposobność zajrzeć nieco poza fasadę Włoch turystycznych, zaskoczonych było tą właściwością włoskiej biologii. Nadaremno byłoby szukać we Włoszech śladów degeneracji — a cóż byłoby łatwiejszego niż degeneracja u narodu tak starego i tak przemieszanego w tyglu ras? W porównaniu z Włochami Szwecja wydaje nam się krajem smutnej degeneracji, chociaż sam kształt fizyczny człowieka jest tam wyrosnięty i zdrowy. Jest jednak coś w samej naturze szwedzkiej, w powolnościach ruchów, jakiejś apatii sylwetki, coś co trąci tą osobliwą degeneracją Północy. Mały, przeważnie byle jak zbudowany Włoch kipi natomiast energią i ta energia przelewa się w jego słowach i gestach, w jego nieustannej ruchliwości.

Stajemy tutaj w obliczu kontrastu: z jednej strony mamy kraj o niezwykłej dawności — z drugiej rasę ludzką wieczyście młodą. I znowu: przeciętny turysta dotyka tylko powierzchni dawności Włoch, przeważnie za pośrednictwem architektury. Ale rzadko dotyka tej dawności jeżeli chodzi o obyczaj ludzki. Właśnie na południu Włoch i na Sycylii wędrowiec, który zmierza niecodziennym szlakiem odkryje podkłady przesądów i zabobonów, odwiecznych zaklęć i przekleństw, które pokazują mu w jakimś skrócie zawrotną wprost perspektywę czasu. Carlo Levi w swojej głośniejszej książce „Chrystus zatrzymał się w Eboli“ pokazał nam wycinek tych bardzo starych Włoch, gdzie odwieczny obyczaj ginie dosłownie w mrokach dziejów. Są to bowiem mroki, których nie potrafiło rozproszyć słońce, trwające na firmamencie tego kraju. Morris West, australijski powieściopisarz, który osiadł we Włoszech, zakochany w tym kraju, jak to się często dzieje z cudzoziemcami, a zwłaszcza z Anglosasami, w powieściach swoich podkreśla trafnie i słusznie tę starość Włoch i zaznacza, że gdziekolwiek się

ruszymy, za cokolwiek chwycimy we Włoszech — otwierają się przed nami czeluście czasu. Jest on dobrze świadom tego, że we Włoszech trwa dalej pogański obyczaj zamawiań i odczytań, że przekleństwa, którymi chce porazić swojego wroga Neapolitańczyk, wychodzą z pra-pogańskich mroków i że chrześcijaństwo jest w wielu wypadkach powłoką czy pokrywą i to dosyć cienką, pod którą trwa dalej zaczone odwieczne pogaństwo tej ziemi. I znowu paradoks: siedziba Kościoła katolickiego, ośrodek wiary chrześcijańskiej, jest dalej domeną pogaństwa.

2. MAGIA ZIEMI WŁOSKIEJ

Nie jest na pewno dziełem przypadku, że do Włoch zdążyli rozmaici adepci czarnej magii, jak na przykład angielski szarlatan, postać niesamowita, Crawley, zwany The Beast, który na Sycylii odprawiał swoje czarne msze. Takich adeptów czarnej magii jak Crawley, który występuje jeszcze w paryskich wspomnieniach Hemingway'a „A Movable Feast“, a służył za model Somerset Maughamowi w jego powieści „The Magician“, a którego skandal wstrząsnął Anglią przed laty trzydziestu, takich uczniów czarnoksięskich było wielu i z Włoch przywiózł swoje gusła znakomity dr Cagliostro w wieku 18-tych, aby pokazać je wzdłuż i wszerz Europy.

Ziemia włoska jest niezwykle dawna, a kto zobaczył choćby na krótko podkłady Forum Romanum i przekonał się jak na jednych budynkach stawało się nowe, jak na świątyniach pogańskich wznoszono kościoły chrześcijańskie — by wspomnieć chociażby tylko Santa Maria Sopra Minerwa — ten dojdzie do wniosku, że ziemia kryje w swojej głębi całe złoże kultur ludzkich, które minęły. Pod ziemię zesłała kultura etruska, a w dużej mierze i grecka, rozsiąta na ziemi włoskiej, na Sycylii ukryła się kultura fenicka, — a ileż przed tym kultur i cywilizacji rozbiła dumna pięść Latynów? Gdy myślę o tych sprawach, wraca mi zawsze na myśl obraz parku koło uniwersytetu w Upsali w Szwecji, gdzie jako zabytek sterczy kamień runiczny. Jest to typowy zabytek historii tego kraju — twór na poły natury, zabytek nie utajony, ale znajdujący się na wierzchu. Ziemia szwedzka nie nosi w sobie tajemnic, nie należy tam kopać i szukać, albowiem wszystko jest w tym kraju

naniesione, jawne i wiadome. Jakże inaczej jest we Włoszech czy Hiszpanii, gdzie musimy sięgnąć w głąb, zejść w łono ziemi, aby odczytać palimpsest historii.

3. HARMONIA NIEPOKOJU I RÓŻNORODNOŚCI

Skąd wziął się ten wigor w ziemi ugornej, która w porównaniu z francuską wymaga tak wielkiego trudu w uprawie? Skąd rasa ludzka czerpie soki przez tyle wieków? W ostatecznej diagnozie nie potrafimy znaleźć odpowiedzi. Możemy powołać się na słońce, które karmi tych ludzi, żyjących mniejszą ilością kalorii, aniżeli ludzie Północy, starający się załatać deficyt słońca prawdziwymi i syntetycznymi witaminami. Możemy się powołać na łagodność klimatu, który sprawia, że ciało ludzkie nie walczy tak jak na Północy o cenny cieplik i nie musi się okrywać tak szczerlnie przed słońcem, wichrami i śnieżycami. Niewątpliwie klimat ma wiele wspólnego z urodzajnością rasy ludzkiej, podobnie jak klimat Grecji, a raczej powietrze greckie, przejrzyste i klarowne, ma coś wspólnego z jasnością myśli greckiej. Dopiero w ostatnich czasach uczeni zabrali się na serio do badania kwestii klimatu, a liczne książki, jakie już na ten temat powstały, zdają się dowodzić, że klimat jest jednym z najpotężniejszych czynników kształtujących nie tylko fizyczną stronę człowieka, ale i jego umysł, popędy i ducha.

Ale klimat nie tłumaczy wszystkiego. Trzeba zatem szukać tajemnicy witalności rasy włoskiej w przemieszaniu krwi, w tradycji i nastawieniu życiowym, które jest z zasady i optymistyczne i wieczyście dziecinne. Włosi robią bardzo często wrazenie dzieci, rozbrykanych i krnąbrnych, hałaśliwych i nieznośnych. Ich przejęcie się szczegółami życia — czy to jedzeniem, czy pięknym widokiem, czy rozmową, — jest tak szczere, że nie możemy odkryć w nich śladu zblazowania i znudzenia. Umysł Włocha jest podminowany jakimś niepokojem, przerzuca się on z tematu na temat, reaguje na wszystko co się wokoło niego dzieje, lubi grać rolę a raczej kilka ról i jest najlepszym chyba aktorem w Europie — jeżeli chodzi o wszystkie tereny życia poza sceną. Jest rzeczą znamienne, że Włosi nie stworzyli ani wielkiego teatru dramatycznego, ani też nie mają aktorów tej miary co Francja, czy kraje północy. Ich domeną jest opera, a zatem twór sztuczny i umowny. Ich największy dramaturg — Pirandello — dziecko Sycylii, jeden z najświetniejszych twórców teatralnych i to nie tylko naszego wieku, żył przeważnie eks-

portem własnych dzieł na wszystkie kraje Europy.

Ruchliwy, teatralny, wiecznie podekscytowany Włoch daje nam obraz dynamiki i żywotności, który zawstydza przybysza z Północy, widzącego w powściągliwości i ekonomii sił jedyną nieraz filozofię życiową. (Ten nadmiar sił żywotnych i ten przyrodzony talent aktorski przeciętnego Włocha i tłumów włoskich uderza cudzoziemca już w filmach produkowanych we Włoszech: film stał się — rzecz osobliwa — bardziej naturalnym wyrazem charakteru włoskiego niż teatr). Cudzoziemiec patrzy na Włocha z początku z pewnym poczuciem wyższości, ale później zaczyna mu zazdrościć jego niepomahowanej żywotności i jego życiowego optymizmu. Młody Goethe podróżując po Włoszech zafrapowany był tym, że Włoch przede wszystkim porusza się, gestykuluje, mówi i obserwuje, reaguje na wszystkie bodźce, a potem dopiero myśli. W swoich notatkach z podróży po Włoszech przytacza on rozmowę z jakimś Włochem, który tłumaczy mu, że on, Goethe, człowiek Północy za dużo myśli i że to jest bardzo niezdrowe. Powinien poddać się fali życia, kosztować każdy moment swego bytowania, cieszyć się wszystkim co go otacza. Zamęt, mówił ów rozmówca Goethego, chaos — oto jest przyjemność. Oczywiście, Goethe nie mógł się przejąć tymi zasadami, które brzmiały dla niego jak świętokradztwo. A jednak i on uległ czarowi Włoch i pogańskiemu rytuałowi życia. I on któregoś sennego popołudnia siesty liczył na kostkach krzyża swojej rzymskiej kochanki, uśpionej przy nim, swoje heksametry, które później umieścił w „Elegiach Rzymskich“.

Tak jak Francja porywa, fascynuje i więzi przede wszystkim nasz umysł i dokonuje intelektualizacji wszystkich naszych rozkoszy — od stołu do łoża — tak Włochy trafiają do nas przez zmysły i przez pogańskie wezwanie, które przetrwało wieki. Włochy to przede wszystkim powierzchnia i ciało. To tajemnica życia szczęśliwego, które nie myśli i nie chce myśleć i rozkoszuje się samym swoim istnieniem. Rozmówca Goethego był na pewno bardzo typowym przedstawicielem swego kraju. Dlatego Włochy są bezkonkurencyjną ojczyzną sztuki, przede wszystkim sztuki plastycznej, która jest mową zmysłów, chociażby taszyści i abstrakcyjniści przekonywali nas na sto sposobów, że jest inaczej. Sztuka plastyczna jest zachwytem oka, jest uczłą zmysłów, i w tej dziedzinie Włochy nie ustępują żadnemu krajowi świata.

Dziedzictwo wieków przetrwało w tym kraju w takich przejawach jak ar-

chitektura, która dalej potrafi dawać rozwiązania pełne gracji i symetrii — jak domy w nowym Neapolu i w Mediolanie — przetrwało w rzeźbie takich mistrzów jak Giacometti, Manzù i Marino Marini, w budowie dróg, które mają nie tylko solidność, ale i grację. Scheda rzymska objawia się na nowo i w tych drogach i w budownictwie i w autostradach i w nowych pomysłach architektonicznych. Pomimo całego naporu nowoczesności i uprzemysłowienia Włochy potrafią jakoś godzić stare i nowe, a najlepszym przykładem na to jest Rzym, gdzie Via Appia znosi jakoś ruch samochodowy i gdzie nowoczesne restauracje sąsiadują z grobowcami rzymskimi. Jest to jakaś instynktowna umiejętność i zdolność do tworzenia harmonii, której nieraz brakuje krajom Północy.

4. KULTURA KULTU KOBIECOCI

Oczywiście, Włochy są krajem w pełnym sensie ludzającym, albowiem zbyt wiele jest tam „na wierzchu“. Zbyt wiele rzeczy jest otwartych i jawnych, jak drzwi mieszkań i domów, przez które można dostrzec całe niemal życie rodzinne. Włochy są krajem pozornie łatwym do obserwowania i zanalizowania, a teatralność Włochów sprawia, że zbyt wiele może kładziemy na karb ich aktorstwa. Tworzymy rozmaite mity i legendy, które wynikają właśnie z tej teatralności: dla iluż to osób Włoch jest istotą „romantyczną“, chociaż w rzeczywistości jest on bardzo odległy od tak zwanych romantycznych uczuć. Przeważnie kalkuluje on szybko i realistycznie, a w swoim pościgu za wrażeniami — przy czym ten pościg obejmuje wszystkie pokolenia, niemal aż po dziadków — kieruje się ciekawością życia i przyjemności. Jest on hedonistą, który nie może się oprzeć prawie nigdy pokusie i to sprawia, że miliony żonatych Włochów zachowuje się równie swobodnie, a może jeszcze swobodniej niż kawalerowie, podczas gdy od swoich żon wymagają oni enoty i siedzenia w domu.

Byłoby jednak błędem sądzić, że Włochy są krajem męskim tak jak na przykład Anglia. Przeciwnie, jest to kraj bardzo kobiecy, poczynając może już od języka, który przy hiszpańskim wyda nam się właśnie kobiecym i miękkim, a któremu brakuje precyzji i ironii języka francuskiego. Język włoski jest przede wszystkim rozkoszą ucha i muzyką i jako muzyka jest nieprześcigniona. Ale ta kobiecość kraju nie kończy się na mowie. Nie ma drugiego kraju w Europie, gdzie słowo „mamma“ jawi się na tyłu ustach — od dzieci

do dorosłych. Jest to ostoja życia i źródło autorytetu, a wobec matki najbardziej zadzierzasty Włoch staje się nieśmiały. Nie zapominajmy, jak do swojej matki odnosił się Napoleon, Korsykanin i Włoch pod wielu względami.

Religia przesycona jest kultem matki, a Matka Boska we Włoszech jest chyba tą Magna Mater starych religii ziemi. Hiszpan wielbi Dziewicę, odległą i nieosiągalną Virgén; na obrazach hiszpańskich rzadko kiedy widzimy Madonnę z Dzieciątkiem. Przeważnie jest to surowa i zadumana Dziewica, która płacze nad szaleństwem człowieka. Ale we Włoszech Madonna jest niemal zawsze radosna, a boskie Bambino jest jednym z milionów dzieci cieszącym się cudem życia. Magna Mater święci swoje tryumfy w malarstwie włoskim jak w żadnej innej sztuce świata. Kiedy w portykach Bazyliki św. Piotra widzimy wieśniaczkę karmiącą swoje niemowlęta, to dostrzegamy w tym częstym obrazie łączność zarówno z odwiecznym obyczajem pogańskich Włoch, jak i z obrazami Rafaela. Axel Munthe pisząc w swojej „Księdze z San Michele“ o trzęsieniu ziemi w Messynie i opowiadając jak chodził po ruinach miasta, przypomina sobie kobietę, która wśród gruzów karmiła dorodną piersią swoje dziecko. I wielki lekarz szwedzki dostrzegł bystro w tym rytuale natury wieczystą optymistyczną siłę ziemi i kraju, który tej ziemi jest tak bliski.

W żadnym innym kraju Europy — poza może Francją — nie doznajemy tych dwoistych uczuć: bliskości ziemi i ogromu dzieła ludzkiego, poczynając od uprawy roli, od ogrodów, poprzez wille i domy, kościoły i akwedukty. Jest to dalej w pewnym sensie kraj pierwotny i prymitywny, nie tylko jeżeli chodzi o swoje kąty i ustronia na Sycylii czy w Apulii, ale także jeżeli chodzi o pasje i namiętności ludzkie. Luigi Barzini, który napisał świetną w każdym calu książkę po angielsku pod tytułem „The Italians“, powiada słusznie, że nieprawdą jest jakoby Włoch był człowiekiem lęklwym. Wystawiony on jest, mówi Barzini, deputowany rzymski, publicysta i dziennikarz, syn redaktora „Corriere della Sera“, na liczne niebezpieczeństwa. Barzini powiada, że we Włoszech odbywa się stale krwawa hekatomba: w ciągu roku tysiące zazdrosnych mężów morduje swoje żony, zazdrosne żony zabijają mężów, bracia, których siostry shańbiono, szukają vendetty na uwodzicielu. W tych warunkach powiada ironicznie Barzini, życie we Włoszech jest nielada ryzykiem; a dodajmy od siebie, że na tym tle hasło Mussoliniego: „Żyć

niebezpieczne“, „vivere pericolosamente“, nabiera swoistego posmaku.

Pasje i namiętności grają dalej we Włoszech — od polityki po życie miłosne; dalej jeszcze słyszy się o wyzwaniu na pojedynki człowieka obrażonego i odbywają się jeszcze spotkania na szpady i pistolety. Będem byłoby mniemać, że Włoch jest tchórzliwy. Jest on bojaźliwy tylko o tyle, o ile w grę wchodzi jego wyobraźnia: ceni on życie, a jego wyobraźnia poddaje mu od razu dzikie wprost fantasmagorie. Potwierdza on prawdę tezy, że najgorszym wrogiem odwagi jest wyobraźnia. Nie lubi on umierać w gromadzie. W przeciwnieństwie do Niemca i Rosjanina, którzy idą do szturmów w milczeniu, albo wśród okrzyków radości, Włoch woła w takich momentach „corragio“, — ale poza armią? Poza polem bitwy? Najbardziej ryzykowni samochodowicze świata, najbardziej nieprawdopodobni wspinacze alpejscy (świeży przykład: w połowie roku 1964 przewodnik włoski dokonał pierwszego samotnego wejścia zimowego północną ścianą Matterhornu, spędzając pięć dni i pięć nocy w ścianie), najbardziej szaleńczy narciarze, pionierzy lotnictwa — czyż można tych ludzi nazwać tchórzami? Bynajmniej. Widocznie wyżyli się oni w swojej odwadze zbiorowej w rzymskich kohortach i postanowili uprawiać odwagę w pojedynkę. Już w Renesansie Włosi nie mieli ochoty do walki. Historycy powiadają, że te rzekomo homeryckie boje między Ferrarą a Bolonią czy innymi miastami, były w dużej mierze zmyślane, że rycerze maszerowali i jeździli tam i z powrotem pokrzykując gromko, ale unikając starcia wręcz. Były to wspaniałe defilady i parady, w których zbroje konkurowały ze świetnością, a zbroje włoskie były najpiękniejszymi w Europie. Jest jednak rzeczą znamienne, że Włosi sprawdzali z Niemiec zbroje bardziej poręczne i praktyczne, kiedy trzeba było walczyć naprawdę.

Te renesansowe spotkania zbrojne, tak cudownie oddane na obrazach włoskich, należały często do rzędu kombinowane, umownej gry. Włosi oszczędzali swojej krwi już w Renesansie może także i dlatego, że niezliczone inwazje przekonały ich o nietrwałości czynów wojennych. Jest w tym kraju na pewno głęboki sceptycyzm co do historii, co do ludzkiej działalności w ogóle — tutaj Włoch skłonny jest powiedzieć słowa: „vanitas vanitatum“. Ale to nie osłabiało zupełnie ochoty do samego życia, które jest ciągle odnawiającym się cudem. Niewątpliwie Włoch jest sceptykiem, co więcej, cynikiem, jeżeli chodzi o motyw ludzkie. Zawsze będzie on szukał motywów najgorszych, zawsze wietrzyć będzie przekupstwo, ma-

chinacje, prywatę — chociaż w przemówieniach i na zewnątrz wygłasza bardzo wzniosłe hasła. Nie jest on idealistą jakim jest surowy Kastylijczyk, a gdzieś na drugim biegunie nainwazyjny Amerykanin. Jego wiedza życia jest po prostu za stara, aby zmieścić idealizm i wiarę w szczytne motywy człowieka. Dlatego Włochy — podobnie jak Francja — są wielkim krajem szkalowania i odsądzania ludzi od czci i wiary. Nie ma naprawdę nic świętego w tym kraju świętych, a odnosi się to zresztą i do samych bóstw, albowiem jedno z popularnych złorzeczeń dotyczy samej Matki Boskiej (Madonna Puttana), a także i Dio Porco. Ale ta sztuka inwektywy ma bardzo stare tradycje, a czytając mowy Cycerona dorozumiewamy się skąd wiedzie się tak kwiecista retoryka i jadowita obelga.

5. INSTYNKT CIĄGŁOŚCI

Włochy, jak się rzekło, są krajem kobiety, która sprawuje rządy w domu, o wiele mniej odciągana przez pracę zawodową aniżeli kobiety w innych krajach Europy (po za Hiszpanią). Mimo niewątpliwych postępów, jeżeli chodzi o wychowanie i oświatę — chociaż tutaj są krajem bardzo zaniedbanym, zwłaszcza na Południu — pomimo wzrostu ilości kobiet zarabiających w biurach i fabrykach, kobieta włoska pozostała *une femme d'intérieur* i jest przede wszystkim żoną i matką. Żółśliwi powiadają, że każda młoda Włoszka marzy potajemnie o tym, aby sprowadzić się kiedyś do domu swojej córki lub syna i tam dopiero rządzić i wyżywać się za lata, kiedy musiała znosić tyranię swego męża. Być może, że w wielu wypadkach Włoszka widzi w roli teściowej i babki spełnienie swoich życiowych ambicji.

Ale Włoszka wyszła dzisiaj na ulicę: ubiera się znakomicie i należy do najelegantszych kobiet Europy. Moda włoska wywindowała się po wojnie bardzo wysoko i zajmuje dzisiaj chyba drugie po francuskiej miejsce. *La alta moda* ma dzisiaj swoje twierdze we Florencji, a Pucci z Capri jest wielkim prawodawcą mody. Młoda kobieta włoska jest o wiele bardziej *mondaine* niż dawniej: na pewno rośnie ilość Włozek, które studiują i pracują zawodowo; ale dalej jest to ilość znikoma w porównaniu z krajami Północy i Wschodu Europy. Włoszka jest dalej kobietą instynktu, jest dalej kobietą o niewielkich zaciekawieniach intelektualnych, której siła polega na jej kobiecym czarze i na jej macierzyńskich uczuciach. Pragnie ona dzieci i dzieci we Włoszech są czule kochane. Nie tylko kochane, ale psute i strojone jak laleczki. Rodzina włoska nie żałuje pieniędzy na

dzieci: ale żałuje na porządne wychowanie, czy raczej szkoły.

Niedawno bawiła we Włoszech „misja“ telewizyjna z Anglii, która to misja chciała zbadać dlaczego nie stosuje się we Włoszech metod zapobiegawczych i systemu **planned family**. Byli oni zdumieni, gdy Włosi i Włoszki odpowiadali im stale: ależ my kochamy dzieci!

Dzieci są przedmiotem ukochania: dzieci nie przeszkadzają jakoś w życiu rodzicom, zwłaszcza ojcom, może jednak głównie dlatego, że ci ojcowie są ludźmi rynku, ulicy, agory że lubią przebywać poza domem, że kochają swoją kawiarnię. Włoch kocha ulice swojego miasta, lubuje się w rozmowie na otwartej przestrzeni, w dyskusjach na otwartych placach. Hałas domu nie odbija się zatem zbyt szkodliwie na jego nerwach: a nerwy jego wydają się o wiele lepsze aniżeli nerwy obywateli i mieszkańców chmurnej Północy.

Posiadanie dzieci jest dalej celem małżeństwa we Włoszech, a poczucie klanowe jest dalej niezmiernie silne. Rodzina jest nadal ośrodkiem życia włoskiego, jest miejscem, gdzie szuka się schronienia i ratunku. W momentach kryzysu rodzina okazuje wielką solidarność: pomaga sobie wzajemnie. Rodzina potrafi osłaniać „zbląkaną owcę“, potrafi kłamać solidarnie. Rodzina jest w pewnym sensie nienaruszalna: a ostatnie myśli Włocha zwracają się właśnie do niej, do rodziny. Jest rzeczą ciekawą, że Mussolini na ostatniej swojej audyencji u króla włoskiego, kiedy dano mu dymisję, zapytał się z prawdziwym na pewno lękiem w głosie, jaka będzie dola i los jego rodziny? Donna Rachel, która trwała lojalnie przy tym bombastycznym dyktatorze, składa hołd jego pamięci, jako dobrego ojca. Na pewno kochał on swoje dzieci, a o zmarłym swoim synu napisał jedyną szczerą rzecz swojego życia.

Ta spójnia rodzinna, ta moc biologiczna, to dbanie o własny gatunek, stanowią na pewno wielką siłę Włoch. Siłę — jak również i nieszczęście. Albowiem Włoch nie ma poczucia solidarności, jeżeli chodzi o wspólną sprawę, jeżeli chodzi o dolę społeczną, jeżeli chodzi o naród. Całą swoją lojalność zachowuje dla rodziny. Wobec swojego państwa i kraju okazuje często, zbyt często i obojętność, albo brak lojalności: wobec swoich władców zachowuje się cynicznie, znosi ich tak długo jak mu jest wygodnie, jak długo zaspakajają jego apetyty. Wymaga od nich panem et circenses i ma nieodmiennie zmysł dramatu: lubi efekty, lubi nadmiar, lubi luksus. Jeżeli władca nie spełnia tych nadziei, jeżeli nie potrafi dawać błyskotek i tryumfów, jeżeli przychodzi nań

ciężki okres, jeśli wymaga poświęceń, jego dni są policzone. Vide Mussolini.

6. SŁABOŚĆ WIĘZI NARODOWEJ

Historycy, socjologowie i badacze dziejów Włoch załamują ręce nad tym, że Włochy nie okazywały przez wieki zmysłu solidarności narodowej, że trwały w rozproszeniu, że do zjednoczenia kraju doszło tak późno i że na długo przed Włochami wszystkie państwa Europy wykryształizowały swój kształt, dokonały centralizacji i spojenia swoich ziem. Włochy były niezmiernie zapóźnione w tym procesie, **Risorgimento** przyszło zaledwie sto lat temu i po dziś dzień — tak tłumaczą nam badacze dziejów Włoch — krajowi temu nie dostaje odpowiedniej spoistości, północ jest innym krajem aniżeli **Mezzogiorno**.

W tych wszystkich badaniach jest sporo racji, ale nie cała racja. Istotnie, Włochy wyłoniły się jako kraj zjednoczony bardzo późno, chociaż przed Rzeszą niemiecką, która została zementowana dopiero zwycięstwem nad Francją w roku 1870. Przyczyna tak późnego pojawienia się Niemiec na scenie państw nowoczesnych była podobna jak we Włoszech: przez wieki Niemcy były podzielone na księstwa, przez lata przetaczały się przez Niemcy wojny. Ale jeżeli chodzi o Włochy, to może powód leżał najbardziej w faktcie, że kraj ten wyżył się w dziedzinie myśli państwowotwórczej na długo przed wszystkimi krajami Europy, że zaznał centralizacji w epoce kiedy inne kraje były domenami na poły koczowniczymi. Włochy zatem miały niejako to wszystko za sobą: i oto po wiekach centralizacji, spójni państwa, bardzo silnego poczucia państwowego, przyszła era rozbitcia, pokawałkowania, rządów miast, prowincji; przyszło rozczłonkowanie, decentralizacja i atomizacja. Włochy sprowadzone zostały do kształtu starej Grecji, do walki miast, jakichś Tebów i Aten, przy czym Wenecja mogła na pewno być porównana z Atenami, jeżeli chodzi o zasięg swoich wpływów i ambicji. I to co zostało z tego procesu, to co się ostało, to była chyba właśnie rodzina, klan. I to przeniosło Włochy przez katastrofy.

7. CIĄGŁA PAMIĘĆ O BARBARZYNCACH

Zapominamy dzisiaj jak ogromne były to katastrofy, jak straszliwe były ciosy zadawane dumie narodowej, poczuciu bycia u siebie, w swoim domu. Inwazje, najazdy, od Normanów przez Francuzów, Austriaków oraz Hiszpanów, wszystko to ukoronowane najgorszym spustoszeniem, a mianowicie **Sacco di Roma**. Klęska ta jest świeżej daty, jest historycznie tak niedawna a jej wydzźwięk jest szczególnie ponury:

B.D.I.C

bo tym razem nie były to hordy germańskie, nie był to najazd barbarii, ale najazd cywilizowanych wojsk i narodów, które splądrowały Wieczne Miasto, serce chrześcijaństwa, gorzej aniżeli Gotowie czy Alaryki, którzy mieli jednak w swoich prymitywnych umysłach podziw i szacunek dla wielkiego tworu geniuszu ludzkiego, dla Romy. **Sacco di Roma** to pokaz dzikości, woli zniszczenia najgorszego typu, to hańba Europy.

Są historycy, którzy głoszą, że **Sacco di Roma** przetrząciło kręgosłup moralny Włoch i że kraj ten nie podźwignął się nigdy z tej klęski. Nie potrafię wypowiedzieć swojego zdania w tej mierze, ale jeżeli przypominamy sobie wpływ takiego faktu jak bitwa pod Białą Górą na morale Czechów, na ich całą postawę w ciągu wieków następnych, to kto wie, czy nie należałoby przychylić się do takiej oceny historyków włoskich.

8. SCEPTYCYZM WOBEC „WŁADZY I ŁADU“

Włochy zostały przeorane najazdami — a co gorzej postojami różnych mocarstw, jak żaden bodaj kraj w Europie. Te rządy i te postoje trwały bardzo długo: znieprawili one kraj, wprowadziły korupcję, wrogi stosunek do wszelkiej władzy, przekonanie, że państwo jest czynnikiem łupiestwa i że trzeba je oszukiwać. Stworzyło antypaństwowe i antyspołeczne nastawienie we Włoszech, gdzie zbyt wielu oglądano panów i władców, ażeby uwierzyć, że którykolwiek z nich dba nie o własną świetność, sławę i nieśmiertelność, ale o dobro mas. Podobne nastawienie oglądamy w dzisiejszej Irlandii, która jest zawsze „agin' the government“, a w jakiej mierze niechętny i nadmiernie krytyczny stosunek Polaków wobec ich własnych rządów jest pochodną niewoli i obcej okupacji?

Głębokie urazy zbiorowe Włoch do władzy, trauma zbiorowa tego narodu wobec rządzących, pogarda dla nich połączona z zafascynowaniem, pompą i ceremonią, to przetrwało do dnia dzisiejszego. Włoch nie ma ani w części instynktu zbiorowego Anglii, nie zna dyscypliny społecznej, traktuje państwo jako sposób zrobienia kariery, polityczne stanowiska jako drogę do zrobienia fortuny i utrwalenia swoich wpływów. I znowu historia uczy nas w tej mierze, że tak być musiało — albowiem władcy i wielmoże rozdzielali łaski polityczne, a one prowadziły do beneficjów materialnych. Kościół robił to samo: papież rozdawali swoje łaski i przywileje, a te z kolei wiodły do fortuny. W tym kraju zasadniczo biednym, tak właśnie robiło się majątki (w Grecji do

niedawna jeszcze kariera polityczna stanowiła drogę do dobrobytu materialnego). Polityka służyła celom prosperity. Ale osobistej.

Nepotyzm, faworytyzm — były zakorzenione we Włoszech od czasów cesarzy. Zmienna władza opierała się na pozyskiwaniu sobie faworytów i popleczników. Tak z każdym pokoleniem tworzyła się warstwa ludzi finasowo uprzywilejowanych. Napoleon, Korsykańin, dał nam pokaz niesłychanego nepotyzmu: porozmieszczał swoich braci, gdzie się dało, swoim siostrą dał najlepsze wyposażenie na świecie. Był on typowym Włochem, larger than life, jeżeli wolno użyć tego angielskiego wyrażenia.

Wydaje się, że te zastarzałe nawyki nie zostały wytrzebione i że we Włoszech dzisiejszych polityka dalej otwiera drzwi do pomyślności i dobrobytu, chociaż Włochy obecne mają nowe źródło bogactwa: przemysł. Dawniej źródło to nie istniało.

Nepotyzm i faworytyzm sprawił, że wyhodowano typ człowieka zależnego od władcy, od kaprysów pana, człowieka, który musiał ciągle być na qui vive i który stale słuchał jak trawa rośnie, czy co w trawie piszczy, albo — jak wiatr wieje. Ten system stworzył roje oportunistów i dworaków, a nie brak ich jest i w dzisiejszych Włoszech. Nie mają oni wyraźnego zdania, zmieniają swoje sądy i poglądy zależnie od podmuchów wiatru. Polityczni liderzy nie mogą liczyć na niezachwiane poparcie. Partie polityczne we Włoszech nie mają za sobą tak oddanych zwolenników jak w Niemczech, Francji czy w Anglii. Są to przeważnie ludzie koniunktury. Z wszystkich trzech ruchów totalnych: a zatem komunizmu, hitleryzmu i faszystwu, ten ostatni liczył sobie najmniej chyba solidnych, szczerych zwolenników.

(c. d. n.)

Zbigniew Grabowski

„Brr... zimno...“ Motor zakaszłał niepewnie, zawarczał... Jacek dodał gazu, powoli puszczając sprzęgło. Motor na chwilę odżył, zadygotał... zgasł. „Zimny, musimy trochę poczekać — zwrócił się do nas z uśmiechem — „może skoczmy na głębszego? Tak dla rozgrzewki? Co?

„Dobry pomysł, ale weź z sobą motor, jemu to bardziej potrzebne niż nam“ — poparłem go z pośpiechem.

„Późno już jest, zostawmy to na jutro“ — oponował Zbyszek, ziewając demonstracyjnie. „Tak Zbyszek ma rację“ — dodała Zosia.

„Słuchaj, Zosiu, co się stało z twoją uroczą koleżanką?“ wtrąciła Krysiabstynentka, subtelnie zmieniając temat.

„Panią Brzączyńską?“

„Tak“

„Została w klubie — pewnie czeka aż ktoś zatelefonuje jej po taksówkę. Ona tak zwykle wraca do domu“.

„Ho, ho, wielka dama“ — zdziwił się Jacek. „Dobrze się jej powodzi. Ciekawym skąd ona ma forszę?“

„Nie jestem pewna. Zdaje mi się, że ma dużą pensję od firmy, w której pracowała... zapewne ma także oszczędności. Nie wiem dokładnie. Wiem jednak, że większość czasu spędza po różnych polskich klubach, zanudzając wszystkich. Ludzie omijają ją z daleka, ona twierdzi jednak, że nie znosi samotności... Szkoda mi jej...“

„Osobiście jej nie lubię, za dużo się zgrywa na wielką damę — nie jest szczerą“ przerwał jej monolog. „Razdę się od niej trzymać z daleka“.

„Starsza już jest, to dla nich typowe“ — dodał Zbyszek, ignorując ostatnie moje słowa. Żyją według zasady, „jakim cię widzą, takim cię piszą“.

„No, dobrze, zgoda, ale przyznasz mi chyba rację, że mimo marsowej miny i wykwintnych manier, są fałszywi, banalni, nawet groteskowi... Jak coś od ciebie chcą, to czarują, całują rączki pani kapitanowo, padam do nóżek pa-

KONFLIKT

nie starosto i temu podobne frazesy. Za plecami zaś, nie zostawiają na tobie suchej nitki. Jeśliś im niepotrzebny to cię pogardliwie zignorują — zimno, ostentacyjnie. „Wystarczy wejść do jakiejkolwiek z tych niby lepszych lokali polskich, a atmosfera panująca w nich mrozi krew.“

„Oho, Romek wsiadł już na swego konika“ — zaśmiała się Krysią.

„Wsiadłem, nie wsiadłem, to jest fakt.“

„Nie zaprzeczę ci, ale musisz Romku zrozumieć, że tu na emigracji, szczególnie tu w Londynie, znajduje się większość inteligencji przedwojennej, ludzie, którzy przed wojną byli śmietanką towarzyską i brali, często, wybitny udział w życiu kraju — politycy, prawnicy, profesorowie, doktorzy i wielu innych. Chyba mają prawo, choćby z tytułu swych osiągnięć przedwojennych, na pewną pretensjonalność w obejściu?“

„To nie jest istotą problemu. Kwestią zasadniczą jest to, że oni ciągle żyją tamtym światem, iluzją władzy — tamten świat zaś runął w pożodze wojny. Kwestią zasadniczą jest to, że podejście to jest nie tylko widoczne w ich zachowaniu, ale przenika także każdy prawie aspekt ich działalności społecznej, wyrażając tym szkodę...“

„Pięknie mówisz, ale lepiej powiedz mi gdzie mieszka ta pani Brzączyńska?“ przerwał mi Jacek, zabierając się ponownie do zapuszczania motoru.

„Zdaje mi się, że gdzieś na Willesden“ — odpowiedziała za mnie Zosia.

„Toż to dla nas po drodze — damy jej lifta?“

„Czemuż nie. Pójdę ją poprosić“. — zgłosiła się Zosia wysiadając z samochodu. Po chwili ujrzelśmy ją wynurzającą się z drzwi klubu, trzymającą pod rękę starszą panią ubraną w grube włochate futro. Powoli schodziły ze schodów.

„Niedźwiedz“ — mruknął Zbyszek, szturchając mnie w bok.

„Cicho bądźcie“ szepnęła zrozpaczona Krysią, „jeszcze was usłyszy“.

„Dziękuję ślicznie, kochana Zosińko“, szczebiotała dama. „Chwała Bogu są jeszcze dobrzy ludzie na świecie, którzy pamiętają o starszych. Tak, tak, stara już jestem, ledwo chodzę... kochane z ciebie dziecko, Zosiuniu“.

„Ależ, proszę pani, to nie moja zasługa... to pan Jacek zasugerował... jego samochód“ — płątała się zażenowana Zosia, robiąc rozpaczliwe miny z prośbą o pomoc.

„Dobry wieczór pani“ — skłonił się szarmancko Jacek. „Może pani pozwoli tu z przodu“

LWÓW
1782
WIEN

J. A. BACZEWSKI

GATUNKOWE WÓDKI i LIKIERY
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI!

Jarzębiak	Malinowa	Tea-Rum
Kontuszówka	Starka	Wiśniówka
Krupnik	St. Bernhard	Wiśniak

Przedstawiciel

J. A. BRUCE & CO.

9, LENTHALL PLACE, LONDON, S.W.7.

Tel. FRE 5808

(Koło stacji kolejki podz. Gloucester Road)



POKOLEŃ

„A Zosia?”

„Ulokuję się z tyłu” — odpowiedziała szybko Zosia — „samej pani będzie wygodniej — tu jest dużo miejsca” dokończyła, wpychając się bezceremonialnie na tylne siedzenie.

Pani Brzączyńska usadowiła się wygodnie, odetchnęła z ulgą... niespodziewanie motor zagrał cicho i pewnie. Ruszyliśmy.

„Pani mieszka na Willesden, nieprawdaż?” — zwrócił się Jacek do pani Brzączyńskiej.

„Na Willesden, broń Boże! — przecież tam sami czarni! Mieszkam na St. Johns Wood”. Podkreśliła ostatnie słowa. „Zna pan drogę? To niedaleko stąd. Dojeżdża pan do stacji kolejki podziemnej St. Johns Wood, skręca na lewo przy światłach, no a stamtąd nie więcej niż pięć minut drogi do mnie, 35, Hallam Gdns.”

„Już wiem, dziękuję”.

W czasie podróży pani Brzączyńska brzęczała bez przerwy, przeskakując z tematu na temat, niczym pszczoła z kwiatka na kwiatek. Najbardziej banalne uwagi wygłaszane były z patosem i emfazą, tak jakby każde słowo było na wagę złota. Od czasu do czasu przytakiwaliśmy, lub też wyrażaliśmy półgłosem wątpliwości, kiedykolwiek pani Brzączyńska przestawała dla nabrania oddechu.

„Wstrętne babsko” — zaklął Zbyszek pod nosem.

„Pani Brzączyńska”, zwróciła się do niej nabierając odwagi Zosia, „czy pani często przychodzi do klubu?”

„Brzączyńska, Zosiu, Brzączyńska, — zaperzyła się dama, akcentując ostro każde słowo. „Muszę ci zwrócić uwagę, że u nas nie mówi się po nazwisku. Mówi się tylko „proszę pani” lub „proszę pana”. Jest to także w dobrym tonie oddać każdemu należny tytuł. W Polsce wołało się pucybuta czy też służącą po nazwisku, ale człowieka z lepszej sfery — nigdy! „Pani Brzączyńska” widzicie mi to” — zasapała się gniewnie.

„Przepraszam panią, nie wiedziałam” — wyjąkała niepewnie Zosia.

„Ależ, co też nam pani mówi” — oburzył się Zbyszek. „A czymże to pucybut czy też służący gorszy od pani?”

„Czasy feudalnych wielmożów już dawno minęły” — dodałem. „My wychowaliśmy się w innych warunkach i dystynkcje klasowe są dla nas bez znaczenia. To jest snobizm”, ciągnąłem dalej patrząc na nią wyzywająco.

Atmosfera z miejsca stała się ciężka i groźna. Napiąłem się w sobie gotowy do skoku. Niestety piorunochron w oso-

Jest już tradycją „Orla Białego”, że słowa „artykuł dyskusyjny” nie oznaczają na naszych łamach próby ostrożnego odcięcia się od poglądów autora. W przeciwieństwie do niektórych redakcji słowami tymi zachęcamy po prostu do podjęcia dyskusji na temat poruszony w artykule.

„Konflikt pokoleń” dotyczy t.zw. zagadnienia młodszego pokolenia Polaków na emigracji. Romuald Kubisz spostrzeżenia swe i wniośki ogranicza do terenu Wielkiej Brytanii. Spostrzeżenia są trafne. Wnioski także, lecz nie wszystkie. Można je uzupełniać wielu innymi. Z tych niektóre potwierdzą tezy autora, inne postawią nad nimi znaki zapytania.

Mamy nadzieję, że otrzymamy tego rodzaju uzupełnienia i że artykuł dziś drukowany zachęci do polemiki i dyskusji na ten najważniejszy społecznie temat emigracyjny.

bie Krysi złagodził wybuch, pozbawiając go balastu gniewu i uczucia.

„Obawiam się, że jest tu pewne nieporozumienie. Zosia nie chciała pani urazić — mimo wszystko jest to forma przyjęta w Anglii. Pan Romek co prawda uniósł się trochę, ale...”

„Rozumię moje dziecko”, przerwała łagodniej pani Brzączyńska, „że Zosia nie chciała mi zrobić przykrości, ale będąc w towarzystwie polskim powinna znać formy przyjęte w środowisku polskim. Chyba mi tego za złe nie masz Zosieńko, że zwróciłam ci uwagę? Co do pana”, zwróciła się do mnie, nie czekając na odpowiedź Zosi, „powinien pan mieć więcej szacunku dla mego wieku”.

„Szanuję starszych, proszę pani, ale nie podzielam, proszę mi wybaczyć jeśli tak powiem, ich uprzedzeń czy też idiosynkrazji. Polska etykieta towarzyska w kontekście Pani wydaje mi się mało postępową, niedemokratyczną, wprost reakcyjną. Osobiście nie mam zamiaru popełniać grzechów moich ojców odnośnie przesądów klasowych. Obawiam się, że w tym wypadku nie mogę się z panią zgodzić”.

„Dalsza argumentacja jest tym samym bezpodstawa. Ostrzegam pana jednak, że jeśli chce pan być przyjęty przez towarzystwo polskie jako człowiek wykształcony i kulturalny, jakim pan niewątpliwie jest, będzie pan musiał akceptować formy obejścia przyjęte przez nich. Jest to forma towarzyska i językowa i musi się pan z tym pogodzić”.

„Proszę pani, jeśli uznam ostatni argument pani, będę zmuszony zaakceptować i inne aspekty naszego życia emigracyjnego — a tu kompromis jest nie do przyjęcia”.

„Inne aspekty naszego życia” na przykład jakie?” zdziwiła się.

„Jakie? Proszę więc posłuchać...” zapaliłem się ponownie do odpowiedzi.

„No jesteśmy na miejscu” — zaanonsował Jacek, przerywając mi.

„Trudno, nie usłyszę już pańskich opinii na ten temat... ale zapewne zobaczymy się jeszcze...”

„Wątpię... a może...”

„Dobranoc Państwu”.

„Dobranoc Pani” — odpowiedzieliśmy chóralnie.

* * *

INCYDENT z panią Brzączyńską podenerwował mnie mocno. Honorowo muszę się przyznać, że nie była ona pierwszą przedstawicielką starszego pokolenia, z którą wszedłem w szranki — na pewno nie będzie ostatnią. Niestety dzieli nas „otchłań czasu i przestrzeni”.

Skończyłem niedawno 27 lat. Należę do pokolenia, które, pomimo iż urodziło się w Polsce, wychowało się zagranicą, a wykształcenie i trening życiowy otrzymało w Anglii. Mimo to więzy nasze z polskością są silne — czujemy się Polakami, dzięki troskliwej opiece domu i szkoły polskiej, do której miałem szczęście uczęszczać. Pod względem społecznym i towarzyskim odchodzimy jednak coraz bardziej od środowiska polskiego. Jako jeden z działaczy młodzieżowych na wygnaniu znam młode pokolenie emigracyjne oraz mam kontakt z wielu przedstawicielami starszego pokolenia. Dzięki temu mam dobrą okazję obserwacji naszego życia. Obawiam się, że naturalny brak zrozumienia i konflikt między pokoleniami wyolbrzymiał tu na emigracji do granic absurdu, przygotowując tym samym destrukcję emigracji polskiej jako osobnego, niezależnego czynnika w życiu tego kraju. Pragnę zaznaczyć, że w artykule tym zajmuję się jedynie i wyłącznie emigracją, gdyż Polacy w kraju będąc normalnym społeczeństwem nie wykazują tych samych symptomów.

Rozdzwięk między pokoleniami jest nie tylko zjawiskiem naturalnym, częścią psychiki ludzkiej, ale także nieodzownym warunkiem postępu. Jest on częścią metamorfozy dziecka w młodzieńca, a następnie rezultatem transformacji młodzieńca w człowieka dorosłego i dojrzałego. Młodość to okres ambitnych, często krzykliwych aspiracji, ideałów i snów, to zapal, szal, werwa i energja. Dojrzałość (nie powiem starość) jest bardziej przy-

ziemna, ustabilizowana, konwencjonalna, podejrzliwa, a nade wszystko, jak twierdzą starsi, „doświadczona życiem“. Owo mityczne doświadczenie staje się ich wielkim argumentem życiowym — *conditio sine qua non*. Dla młodych ta postawa wskazuje na brak polotu, brak zrozumienia, na ... po prostu przeżycie. Rezultatem bunt młodych, odruch jak najbardziej zdrowy, ba, powiem konieczny.

Udostępnienie nauki ogółowi, bez względu na różnice materialne czy też klasowe, postęp techniczny oraz konsekwentny dobrobyt, postawił młodych na własne nogi wzmacniając ich bunt. Dawna bezwzględność i stanowczość starszych względem dzieci ustąpiła miejsca dzikim fluktuacjom niepewności. Postępowanie ich cechuje dziś z jednej strony zacietrzewienie, brak tolerancji i konserwatyzm, z drugiej zaś brak zainteresowania, niedbalstwo i liberalizm bez granic. Oniemiali, otumanieni, żyjący swoim światem, gubią się między skrajnością a ostatecznością. Konsekwencją i owocem tego podejścia jest „the Angry Young Man“ (nomenklatura Osborne'a), który się odbił głośnym echem w społeczeństwie angielskim kilka lat temu. Dziwnym wydaje mi się, że ta sprawa była kompletnie przemilczana na łamach polskich wydawnictw emigracyjnych. Dlaczego? Czyż społeczeństwo nasze nie wykazuje tych samych symptomów, czy też zamyka, jak zwykle i celowo, oczy, aby jak najdłużej utrzymać iluzję utopijnych stosunków między pokoleniami? Jako emigranci kochamy się w iluzjach, alegoriach, przerośniętych, sentymentalizmie i cierpieniach — jako emigranci boimy się rzeczywistości spojrzeć w twarz. Jedyne tragedia na skalę monumentalną może nas zmusić, by przybrać bardziej realną postawę.

Ignorowanie tego problemu uniemożliwia stosowne wychowanie dziecka, tymbardziej, że musimy na to patrzeć w kontekście innych problemów emigracyjnych. W rezultacie, różnice między pokoleniami w społeczeństwie polskim w Anglii przybierają formy ostre i nierealne. Różnice w warunkach wychowania i podejściu do życia w społeczeństwie angielskim (tak bardzo innym od społeczeństwa polskiego) są u nas akcentowane większą dozą braku zrozumienia niżby to miało miejsce w warunkach normalnych.

W zakończeniu tej części warto jeszcze zaznaczyć, że konflikt pokoleń, jako taki, nie jest centralnym problemem emigracji — jest on częścią poważniejszego zagadnienia. Tym zagadnieniem to kwestia polskości. Zachowanie młodzieży emigracyjnej przy polskości winno być głównym celem

działalności emigracyjnej. Jak dotąd mówiąc ogólnie, działalność ta, ze względu na różnice kulturalno-społeczne w wychowaniu i sposobie myślenia starszego i młodszego pokolenia, napotyka na ogromne trudności. Efektem tego jest to, że stosunkowo nieliczny, ciągle topniejący, procent młodzieży wiąże się aktywnie z naszym życiem zbiorowym. Winę za ten stan rzeczy składam tylko i wyłącznie na barki starszego pokolenia.

* * *

KAŻDA emigracja z natury rzeczy jest, na dłuższą metę, zdana na zagładę — jest ona jak karcz wyrwany z ziemi, który z biegiem czasu zgnije i w proch się obróci; jest ona jak bezdomne dziecko oddane w opiekę przybranych rodziców. Pamięć jego o własnych rodzicach oraz przyzwyczajenie do nowych w dużej mierze zależeć będzie od jego wieku, inteligencji, rozwoju. Czym młodsze tym szybciej zerwie więzy wiążące je z przeszłością, tym szybciej pogodzi się z nowym losem. Emigracja nasza, ze sposobu zachowania, tonu myślenia i działalności, wydaje się właśnie być takim młodym nierozwiniętym wyrostkiem. W rezultacie proces asymilacji i absorpcji emigrantów, szczególnie młodych, robi szalone, przerażające postępy, tymbardziej, że społeczeństwo angielskie jest dla nich bardziej realne i atrakcyjne — społeczeństwo emigracyjne jest zaś tworem sztucznym, bodajże fikcyjnym.

Społeczeństwo angielskie to przykład postępowej, zaawansowanej, sprawnie działającej demokracji; społeczeństwo emigracyjne polskie, szczególnie londyńskie, to jedna z najbardziej archaicznych grup na Zachodzie. Nie dziwiw się temu, że w pojęciu obcokrajowców, Polacy to naród arystokratycznych wielmożów i zacofanych romantyków. Świetnie to uwytknił w jednym ze swych pokazów telewizyjnych Phil Silvers w historii „barona“ Waluski. Waluska jest jednym ze współpracowników Silvers'a w fabryce — przyjemny, solidny, bezpretensjonalny; gdy jednak nasz rodak przekonywuje się, że jest „baronem“ cechy powyższe ustępują miejsca wyniosłej pustocie i zmanierowanej głupocie, w której przypomina nam Don Kichota uganiającego ła widmami nieistniejących rycerzy. Dopiero niebezpieczeństwo utraty ukochanej Dulcynei sprowadza go na ziemię.

Komedia ta, pomimo, że uśmieiałem się dobrze zostawiła mi przykry smak w ustach — niestety, czułem jak wiele w niej prawdy. Pomijam oczy-

wicie dziwaczne nazwisko i tytuł „barona“, który jest zupełnym unikatem wśród Polaków. O ile przejdziemy się po lokalach polskich w Londynie (także i na prowincji, choć tu w mniejszym stopniu) przekonamy się, że „baron“ Waluska nie jest fikcją — że żyje i działa. Snobizm klasowy i arogancja to dwie najbardziej rzucające się w oczy i rażące cechy naszego zachowania; konsekwentny brak solidarności to zaś najbardziej tragiczny rezultat tej mentalności. Obawiam się, że za duży nacisk kładziemy na formę, za mało uwagi przywiązujemy do treści.

Życie przeszłością oraz wieczny malkontentyzm, utożsamiany z nostalgia i wyrażający się zwrotami „U nas w Polsce...“, „Za moich młodych lat...“ itp. — oto najpoważniejszy błąd w podejściu starszego pokolenia. Do dziś dnia — pomimo iż jest materialnie zasymilowane, jest inne duchowo — żyje w dużym stopniu problemami i atmosferą niepodległości, z zaparciem i zapałem rozpamiętywanych i roztrząsanych przy czarnej kawce, w dymach oparów papierosowych po klubach, barach i domach — wszędzie, gdzie spotykają się starsi emigranci. Opis pani Marty przez felietonistę „Dziennika Polskiego“, Mi-Kiego, świetnie charakteryzuje ten aspekt życia emigracyjnego: „Jak jej umysł zatrzymał się na roku 1939, tak dalej ani rusz... Dla niej wczorajszy dzień nie istnieje. Jest tylko bieżący. I przeszłość. Tu pamięć ma doskonałą. Kto, gdzie, kiedy — nawet daty i godziny. Późniejsze czasy? Zmora, więc po co przypominać? Szczęśliwa tarcza natury. „Co prawda bohaterka tego opowiadania ma dziś 78 lat, ale przecież w 1939 r. miała lat 53. I to jest sedno i tragedia starszego pokolenia! Większość emigrantów pomimo praktycznego i materialnego przystosowania się do warunków tutejszych stanęła myślą gdzieś w granicach lat 30-40! W rezultacie ich myśli, wspomnienia oraz gros działalności — literatura, teatr, akademie, przedstawienia — związane jest z przeszłością, z problemami, które są już nieaktualne, a dla młodzieży nieciekawe. Nawiasem mówiąc, nawet tych młodych, których interesują te sprawy przeraża różnorodność wersji i interpretacji tamtych czasów, zacietrzewienie i kłótnie polityczne, oraz brak obiektywnej oceny. Dalszą smutną konsekwencją tej postawy jest to, że *nolens volens*, starsi wychowują swe dzieci w duchu tamtych lat. Tempora mutantur et nos mutamur in illis — mówi łacińskie przysłowie. Wydaje mi się, że starsi emigranci nie rozumieją doniosłości tego powie-

dzenia. Brak jest im siły na radykalną zmianę w orientacji — a to jest konieczne o ile chcemy wychować przyszłe pokolenia młodych Polaków. Konserwacja przeszłego sentymentalizmu, przestarzałych koniunktur i romantycznej nostalgii nie jest najlepszym kryterium wychowania dzisiejszej młodzieży.

Dom, szkoła i życie zbiorowe — oto trzy czynniki odpowiedzialne za stosowne duchowe, narodowe i obywatelskie wychowanie dziecka. Jak dotąd możemy śmiało powiedzieć, że dom w większości wypadków jest jeszcze polski; można zaryzykować twierdzenie, że będzie polski dopóki żyje starsze pokolenie. Co będzie jednak, gdy dorosną młodzi, a zabraknie starszych? Już teraz możemy zaobserwować konflikt na tym polu. Starsi, pomimo asymilacji materialnej, żyją i myślą kategoriami polskości — młodszy, urodzeni w większości wypadków poza krajem, wykształceni i wychowani w szkołach angielskich, znają tylko jedną drogę życia — brytyjską, ona to motywuje jej odruchy. Jak wszczepić w ich dusze zasady miłości Ojczyzny — dalekiej, nieznannej? Jak można kochać nieznając? Wiedzę i miłość Ojczyzny zazwyczaj nabywamy w szkole; zrozumienie przez życie zbiorowe. Pozbawiając dzieci atmosfery szkoły polskiej oraz stosownego treningu w życiu społecznym, pozbawiamy ich nieodzownych elementów, które kształtują duszę narodu. Co prawda szkoła polska istnieje, lecz dwie godziny formalnych wykładów polskich w sobotę jest niewystarczające w porównaniu ze szkołą angielską, w której spędzają większość swego życia. Szkołę polską traktuje się jako obowiązek względem rodziców, a najwyższej jako okazję zdobycia jeszcze jednego przedmiotu na małą maturę. Ja wiem — przeszedłem wszystkie trzy fazy: miałem szczęście kształcić się w szkole polskiej, uczyć w sobotniej, a dziś wykładam w szkole angielskiej. Dom i szkoła to zapewne dwa najważniejsze elementy wychowawcze w życiu dziecka. Na dom więc spada główne zadanie zastąpienia roli szkoły polskiej, przez przestrzeganie ducha polskości oraz stosowne uczenie dzieł ojczystych. Z tego co widzę jestem zdania, że tylko nieliczny procent rodziców spełnia poprawnie swą rolę w tym zakresie, utrudniając tym samym pracę nielicznych pedagogów i wychowawców, którzy starają się tym sprawom zaradzić.

W życiu młodzieńca (nastolatka — nomenklatura T. Koźlakowskiego) najważniejszym składnikiem wychowawczym jest niewątpliwie życie zbiorowe — społeczne, które uczy nas od-

powiedzialności osobistej i, nade wszystko, publicznej. Nasze życie zbiorowe z punktu młodzieżowego jest niestety, nawet jeśli nie ubogie, zdezorientowane i oparte na błędnych zasadach. Gros młodzieży jest zapewne niezrzeszone, a nawet ci co należą do jakiejś organizacji są często pasywnymi, nie aktywnymi członkami. Polskie organizacje młodzieżowe kurczą się stale, lub też przemieniają się w małe samowystarczalne kliki. Współpraca między starszymi i młodymi prawie że nie istnieje — a jeśli nawet jest jakiś kontakt, jest raczej natury negatywnej. Społeczeństwo angielskie jest pod tym względem stokroć bogatsze w idee i zaradniejsze. Praca młodzieżowa jest u nich zorganizowana świetnie na skalę nie tylko lokalną, ale i narodową i popierana jest przez najwyższe czynniki z księciem Filipem, małżonkiem królowej, na czele. W ogóle zainteresowanie młodym pokoleniem w Anglii jest wprost zadziwiające. Starsi nie tylko organizują ich czas wolny z pomocą wykwalifikowanych instruktorów młodzieżowych, ale także starają się rozwinąć ich zainteresowania kulturalne, artystyczne i polityczne, oraz przygotować ich do przyszłych obowiązków.

Wszystkie drzwi stoją otworem. Nie tylko uczy się ich odpowiedzialności — narzuca się im ją! Angolicy rozumieją, że od młodzieży zależy ich przyszłość — dlatego robią wysiłek. Nie będę tu wyliczać tabeli porównawczych różnych profesji — wszystkim wiadomo, że biją nas na łeb, na szyję! Wspomnę tylko dwa przykłady z zakresu polityki, która jest tak bliska sercom polskim. Jeden z moich angielskich kolegów po fachu jest radnym miejskim. Ma lat 27. Drugi, mimo iż ma tylko lat 30 jest przywódcą radnych Partii Pracy. Warto też wspomnieć, że kandydat Partii Pracy na okręg wyborczy Hornsey, Stephen Yeo miał lat 21. Dostał tylko 3.000 głosów mniej niż zwycięska kandydatka Partii Konserwatywnej. W wyborach (o dziwo!) nie wymawiano mu braku doświadczenia życiowego, czy też politycznego. Czyż sytuacja taka jest do pomyślenia w naszym życiu emigracyjnym?

Jak dotąd brak jest nam ośrodka młodzieżowego, który by koordynował pracę lokalnych organizacji (tak między starszymi, jak i młodszy), brak współpracy pomiędzy poszczególnymi stowarzyszeniami młodych, brak wykwalifikowanych działaczy młodzieżowych, a nade wszystko, brak zrozumienia i dobrej woli ze strony star-

szych. Starsi połowicznie radzą, pomagają, współpracują, w praktyce jednak trzymają wszystko kurczowo w swoich rękach. Młodzież jest mile widziana na zebraniach, lecz nigdy nie brana poważnie: niedoświadczone młokosy! Jak można brać ich opinię pod uwagę?! Jak można pozwolić im zasiąść przy tym samym stole, z nami, którzyśmy życie zżarli na utarczках polityczno-organizacyjnych?! Zaiste, to jest nie do pomyślenia! Ciekawym co będzie, gdy starzy bojownicy zejść z pola bitwy na zasłużony odpoczynek? Któż zajmie ich miejsca? Cienie... czy widma? Najwyższy czas, aby starsi zrozumieli, że nieśmiertelność nie jest prerogatywą ludzką; że wytrwanie na posterunku do końca w tym wypadku jest równoznaczne zagładzie tego o co walczą — a mianowicie polskości!

* * *

W ZAKOŃCZENIU warto także zwrócić uwagę na to, że brak jest nam czynników natury ogólnej — atmosfery żywej kultury polskiej w postaci działalności literacko-artystycznej, która wywiera wielki pośredni wpływ na kształtowanie się młodych pokoleń. Brak jest nam stosownej literatury czy wydawnictw, które by zainteresowały młodych. Jedyna polska gazeta codzienna „Dziennik Polski“ jest regularnie ignorowana przez młodych — wyjątek stanowią tu do pewnego stopnia „Kontury“; najpoważniejszy tygodnik polski „Wiadomości“ jest nieznaną ogółowi. Nie wpominam już „Kultury“ paryskiej czy „Kontynentów“, o których istnieniu większość nie słyszała. W związku z teatrem to Hema, Ref-Ren, czy Kiersnowski, monopolizując jego działalność, nierozważnie związały go z przeszłością, zyskując łatwy poklask starszych, tym samym jednak skazując go na zagładę.

Odnosnie literatury, brak jest nam stosownej nowoczesnej beletrystyki, z której młodzież mogłaby czerpać polskości, która by ją zainteresowała. Sienkiewicz, Żeromski, Prus czy inni pisarze 19-20 stulecia są dla młodzieży językowo za trudni — znajomość języka polskiego przez pokolenia wojenne jest niewystarczająca, aby zrozumieć piękno ich prozy; tematycznie — są nieaktualni. Dlatego też literatura angielska jest bardziej pociągająca. Literatura emigracyjna nie robi zaś nic, aby tę lukę wypełnić. Do dziś dnia gubi się ona w wspomnieniach, jest wielosłowna i gołosłowna.

KONFLIKT POKOLEŃ

Są to rzeczy często piękne i słusznie nagradzane rok w rok przez „Wiadomości“, ale nie przemawiają one do młodych. Brak w nich żywych tendencji, którymi pulsuje piśmiennictwo angielskie. Dla starszych czas stanął w miejscu.

A cóż młodzi? — odchodzą dalej i dalej od tego co polskie, co bliskie ich ojcom. Duchowo, materialnie, organizacyjnie społeczeństwo angielskie jest im znacznie bliższe. Jeżeli dalej będziemy patrzeć na to przez palce pochłonę ich wkrótce trzęsawisko angielszczyzny. Dla nas będzie to strata, tym przykrejsza, iż można ten proces wstrzymać.

Romuald Kubisz

BILETY KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio
z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street

Tel. MID 1526

SPRAWOZDANIE ROCZNE „AKCJI POMOCY CHORYM W KRAJU“ prowadzonej przy Przedstawiciel- stwie Orzeł Biały/Syrena w Paryżu.

Na prośbę naszego przedstawiciela w Paryżu, wyznaczył Szef Sekcji Łącznikowej O. W. płk. M. Topolnicki w Orleanie Komisję Rewizyjną z Oddziałów Wartowniczych we Francji w składzie: Getter Stanisław i Ziółkowski Zdzisław, która zbadała działalność i celowość Akcji Pomocy Chorym w Kraju za czas od 1. V. 1964 do 23. III. 1965.

Akcja ta jest prowadzona bezinteresownie przez nasze Przedstawicielstwo w Paryżu.

Ofiary poszczególnych jednostek O. W. za okres sprawozdawczy wyniosły:

6954 L. S. Ln. Det.	Fr. 342,00
4011 L. S. Co.	663,00
4013 L. S. Co.	751,93
4085 L. S. Co.	287,71
4088 L. S. Co.	350,00
4096 L. S. Plat.	339,00
4158 L. S. Co.	303,00
4507 L. S. Co.	1.100,00

R A Z E M : 4.136,72

Inne wpływy	53,43
Saldo na 1.V.64.	1.926,00

R A Z E M : Fr. 6.116,43

Wydatki: za wysłane do 31.1.65 do Kraju:

a) 92 paczki z lekarstwami (przeciętny koszt jednej paczki 33,90 Fr. z rabatem 20% od firmy Tazab	Fr. 3.119,18
b) Opłaty pocztowe do Polski i Londynu	178,15
c) Wydatki kancelaryjne, druki, klisze i maszynopisy	77,90

R A Z E M : Fr. 3.376,03

Saldo na 24.III.1965. Fr.	2.740,40
---------------------------	----------

z której to kwoty do opłacenia są należności za lekarstwa za II i III/1965 w kwocie Fr. 1.615.10.

Komisja Rewizyjna stwierdziła, że Akcja Pomocy Chorym w Kraju jest prowadzona b. celowo, dokładnie i z minimalnymi niezbędnymi wydatkami administracyjnymi.

Weryfikacja próśb o lekarstwa bardzo dokładna.

Akcja ta mogła być prowadzona jedynie dzięki wielkiej ofiarności członków O.W. we Francji i w pełnym zrozumieniu przez nich celu tej akcji w formie symbolicznego kontaktu ze społeczeństwem w Kraju na niwie charytatywnej.

Członkowie Komisji rewizyjnej:
St. Getter — Przewodniczący
Z. Ziółkowski — Członek

PUBLICYSTYKA polityczna bądź interpretuje i wartościuje wydarzenia, bądź też zmierza ku temu, by nadać im określony bieg i kierunek. W przypadku pierwszym miarą oceny artykułu publicystycznego są w dużej mierze informacje jakimi jego autor dysponuje, w przypadku drugim, intencje i cele polityczne jakimi się powoduje.

Jest to podział teoretyczny, w rzeczywistości bowiem zdecydowana większość publicystyki politycznej spełnia jednocześnie funkcję informującą i inspirującą. Wynika to oczywiście stąd, że wyłącznie na podstawie właściwej oceny przeszłości i współczesności, można konstruować słuszne wskazania na przyszłość. W przeciwnym przypadku argumentacja jest błędna — gdy jest niezamierzona, lub demagogiczna — gdy autor sam zdaje sobie sprawę z wątpliwej wartości przesłanek, na których oparł swoje myślenie polityczne. Rzadkim przykładem publicystyki o charakterze wyłącznie inspirującym jest artykuł Juliusza Mieroszewskiego zamieszczony w marcowym numerze paryskiej „Kultury“.*) Jest to artykuł, w którym dobór faktów służy podbudowaniu tezy, teza natomiast nie wpływa na obiektywnej oceny faktów i nie jest ich logiczną, nieuniknioną konsekwencją. Śmiem przypuszczać, że wątpliwa wartość przytoczonych przez Juliusza Mieroszewskiego faktów i ich selekcja były kwestią przemyślenia a nie przeoczenia, gdyż zamiarem Mieroszewskiego jest wywołanie reakcji masowych, których zasięgu, kierunku, a co najważniejsze konsekwencji, on ani nikt inny przewidzieć nie jest w stanie.

W moim zrozumieniu p. Mieroszewski nawołuje do działania ze wszechmiar ryzykownego, które zdolne jest wywołać reakcje całkowicie różne od zamierzonych przez autora.

Pan Mieroszewski gdy zachęca do akcji politycznych o charakterze zbiorowym, odwołuje się również do argumentów należących już dzisiaj do rządu historycznych, niechaj i mnie będzie wolno od nich rozpocząć. Fakty jednak historyczne odnoszące się do krajów socjalistycznych są fak-

*) „Kultura“, Paryż, Nr. 3/209
J. Mieroszewski: „Wybór i Wybory“ str. 3-10).

POPIERAJ POLSKIE FIRMY

INSPIROWAĆ... OSTROŻNIE!

tami przedziwnej kategorii, są one bowiem albo powszechnie znane, albo całkowicie niedostępne dla osób postronnych, toteż odwołując się do nich tkwimy bądź to w sferze banału, bądź też w sferze domysłów. Pan Mieroszewski polega w znacznym stopniu na intuicji i domysłach, niechaj mnie będzie wolno przypomnieć kilka powszechnie znanych, a przez to, zbanalizowanych faktów.

Wiadomym jest więc powszechnie, że „polski październik“ przypadł w okresie kiedy Stany Zjednoczone — chociażby przez swoje stanowisko w sprawie Suez — wypowiedziały się na rzecz stabilizacji w stosunkach międzynarodowych. Polski październik był więc dynamicznym zrywem w świecie zmierzającym do stabilizacji i trudno dzisiaj ocenić z całą stanowczością jak dalece fakt ten przesądził o charakterze biegu wypadków trwających aż po dzień dzisiejszy.

Na stanowisku tym Stany Zjednoczone trwają nadal, tak można sądzić, chociażby na podstawie artykułów innego publicysty politycznego, prof. Zbigniewa Brzezińskiego, które zamieścił ostatnio niemiecki tygodnik „Die Zeit“ (**). Naszą zaś epokę cechuje przewartościowanie tradycyjnych wartości i pod tym względem, że nie polityka wewnętrzna narzuca rozwiązania w dziedzinie polityki międzynarodowej, lecz odwrotnie; niejednokrotnie nakazy polityki zagranicznej przesądzą o rozwoju sytuacji wewnętrznej. Jest to bodajże jeden z podstawowych probierzy tego zjawiska, które w nomenklaturze politycznej określono mianem satelizacji.

Odwołując się do argumentów zbanalizowanych, nie posunę się tak daleko, by wysunąć argument położenia geograficznego porównując sytuację Polski i Jugosławii wraz z wszelkimi wynikającymi stąd konsekwencjami. Chciałbym tym niemniej zwrócić uwagę na to, że w chwili wybuchu kryzysu pomiędzy Jugosławią

a Związkiem Sowieckim Tito nie tylko sprawował niepodzielnie władzę, ale mógł liczyć także na poparcie aparatu partyjnego i państwowego. Gomułka natomiast został wpieryw z partii usunięty i uwięziony, by następnie zostać wysuniętym na stanowisko pierwszego sekretarza w okolicznościach ze wszechmiar trudnych i złożonych. Tu także ma początek ciąg przyczyn i skutków trwających po dzień dzisiejszy.

Czy istotnie w wyniku polityki po październiku znaczenie Polski na arenie międzynarodowej uległo zasadniczej przemianie na niekorzyść, jest to moment o którym można dyskutować, ale z całą pewnością wyłącznym argumentem nie może być w tej mierze miejsce jakie poświęcił Polsce Max Frankel w swoich reportażach (***) byłoby to równoznaczne z przypisywaniem zbyt wielkiego znaczenia Maxowi Frankelowi i zbyt małego Polsce. Osobiście śmiem twierdzić, że gdyby Frankel pochodził z Polski a nie z Niemiec, napisałby więcej o Polsce mniej natomiast o dziedzictwie Ulbrichta.

Ale panu Mieroszewskiemu nie chodziło w tym wypadku o miarodajny argument, lecz o odskocznik dla swojej tezy. Śmiem przypuszczać, że tym samym powodowany mitologizuje on cokolwiek konflikt wewnątrz partii. Mnie przypominał przypowieści o walce pomiędzy demonem dobra i zła. Na ich wzór toczą walki „neostalinowcy“ z „liberałami“. Osobiście znam wyłącznie starych stalinowców, z których w poważnym stopniu rekrutują się szeregi dzisiejszych „liberałów“ z konieczności. Termin natomiast „neostalinowcy“ wydaje się być całkowicie nieprecyzyjny pod względem pojęciowym gdyż stalinowców określał w pierwszym rządzie ich stosunek do Związku Sowieckiego, natomiast stosunek do zagadnienia wolności jednostki,

***) „New York Times“, New York styczeń 1965.

kwestia poszanowania prawa itd. były tylko pochodnymi tego zasadniczego stanowiska. Do takiego układu stosunków nie ma już powrotu, uznał to nawet Ulbricht i kierownictwo czeskiej partii, a coś dopiero Polska, która pierwsza wkroczyła na drogę destalinizacji. Zupełnie inny rząd problemów następcza natomiast stanowisko partii wobec inteligencji twórczej, nie można jednak tej sprawy identyfikować z tak zwaną opozycją liberalną wewnątrz partii.

Chciałbym przynajmniej napomknąć o momencie, który wydaje się być kluczowym dla oceny sytuacji w Polsce i dalszych jej perspektyw. Momentem takim jest sytuacja gospodarcza. Nikt nie czyni już z tego tajemnicy, że jest ona beznadziejna i nikt nie wróży już nawet jej rychłej poprawy. A jak może być mowa o wolności bez chleba? Śmiem twierdzić, że odwrót od tendencji liberalnych w Polsce został uwarunkowany trudnościami ekonomicznymi i dlatego presja polityczna skazana jest na niepowodzenie, gdyż nie jest ona zdolna zmienić radykalnie sytuacji gospodarczej Polski, która boryka się z trudnościami nawracającymi w pokrewnych wersjach we wszystkich państwach obozu komunistycznego.

W tych okolicznościach wszelka masowa demonstracja może raczej sprowokować ofensywę czynników antyliberalnych, dobrze zorganizowanych i czekających na właściwy moment, by uchwycić władzę, niż przesądzić bieg wydarzeń na korzyść rozproszonych, pojedynczych liberałów. Pomijam przytem fakt, że zaistnieć mogą okoliczności, gdy kontrola nad wypadkami mogłaby się wymknąć spod kontroli czynników politycznych, których racja bytu nie została określona przez społeczeństwo i zaprowadzić Naród polski na sam brzeg przepaści.

Dążenie natomiast do zwiększenia ilości kandydatów do Sejmu jest równoznaczne z podtrzymywaniem wiary w fikcję, do której nikt w Polsce nie przywiązuje wagi, łącznie z jej aranżerami. Problem nie sprowadza się przecież do ilości wysuniętych kandydatów, lecz w znacznie większym stopniu uwarunkowany jest składem osobowym przyszłego Sejmu i jego uprawnieniami, na których bieg wpływ demonstracji masowych jest mniej niż znikomy.

**) „Die Zeit“, Hamburg, Nr. 11-13 Prof. Zbigniew Brzeziński: „Eine Politik für Europa“.

Czytaj książkę polską

DLA przeciętnego samochodziarza francuskiego (a jest ich ponad 10 milionów) największym wydarzeniem kulturalnym każdego sezonu wiosennego jest pojawienie się nowego wydania „Guide Michelin“ (nie mylić z „Grand Guide de la Nation“). Ten 1000-stronicowy czerwony przewodnik „drogiego i starego kraju“ (Michelin, a nie de Gaulle) nawet przez niedorośliwych do Europy Anglosasów został uznany za najlepszy w świecie, ale nie wiem, jakie mają o nim zdanie kołchoźniki spod Uralu, jak wiadomo Europejczycy „à part entière“, czyli pełnoprawni i pełnowartościowi. Podobno już niektóre biura podróży tę opinię badają na miejscu, bo wiadomo, że gdy tylko niezależnymi się całkowicie od yankeesowej hegemonii, to te kołchoźniki (i -czki) zastąpią w hotelach i w „Paris by night“ podupadłych Amerykanów. A staje się to już sprawa pilna, bo jeżeli tak pójdzie dalej jak idzie obecnie, to w Forcie Knox zabraknie wkrótce złota (wszystko przejdzie do „Banque de France“) i przecież trzeba pomyśleć o nowym jego źródle — a takie znajduje się tylko pod Uralem. Niektórzy politycy, nawet inteligentni można powiedzieć, wciąż stawiają sobie pytanie, co ta „Europa od Atlantyku po Ural“ oznacza? Odpowiedź jest bardzo prosta — właśnie to. Dewizy już się nie liczą, papierowymi dolarami i funtami będzie można wkrótce podpalać papierosy, a rozpocznie się no-

wa „złoty wiek“ (poprzedni miał miejsce w historii starożytnej, rzymskiej, od 30 prz. Chr. do 18 po Chr. jak to uczono nas w szkole). Przewidział go zresztą w czasie ostatniej wojny mój rodzony brat, gdy pewnego dnia po moim powrocie ze zwiedzania Bruges w podbitej przez nas Belgii, podsunął mi pod nos pełną garść złocistych krążków i powiedział: „Na tym świecie tylko „bzum-bzum“ się liczy. Jak masz wolny czas, to jedź na kierunki ekonomiczne, a nie zajmuj się archeologią“. Miał rację, gdybym go posłuchał, to dziś nie pisałbym artykułów za głodowe honoraria i gwiazdki „Michelin'a“ znałbym ze strony praktycznej, a nie tylko teoretycznej.

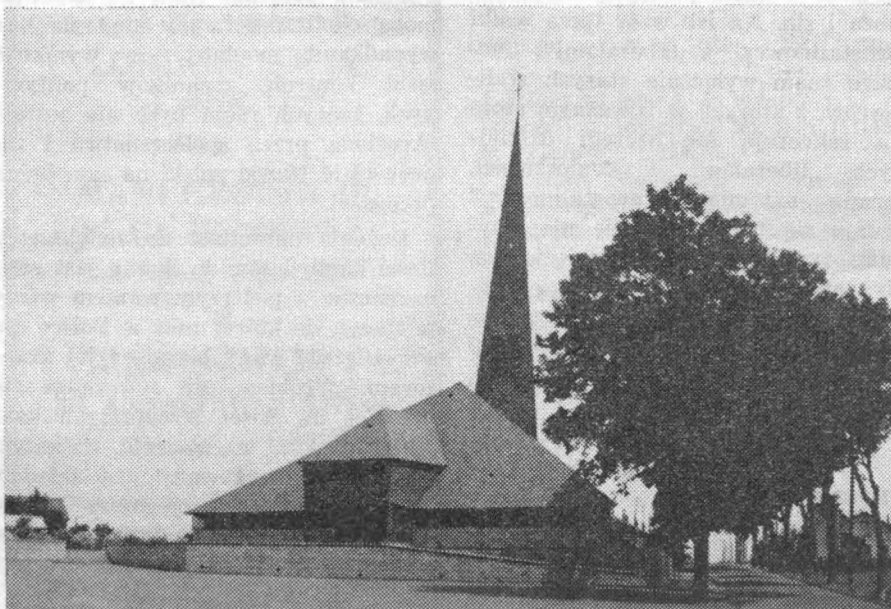
Ale wróćmy do tego przewodnika. Jak wszystkim wiadomo istnieje on od 1900 roku i zawiera ok. 4000 miejscowości z hotelami i restauracjami (garaże są również). Wydaje go znana firma produkująca opony samochodowe o tej samej nazwie i z literą „X“, co oznacza, że jest w nich stalowa siatka. Największą atrakcją tego przewodnika są gwiazdki, przyznawane restauracjom (a nie hotelom ani garażom). Szczyt szczytów to trzy gwiazdki — takich restauracji w ub. roku było w całej Francji 11, a w tym jest 12. To duże wydarzenie — nowa restauracja o trzech gwiazdkach! Ta nowa świątynia sztuki kulinarnej znajduje się 9 km. na pn. od

Lyonu, w mało znanej (dotychczas!) dziurze Collonges-au-Mont-d'Or i nazywa się bardzo skromnie „Auberge Paul Bocuse“. Przewodnik ostrzeża, że ilość miejsc w tej „oberży“ jest ograniczona i trzeba zamawiać stolik. Podobno już wszystkie zamówione na rok z góry.

W Paryżu takich trzygwiazdkowych przybytków gastronomicznych jest zaledwie pięć: „Maxim's“, „Lasserre“, „Tour d'Argent“ (gdzie wyjeżdżającego na Środkowy Wschód Mickiewicza żegnało grono przyjaciół), „Grand Vefour“, no i „Lapérouse“, której właścicielem jest potomek Wielkiej Emigracji Topoliński. Niektórzy znawcy twierdzą, że jej kuchnia jest dziś najlepszą w Paryżu. Mnie trudno coś o tym powiedzieć, bo te trzy gwiazdki oglądam tylko z zewnątrz. Co prawda byłem raz w „Lapérouse“, ale to było zebranie tajne i nie wolno nawet podać, co było w menu.

Dwugwiazdkowych restauracji jest obecnie we Francji 62 — więc wcale nie za wiele, nie ma nawet jednej na departament (90), a jednogwiazdkowych 546 (o 9 mniej niż w ub. roku).

Przewodnik „Michelin“ nie służy tylko do tego, by znaleźć dobry hotel czy restaurację — to można zrobić bez niego. Z tym przewodnikiem wchodzi się do restauracji i kładzie na stole w sposób widoczny. Gdy kelner podaje kartę, to się ją studiuje i później w ostentacyjny sposób zagląda do przewodnika. Normalnie to wystarczy — kelner w mgnieniu oka podskakuje i podaje kartkę z menu na ten dzień. Tańszym oczywiście o połowę albo i więcej, niż posilek à la carte. Ci restauratorzy, zwłaszcza z gwiazdkami, piekielnie się tego przewodnika boją, bo jego inspektorzy badają każde zażalenie klientów. A utrata gwiazdki przez restaurację może oznaczać dla niej plajtę. „Michelin“ nie bierze żadnych



Nowoczesny kościół w Fontaine les Grès

Fot. Viguier
Cop. Office du Tourisme

GDZIE I JAK ZJĘŚĆ? —
ZŁOTO SPOD URALU? —
JAK DOJECHAĆ CZYLI
FRANCUSKIE AUTOSTRADY —
JAK I GDZIE PRZEMYCIĆ...

Przemysłał

Jan Claude

ogłoszeń, jego inspektorzy są na „full time“ pracy i nic innego nie robią, tylko jeżdżą po Francji, oglądają hotele, jedzą w restauracjach (nie ujawniając się przed zapłaceniem posiłku) i badają zażalenia turystów.

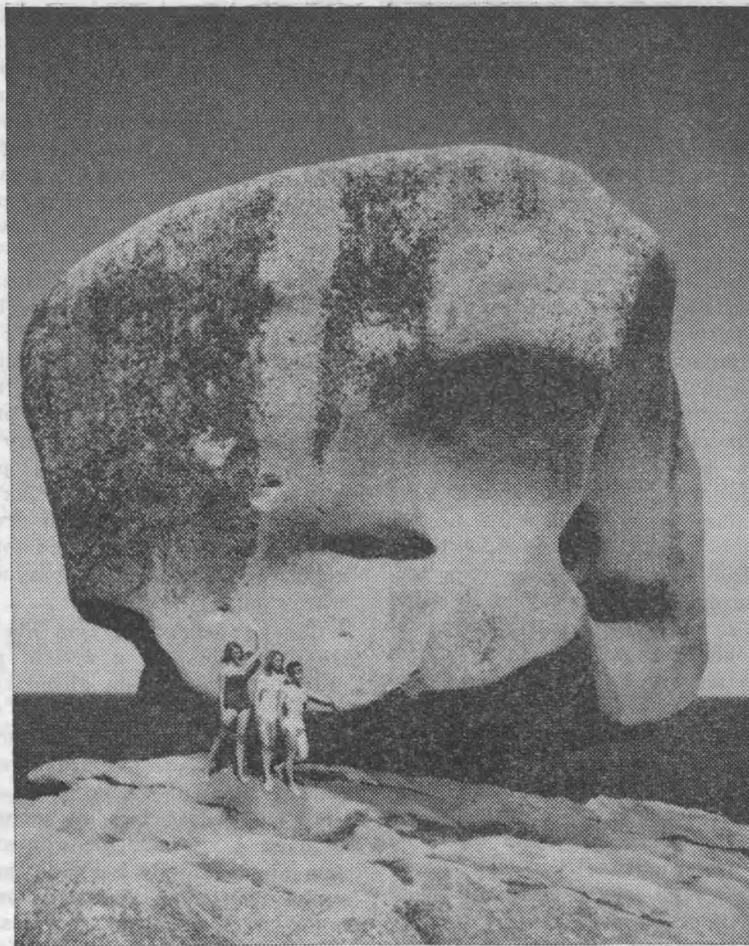
PANIENKI

NA LAZUROWYM WYBRZEŻU

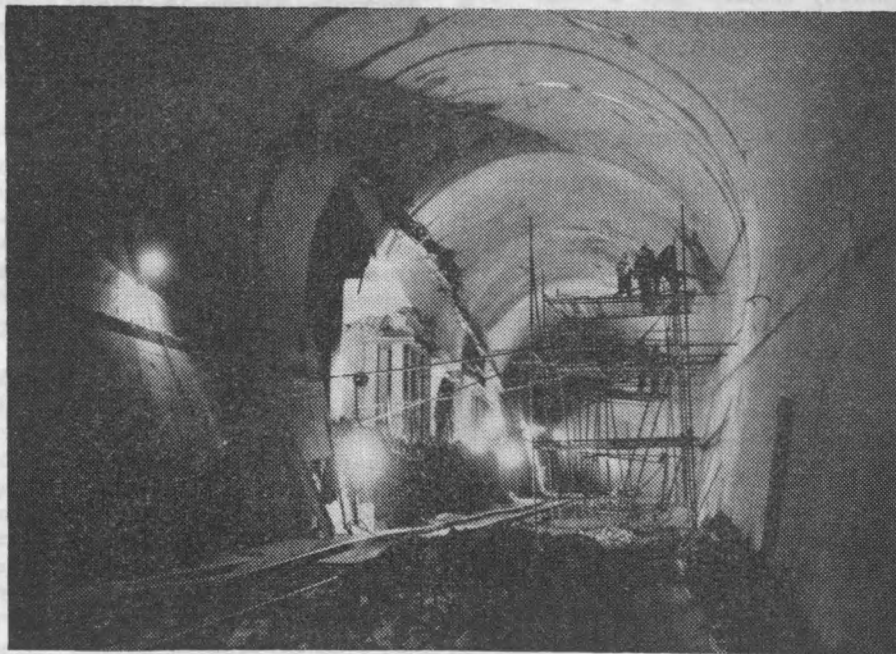
Jak wszyscy wiedzą w naszej V-ej Republice gaullistowskiej wszystko się zmieniło. Skończył się dawny bez troski bałagan. Nastąpiło odrodzenie, uzdrowienie, można powiedzieć ogólna sanacja, która objęła wszystkie dziedziny, nie wyłączając nawet panienek o łatwej cnotce. W Paryżu w oficjalnych rejestrach policji było ich ok. 7000 (o nieoficjalnych się nie mówi, bo nikt tych statystyk nie zna), a dziś pozostała zaledwie połowa. Reszta wyemigrowała na prowincję, gdzie podobno życie jest łatwiejsze. Ale w sezonie letnim niemal wszystkie odnajdują się na Lazurowym Wybrzeżu, wzmocnione poważnie przez zastępy ich siostrzyc z drugiej strony granicy włoskiej. Policja ma dość trudne zadanie, bo po pierwsze ich nie zna, a po drugie przyjeżdżają one jako turystki na zasłużony wypoczynek po całorocznej, ciężkiej pracy. Jak je odróżnić np. od żony jakiegoś dygnitarza? Chyba tylko po tym, że są ładniejsze i powabniejsze. Ale dygnitarze mają obok nudnych żon również ładne i powabne sekretarki i dla zwykłego policjanta lepiej nadzieć się na żonę niż na tę ostatnią — kariera może być skończona. Co więc robić, by wykonać surowe dyrektywy, pochodzące z najwyższej instancji?

Ponieważ te panienki o małej cnotce mniej więcej do północy zachowują się jako tako spokojnie, a dopiero później rozbiera je fantazja (w do-

(Dokończenie na str. 28)



„Le Dé“ — sławna skała w kształcie głowy. — Dep. Côtes du Nord, Bretania.



Budowa tunelu pod Mont Blanc. Cop. Office du Tourisme.

W DZIESIĄTĄ rocznicę zgonu Paul Claudel, która przypada w tym roku, obchodzi się uroczysto nie tylko we Francji ale także w wielu innych krajach. Te dziesięć lat jakie minęły od śmierci jednego z największych poetów francuskich charakteryzuje wzrastające stale zainteresowanie jego twórczością. Świadczą o tym nowe wydania i tłumaczenia na różne języki — niemiecki, włoski, hiszpański a nawet japoński. Świadczy o tym częste wystawianie w teatrach dzieł Claudela a także ogromna ilość prac i książek na temat jego twórczości.

Wiele przyczyn złożyło się na wzrost popularności Claudela, zwłaszcza wśród młodego pokolenia. Jedną z nich to fakt, że w dziele jego brzmi nuta tryumfalnej wiary i radości z jej posiadania — nuta, która jest w takim kontraście do współczesnego nam teatru absurdu. Można zaryzykować twierdzenie, że przeżył się teatr, który stojąc w obliczu zagadki życia widzi tylko jego absurd. Publiczność po pierwszym zafascynowaniu, jest już zmęczona tym ciągłym wyśmiewaniem się z doli człowieczej. Ma dość tego śmiechu nienawistnego, który wywołuje wstręt do życia i ludzi. Instynkt nie pozwala na odrzucenie życia samego i ludzie szukają innej odpowiedzi na zagadkę swego losu. I znajdują ją w teatrze Claudela.

Cała twórczość Claudela, oparta na osobistych przeżyciach i doświadczeniach poświęcona jest zdobywaniu prawdy o losie człowieka zarówno w skali indywidualnej jak i zbiorowej — w świetle wiary. Prawda dla Claudela jest radością. Coraz głębsze poznanie prawdy znajduje więc u niego wyraz w coraz większej radości. Dzieje jego twórczości to historia podboju radości.

Pierwszym znanym utworem dramatycznym Claudela jest „L'Endormie“.

W tej burlesce, która natchnienie czerpie z szekspirowskiego „Snu nocy letniej“ młody poeta zwodzony przez fauny i boginie leśne natrafił na śpiącą nimfę. Po jej przebudzeniu okazało się, że nie była to piękna dziewczyna jak się spodziewał, ale stara, zapita kobieta imieniem Strombo. Oto obraz pierwszej iluzji i pierwszego rozczarowania w życiu.

Ten krótki utwór dramatyczny, który Claudel napisał nie mając lat dwudziestu jest dość nieudolny z punktu widzenia artystycznego. Ma on jednak swe znaczenie. Wprowadza nas bowiem częściowo w przyszłą problematykę poety. Wśród atmosfery niefrasobliwej baśni, żartobliwej przygody odezwał się u Claudela, tak jak u wielu młodych pisarzy — śmiech drwiący, a zarazem pytający: czy tak istotnie wygląda życie, czy tylko przynosi rozczarowanie?

Claudel jednak na tym nie poprzestaje. Zaczyna się z życiem pasować, pragnąc doszukać się głębokiego, prawdziwego sensu. Przyjmuje świat z jego sprzecznościami i dziwacznościami, ale równocześnie szuka wytłumaczenia. Rozczarowanie rodzi czasem ból i niepewność, lecz nie powoduje rezygnacji i zgorzknienia. Śmiech Claudela nie ma nigdy gorczy, bo w stosunku do świata poeta odnosi się z miłością. Ale daleko mu jeszcze do prawdy, która da pełną radość, bo — jak potem sam sformułuje — „radość i prawda są tym samym“.

Pierwszy okres twórczości Claudela, na który się składają głównie pięć dramatów wydanych razem w tomie pod nazwą „L'Arbre“ — „Drzewo“ charakteryzuje właśnie ta walka o sens życia, walka z absurdem, walka z otaczającym go światem, który określa jako „niewolę materialistyczną“. To świat „epoki Renana“.

I tu Claudel powtarza za Rimbaudem, który wywarł na niego wpływ „nasienny“, że „walki duchowe są równie brutalne jak bitwy ludzi“. Jest to dla Claudela „sezon w piekle“. Nie traci jednak nadziei, że pewnego dnia uzbrojony w płomienną cierpliwość wkroczy do owych „cudownych miast“ z wizji Rimbauda.

Ta nadzieja obok miłości podtrzymuje radość, która stale nurtuje w sercu poety. Dostrzec ją można w utworach Claudela z tego okresu. Ale radość ta jest jak gdyby gdzieś w głębi ukryta. W tej epoce niepewności i szukania drogi, humor Claudela jest przeważnie ironiczny, kostyczny, czasem bolesny a także czuporny, gwałtowny, nieraz przybierający formę karykaturalnej groteski. Brak mu liryzmu tak potem charakterystycznego dla poety.

Chociaż w tym okresie, pamiętnego

CLAUDEL

POETA

RADOŚCI

Napisał

WITOLD LEITGEBER

dnia 25 grudnia 1886 roku, w katedrze Notre-Dame w Paryżu poeta nagle dotknięty został światłem wiary, to jednak potrzeba będzie jeszcze kilku lat zanim zegnien kolana przed Eucharystią. Ale już w dramacie „Tête d'Or“ (1889), w którym pogańskie ściera się z chrześcijańskim poeta dokona ważnego odkrycia, a mianowicie, że radość nie polega na podboju świata i na zdobyczach doczesnych, ale jest łaską tajemniczą, którą w tej sztuce uosabia promienna Księżniczka.

Po największym kryzysie osobistym poety w roku 1905 — związanym ze spotkaniem pewnej Polki na drodze swego życia — po tym ostatnim pasowaniu się Jakuba z aniołem, czego ślady widzimy w „Partage de Midi“ („Punkt przecięcia“) twórczość Claudela wchodzi w okres drugi. Nazwał go „uroczystym pochodem w sferze odkupienia“. Najwspanialszym wyrazem odniesionego zwycięstwa są „Wielkie Ody“.

„O credo całe wszechrzeczy widzialnych i niewidzialnych — woła poeta — przyjmuję cię sercem katolickim“. I potem Claudel śpiewa hymn zachwytu i wyzwolenia, nakazując śmiać się: „Kto poznał co to jest wyzwolenie, śmieje się“. Śmiejemy się. To jest dobre — stwierdza poeta, zapożyczając swego określenia z biblijnej Księgi Rodzaju. Ludzie muszą pamiętać o tym, gdzie jest ich prawdziwa ojczyzna — i że sens życia polega na osiągnięciu zbawienia. Ci, którzy to rozumieją posiadają — humor Boży.

Śmiech Claudela nabrał teraz tonu radosnego. Dotychczasowe poznanie zmysłowe i intelektualne mówiło mu tylko o przemijalności świata. Brak jednak było równowagi. Potrzebna była jeszcze wiara w trwanie wieczne, która opiera się na Bogu. Teraz poeta zrozumiał, że życie doczesne jest przygotowaniem, wstępem do życia wiecz-

BIBLIOTEKA „KULTURY“

Tom XCIX

Wincenty Witos

MOJE WSPOMNIENIA

*Dokument pisany ręką wielkiego
wodza chłopów polskich
i czołowego męża stanu Polski
współczesnej*

Trzy tomy o łącznej objętości
1,325 stron

Cena: £ 6.10.0, F. 87.00, \$ 18.00

W Wielkiej Brytanii do nabycia w
GRYFIE — 171, Battersea Church
Road, London, S.W.11, oraz we
wszystkich księgarniach polskich

nego. Człowiek nie jest niewolnikiem rzeczy i więzów ziemskich. Ta wolność pozwala pocie na znalezienie radości we wszystkim.

W burlesce „Protée“ Claudel bawi się jak dziecko, śmiejąc się z bogów, nimf i mitów, które kiedyś przyniosły mu pierwsze rozczarowanie. Śmieje się ze zmienności losów i napuszonej powagi ludzi, którzy — jak Menelaus w tym utworze — uważają za zniewagę osobistą wszystko, czego nie zdołali zrozumieć. W „Protée“ Claudel potrafił po raz pierwszy nadać swemu humorowi ton liryczny. Śmiech jego nie ma już nic z agresywności i kostyczności, a przepojony jest dobroduszością i wesołością, które zrodził zdobyty pokój duszy.

W innych dramatach z tego drugiego okresu, pełnych powagi jak „Zwastowanie“ lub Trylogia nie ma miejsca na tego rodzaju bufonerie jak w „Proteuszu“, ale i tu nie brak śmiechu. Turelure w „Twardym chlebie“ jest poważny, ale także groteskowy, śmieszny w swej powadze. Jeśli człowiek wierzy tylko w rzeczy doczesne, przemijające mniemając, że posiadają same w sobie cel i wartość, to jest to śmieszne — mówi Claudel. I śmieszni są ci ludzie, którzy tak myślą, bo grzeszą brakiem poczucia humoru Bożego. „Który mieszka w niebiosach, wysmieje się z nich, a Pan szydzić z nich będzie“ — mówi psalmista.

Trzeci okres twórczości, którego ukoronowaniem jest „Atlasowy trzewiczek“ (1924), poeta nazwał „sezonem śmiechu“. W „Atlasowym trzewiczku“, który teatr Barrault wystawił ostatnio w Londynie podczas międzynarodowego festiwalu teatralnego, poeta doprowadził swą walkę o sens życia i jego spraw do konkluzji i syntezy. Rozwiązane zostały problemy, z którymi zmagał się nawet po zdobyciu wiary. Wtedy uwierzył wprawdzie w Boga, ale jeszcze nie potrafił zrozumieć znaczenia miłości między mężczyzną a kobietą, a zwłaszcza roli jaką w ekonomii zbawienia odgrywa miłość potępiona przez prawo Boże i grzech. Poeta zastanawia się też nadal nad sensem ofiary i cierpienia a także nad tym, jakie znaczenie jest losu ludzkiego na tle historii.

Wszystkie te pytania dręczące poetę od czasu „Punktu przecięcia“ jeśli idzie o problem miłości, a od czasu „Tête d'Or“ i Trylogii jeśli chodzi o dzieje ludzkie znalazły odpowiedź w „Atlasowym trzewiczku“, który słusznie nazwano „summą claudelowską“. Choć w historii dzieją się rzeczy straszne, przerażające, chociaż człowiek nie zdaje sobie często sprawy z roli swych poczynań, to jednak — mówi Claudel — możemy być pewni, że „Bóg

pisze prosto po liniach krzywych“. Natura i łaska współpracują dla zbawienia ludzkości zgodnie z planem Bożym, a świat zdobywany przez wiarę idzie ku jedności. Miłość zaś, ofiara i cierpienie w życiu Prouhèze i Rodrigue, bohaterów „Atlasowego trzewiczka“, których prowadzi tajemnicza ręka Opatrzności stały się narzędziami wyzwolenia z niewoli kondycji człowieczej. „Wyzwolenie duszom w niewoli“ — tymi słowami kończy Claudel ten dramat.

Pomimo tragizmu w „Atlasowym trzewiczku“ panuje stale poczucie humoru poety, które w części czwartej przeradza się, według określenia poety, w „maskaradę“. Jak Dawid, który „wyskakiwał i tańczył“ przed Arką, tak i Claudel nie boi się, że wyda się to blażenstwem i że jakiś Michol wyśmiewać się będzie.

Poeta patrzy na dzieje swych bohaterów i świat z pozycji zdobytej po długich walkach — i śmieje się. „Śmieję się więc, chcę tego... Kpij sobie i spójrz, co brałeś poważnie! Ty jesteś z Bogiem na zawsze.“

Claudel dopłynął do portu po wielu burzach. Ale jako chrześcijanin wie, że na tym świecie nie zazna spokoju. Szczęście na ziemi nie jest osiągalne. Tęsknota i poszukiwanie trwają nadal.

I ten prorok naszych czasów przewraca do końca swego życia strony Pisma Świętego wczytując się w nie, medytując i pisząc komentarze do Apokalipsy, Ewangelii i Izajasza, Księgi Rut. Dawne problemy poety nieraz powracają. Odpowiedzi poprzednie rozszerza więc i pogłębia. W Biblii Claudel znajduje coraz to inne, nowe źródła radości, które jeszcze ściślej łączą „kosmiczne“ i „komiczne“.

A gdy w roku 1955 nadeszła śmierć, Claudel w ostatnich słowach powiedział: „Dajcie mi umrzeć w spokoju. Nie boję się...“

Poeta, który pojął humor Boży — nie bał się. Była to dla niego go dzina radości.

Witold Leitgeber

Józef Garliński „Z I E M I A“

Już jest w sprzedaży nowa książka popularnego autora, który dał się poznać społeczności emigracyjnej dwoma tomami wspomnień z okresu ostatniej wojny, Armii Krajowej i niemieckich więzień i obozów („Dramat i Opatrzność“ i „Matki i żony“).

Cena 12/6

GRYF PUBLICATIONS LTD.
171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11

i we wszystkich kioskach i księgarniach polskich

P. C. A. PUBLICATIONS LTD.

PROWADZI WŁASNĄ
KSIĘGARNIĘ SPK

- bogatą zaopatrzoną w prasę, wydawnictwa emigracyjne i krajowe,
- posiadającą skład główny (na zasadzie wyłączności) wszystkich wydawnictw: INSTYTUTU IM. GENERAŁA SIKORSKIEGO,
POLSKIEGO TOW. HISTORYCZNEGO W WIELKIEJ BRYTANII,
POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,
- zaopatrzoną we wszystkie książki wszystkich wydawców emigracyjnych.

★

Kupując polskie książki i pisma:

- sprawiasz sobie dużą przyjemność,
- spełniasz obowiązek obywatelski,
- pomagasz autorowi, wydawcy i polskim instytucjom,
- krzewisz najlepiej polskie słowo na emigracji.

★

Polska książka w polskim domu

- to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel,
- to kulturalna rozrywka i odpoczynek,
- to najważniejszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

★

WSZELKIE ZAMÓWIENIA
POCZTOWE
ZAŁATWIAMY ODWROTNIE

Adres:

20, Queens Gate Terrace,
London, S. W. 7.

Tel.: KNI 3500

DRUGI JUBILEUSZ GEN. M. KUKIELA NA OBCZYŹNIE

Któż z Polaków na emigracji i w Kraju nie zna gen. Mariana Kukielę, wielkiego historyka i żołnierza, profesora Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, aktywnego pisarza, prezesa Polskiego Towarzystwa Historycznego w W. Brytanii, prezesa Instytutu Historycznego im. Gen. Sikorskiego, członka wielu innych organizacji naukowych i społecznych, oddanego całkowicie pracy naukowej, pisarskiej i społecznej, śpieszącego zawsze z pomocą, radą i opieką, gdy wymaga tego dobro sprawy polskiej.

Spoleczeństwo polskie na obczyźnie postanowiło uczcić, tym razem osiemdziesiątą rocznicę urodzin Generata. Ostatnie dziesięciolecie dało dalsze dowody jego zawsze żywej i twórczej pracy. Jubileusz ma być dalszym oficjalnym wyrazem uznania jej doniosłości.

Obchód przewidziano na dzień 15 maja — dzień urodzin Generata.

W skład Komitetu Honorowego weszli:

Gen. W. Anders, Prezes J. Baliński-Jundziłł, Plk. dr. S. Biegański, Red. J. Bielatowicz, Prezes dr. T. Bielecki, Red. T. Borowicz, Gen. T. Bór-Komorowski, Prof. dr. J. Bujnowski, Dyr. dr. C. Chowaniec, Prezes A. Ciołkosz, Dr. W. Czerwiński, Kpt. J. Domański, Dr. M. Danilewiczowa, Red. A. Dargas, Gen. A. Grudziński, Red. M. Grydzewski, Prof. dr. O. Halecki, Prof. dr. B. Helczyński, Prezes P. Hęciak, Mgr. Z. Jagodziński, Plk. Z. Jarski, Rektor prof. dr. C. Jędrzejewiczowa, Dr. L. Pobóg-Kielanowski, Prof. dr. L. Koczy, Mgr. Maria Koczy, Prof. dr. T. Komarnicki, Gen. S. Kopański, Plk. A. Kosiba, Jan Krasnodębski, Plk. J. Krubski, Kpt. E. Kubalski, Prof. dr. K. Lanckorońska, Inż. S. Leśniowski, Plk. inż. T. Lisicki, Książę E. Lubomirski, Ks. prof. dr. W. Meysztowicz, Mgr. A. Michałek, Ks. inf. B. Michalski, A. Mieczysławska, Prezes W. Minor, Plk. B. Mincer, Prezes W. Nadratowski, Mjr. Z. Nadratowski, Dyr. J. Nowak, Dyr. J. Olechnowicz, Mgr. R. Oppmanowa, Prof. dr. H. Paszkiewicz, Gen. T. Pełczyński, Gen. H. Piątkowski, Plk. M. Piekarczyk, Konsul gen. dr. K. Poznański, Prof. dr. A. Pragier, Amb. E. Raczynski, Książę S. A. Radziwiłł, Plk. A. Rawicz-Szczerbo, Dr. W. Rudzka, Dyr. A. Rudzki, Dyr. J. Sakowski, Plk. A. Sawczyński, Prof. dr. P. Skwarczyński, Gen. S. Skwarczyński, Prezes S. Soboniewski, Ks. prałat K. Sołowiej, Ks. inf. W. Staniszewski, Prof. dr. T. Sulimirski, Prof. M. Szyszko-Bohusz, Gen. T.

Do naszego Przedstawicielstwa
we Francji wpłacili na
LEKARSTWA DO KRAJU:

4085 L.S.Co. (kpt. Iwański F.) Fr.
42,00, 4013 L.S.Co. (kpt. Jaworski J.)
29,68, 4158 L.S.Co (kpt. Madej S.)
100,00, 4088 L.S.Co. (kpt. Rogoziński
K.) 50,00, 4096 L.S. Plat (por. Kozłowski
St.) 40,00, 4507 L.S.Co. (mjr Kroja-Kopeć) 100,00.

Serdecznie dziękujemy.

Tarczyński-Alf, Dyr. T. Tobolski, Plk. J. Wesierski, Gen. J. Wiatr, Prof. dr. W. Wielhorski, Red. F. J. Wilk, Prezes W. Wahnout, Kmdr. B. Wroński, Red. W. Zagórski, Red. R. Zakrzewski, Prof. dr. Z. L. Zaleski, Hr. E. Zamoyska, Plk. dr. S. Zamoyski, Red. mgr. P. Zaremba, Dyr. T. Zawadzki, Gen. K. Ziemiński, Polska YMCA, Stow. Marynarki Wojennej, Stow. Polskich Kombatantów, Studium Polski Podziemnej, Zrzeszenie Wolnych Studentów Polskich.

Komitet Wykonawczy (w składzie: przewodniczący — prof. dr. B. Helczyński, sekretarz — plk. M. Piekarczyk oraz prof. dr. J. Bujnowski, plk. J. Krubski, mjr. Z. Nadratowski, mgr. R. Oppmanowa, gen. K. Ziemiński) ustalił już szczegółowy program obchodu. Uroczystości odbędzie się w Instytucie Historycznym im. Gen. Sikorskiego. Przemawiać będą: gen. W. Anders, amb. E. Raczynski i hr. E. Zamoyska (w imieniu rodu Czartoryskich). Główny referat o całokształcie dorobku życiowego Jubilata wygłosi prof. dr. Leon Koczy.

W ramach tego obchodu Polska Fundacja Kulturalna wydaje tom rozpraw i szkiców historycznych Generata, rozproszonych w różnych i prawie niedostępnych dzisiaj wydawnictwach pt. „Od Sobieskiego do Kościuszki“, który ukaże się w dniu obchodu. Tom drugi prac Generata (Szkice i rozprawy historyczne z doby porozbiorowej) w ramach tego samego obchodu ukaże się nieco później. Przewidziane jest także ufundowanie „Nagrody historycznej im. Gen. Mariana Kukielę“.

Ta skromna pod względem formy, bogata w swej treści, uroczystość, znajdzie na pewno dalsze echa w prasie polskiej.

Doskonała książka na nagrody dla
dzieci w szkołach przedmiotów
ojczystych

ICH MŁODE LATA
JADWIGI OTWINOWSKIEJ

Opowieść o chłopcach z Legionów

Cena: 9/-

„GRYF“ — 171, Battersea Church Rd.
London, S.W. 11.

MARIAN Kukiel urodził się 15 maja 1885 roku w Dąbrowie, woj. Krakowskie. Ojciec Mariana, Adolf, znalazł się w ówczesnej Galicji jako emigrant po powstaniu 1863 roku, w którym brał czynny udział a po którego upadku był rosyjskim więźniem stanu. Jego ród jednak, pochodził z Litwy. Nazwisko znajdujemy u Długosza wśród kilkunastu innych nazwisk Tatarów, osadzonych przez Witolda pod Wilnem lub Nowogródkiem.

Marian Kukiel ukończył gimnazjum w Tarnowie, po czym studiował na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Doktorat z filozofii w zakresie historii uzyskał w roku 1908. Już wówczas zaznaczył się kierunek jego specjalizacji: dzieje porozbiorowe Polski, zwłaszcza ich strona dyplomatyczna co z czasem miało się rozwinąć w studia o polityce ks. Adama Czartoryskiego. Jego zainteresowania historyczne szły jednocześnie w kierunku studiów nad dziejami wojskowości. Wpływ tutaj Jana Tokarza. Już w okresie uniwersyteckim przygotowywał się do opracowania dwóch kapitalnych dzieł z tej dziedziny. Ogłosił je drukiem w latach dwudziestych. Jednym było monumentalne opracowanie wyprawy Napoleona na Moskwę pt. „Wojna Roku 1812“ i kilka prac powstałych na marginesie tego tematu — drugim podstawowy dotychczas i niezastąpiony podręcznik pt. „Zarys Dziejów Wojskowości w Polsce“. Doczekał się on wielu wydań: dwóch po ostatniej wojnie.

Kierunek wojskowy zainteresowań badawczych Kukielę był jak gdyby zwornikiem dwóch torów pracy całego życia. Od najmłodszych lat życia postanowił służyć Polsce nie tylko na polu nauki, lecz także w dziedzinie praktycznej. Tą była w okresie przed pierwszą wojną światową praca konspiracyjno-wojskowa, a po odzyskaniu niepodległości i w czasie drugiej wojny światowej czynna służba w wojsku. Kukiel-historyk i Kukiel-żołnierz to nie dwie lecz jedna sylwetka.

SZYBKE PRZEKAZY PIENIĘŻNE

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

Biuro Podróży: ANGLOPOL TRAVEL, 38, Thurloe Pl., London, S.W. 7.

ŻOŁNIERZ — HISTORYK

W roku 1902 jako 17-letni chłopiec należy już do organizacji młodzieży niepodległościowej znanej jako „Promieniści”. Rok później widzimy go w szeregach Polskiej Partii Socjalistycznej. W robocie na zabór rosyjski używa pseudonimu „Towarzysz Zawierucha”. W czasie rewolucji roku 1905 przekracza granicę zaboru rosyjskiego, walczy i działa. Przechodzi przez rosyjskie więzienie. Wraca na teren Galicji, gdzie natychmiast rozpoczyna pracę w tajnych organizacjach wojskowych. W roku 1908 był jednym z inicjatorów i założycieli tzw. ZWZ — Związku Walki Zbrojnej. W tej organizacji przechodzi przez kolejne szczeble wykszolenia wojskowego i w niej uzyskuje stopień oficerski. Powołano go do Rady Przybocznej Komendanta Piłsudskiego, a w roku 1914 został redaktorem wojskowego miesięcznika „Strzelec”.

Na wojnę wyrusza w szeregach I Brygady Legionów. Dowodzi kolejno kompanią i batalionem. Bierze udział w szeregu bitew. Odznaczony za bitwę pod Kościuchnowką. Jest pierwszym dowódcą Szkoły Podchorążych Piechoty. Na jej czele bierze udział w rozbrojeniu Niemców w Warszawie w listopadzie 1918 roku. W wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku dowodzi naprzód 51 pułkiem piechoty kresowej, później 24 brygadą piechoty w składzie 12 dywizji. Brygada ta zapisała się świetnie w wielu bitwach i potyczkach. Za przebiecie się przez sowiecką grupę operacyjną Jakira pod Przemyslanami w sierpniu 1920 roku zostaje odznaczony *Virtuti Militari*. W roku 1921 zostaje szefem Oddziału III (Operacyjnego) w Sztabie Głównym WP. W latach 1923-25 dowodzi 13 dywizją piechoty na Wołyniu. W tym czasie (1924) otrzymuje nominację na generała brygady. Z kolei zostaje szefem Biura Historycznego Sztabu i prezesem Komisji dla Spraw Doktryny Operacyjnej. Po wypadkach roku 1926, w których stanął po stronie rządu, przechodzi na własną prośbę w stan spoczynku. Postanawia poświęcić cały swój czas i siły pracy naukowej. Ma już za sobą szereg monografii, jest znany jako znawca dziejów porzobiorowych i jako autor „Wojny Roku 1812”. Uzyskuje tzw. „veniam legendi” — prawo wykładania — na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, gdzie przez lat dwanaście, tj. do roku 1939 uczy historii wojskowości. Jest zarazem dyrektorem Muzeum Książąt Czartoryskich. Zostaje też członkiem czynnym Polskiej Akademii Umiejętności, poprzedniczki dzisiejszej Polskiej Akademii Nauk.

Nie stroni od polityki. Bierze udział w tworzeniu ugrupowania opozycyjnego znanego pod nazwą „Frontu Morges”.

W chwili mobilizacji w roku 1939 zgłasza się do służby czynnej jako ochotnik. Służy w dowództwie obrony Lwowa. Po kapitulacji Lwowa przez jakiś czas ukrywa się by przez różne „zielone granice” przedostać się do

NA

80-tą

ROCZNICĘ
URODZIN
MARIANA
KUKIELA



Francji. Naczelny Wódz i premier gen. Sikorski zawiera mu obowiązki zastępcy ministra spraw wojskowych. Gdy Francja załamuje się w roku 1940 general Kukiel otrzymuje ważną i trudną funkcję ewakuacji wojska polskiego do Wielkiej Brytanii. Przybywa do Anglii z ostatnim transportem w dniu 25 czerwca. Dwa dni później zostaje mianowany generałem dywizji i dowódcą wszystkich oddziałów polskich na terenie Szkocji. Po sformowaniu z nich 1 Korpusu jest pierwszym jego dowódcą. W roku 1942 powołano go do Londynu, mianując ministrem Obrony Narodowej. Bliski i zaufany współpracownik generała Sikorskiego pozostał na tym stanowisku po jego tragicznej śmierci aż do roku 1945.

Rozpoczęła się karta życia uczonego polskiego na emigracji. Wypełnia ją bez reszty praca naukowa, lecz nie tylko w ciszy własnego gabinetu. Choć pojawiają się ciągle nowe prace Kukiele — świetne, głębokie a jednocześnie błyskotliwe, gdyż jest jednym z najlepszych polskich stylistów — niemniej poświęca ogromną ilość czasu, sił i energii na wykłady w Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie, w Polskim Towarzystwie Historycznym (którego jest prezesem) na licznych imprezach narodowych i naukowych, a także na falach Rozgłośni Polskiej Radia Wolnej Europy. Te ostatnie zwłaszcza pozwoliły mu przepracować ponownie i skomprimować ogrom-

ny materiał badawczy, nazbierany w ciągu pracowitego życia. W wyniku, polska literatura historyczna wzbogaciła się w roku 1963 o dzieło pt. „Dzieje Polski Porzobiorowe”. Jest to najlepsza z dotychczas napisanych syntez tego okresu. Wspaniała pod względem pisarskim jest jednocześnie podręcznikiem uniwersyteckim i książką, którą czytać może każdy, nawet gdy nie posiada przygotowania naukowego. Kukiel określił ją sam — i słusznie — jako koronę sześćdziesięciu lat pracy nad historią Polski. W języku angielskim pojawia się studium o polityce ks. Adama Czartoryskiego, przedłużając listę prac naukowych w językach obcych, wśród których są także rozdziały „Cambridge History of Poland” — „Historii Polski Uniwersytetu w Cambridge”. Ponadto artykuły, studia i szkice w „Tekach Historycznych”, w „Cahiers de l’Histoire Militaire”, w „Bellonié”, w „The Army Quarterly”, w dodatku literackim „Timesa” i w polskich pismach emigracyjnych.

General profesor Kukiel zawsze służy radą kolegom-historykom, zwłaszcza młodszemu pokoleniu. Nie przywiązuje zbytnej wagi do tak zwanych szkół i doktryn historycznych. Wierzy w fakty. I uczy słowem i piórem, że historiografia, by była naprawdę pożyteczną, musi być w ścisłym przymierzu z literaturą

(PZ)

MARIA — LUDWIKA

Jedną z wybitniejszych postaci w galerii nieco błędnych na ogół królowych polskich, była Maria Gonzaga, żona ostatniego z Wazów. W swej walce ze „złotą wolnością“ i dążeniu do umocnienia władzy królewskiej, była niejako kontynuatorką idei królowej Bony. Tak samo jak ona — poniosła klęskę.

Kiedy Maria Ludwika przyjechała w 1643 r. do Polski, aby najpierw poślubić Władysława IV a po jego śmierci zostać żoną jego młodszego brata miała już za sobą lata pierwszej młodości, pełnej burz i zawodów. Urodzona w 1611 r. w Paryżu, chociaż Włoszka z pochodzenia, duchem i wychowaniem była zrosnięta z Francją, gdzie ojciec jej, Karol Gonzaga, potomek młodszej linii książąt mantuańskich, mieszkał stale ze swoją rodziną. Wprawdzie po wygaśnięciu starszej linii, ojciec jej przeniósł się do Mantui, jako książę panujący, Maria pozostała jednak w Paryżu pod opieką swej ciotki, pani de Longueville.

Lecz mimo, że w kilka lat później Maria zabłysła na dworze królowej Anny, jako jedna z najbardziej uroczych i oczyszczonych kobiet owego okresu, ani krótkie zaręczyny z bratem królewskim, Gastonem Orleańskim ani też starania księcia de Condé nie doprowadziły do małżeństwa. Maria miała lat przeszło 25, gdy na drodze jej życia stanął człowiek piękny i młody, który miał być jedyną miłością jej życia. Henryk d'Efiat, markiz de Cinq Mars, ani rodem ni też zasługami wojennymi nie stał dość wysoko na drabinie społecznej, aby móc sięgnąć po rękę córki panującego księcia. W nadziei szybszego zdobycia sławy i znaczenia, Cinq Mars przyłączył się do planowanego przez Gastona Orleańskiego spisku przeciw kardynałowi Richelieu, którego tyrańska wszechwładza stawała na drodze ambicji Marii Ludwiki. Spisek został odkryty i piękna głowa Cinq Marsa padła pod katowskim toporem.

Zostawszy regentką po śmierci Ludwika XIII, królowa Anna wzięła Marię Ludwikę z powrotem na swój dwór, gdzie w 1643 r. przybyli posłowie z Polski, aby w imieniu swego króla prosić o rękę księżniczki mantuańskiej. Związek ten zyskał gorące poparcie królowej Anny, jak również i kardynała Mazarin, który po śmierci kardynała Richelieu, trzymał teraz

w rękach władzę. I od tej chwili dopiero Maria Ludwika wchodzi istotnie w orbitę naszych zainteresowań, jako przyszła królowa polska.

Nie była to już wprawdzie ta sama piękna księżniczka, która uśmiechała się wdzięcznie z licznych miniatur, wykonanych w okresie jej wczesnej młodości. Delikatne rysy i zgrabna figurka rozlały się nieco wskutek zbytnej tuszy. Jednak jej krucze włosy i żywe, czarne oczy musiały mieć jeszcze dużo uroku, skoro przyrodni brat króla, Jan Kazimierz, poznawszy ją w dwa lata później, pisał o niej listy pełne gorącego zachwytu. W każdym razie jej niezwykły rozum polityczny i wyjątkowa inteligencja, przewyższały znacznie wartości jej starszego o lat siedemnaście i bardzo schorowanego męża.

Kiedy Maria Ludwika w towarzystwie posłów polskich, otoczona dworem polskim i francuskim, dojechała wreszcie do Warszawy 10 marca 1645 r., ku swemu zdziwieniu zastała króla wewnątrz katedry, siedzącego wygodnie w fotelu, z którego nie podniósł się nawet na powitanie swej przyszłej małżonki.

Co było powodem nierycerskiego zachowania tego tak zwykle układnego króla? Większość historyków, między nimi zawsze dokładny Waliszewski, utrzymuje, że król miał po prostu tak silny atak podagry, że w ogóle nie był w stanie się poruszać.

Wrodzony optymizm Marii Ludwiki opanował szybko przykre wrażenie pierwszych dni małżeńskiego pożycia. Listy jej do kardynała Mazarin są zawsze pełne entuzjazmu i radosnych zachwyty. Jednak z czasem stają się coraz rzadsze. Widać z nich wyraźnie, że stara się oswobodzić spod jego politycznego wpływu.

Mimo, że pod koniec życia Władysław IV popadł w zupełną apatię, nie dopuszczał jednak Marii do najmniejszego udziału w sprawach państwowych. I dopiero kiedy po jego śmierci poślubiła w 1649 r. Jana Kazimierza, wzniosła się na wyżyny tej wielkiej dziejowej roli, do jakiej była przeznaczona.

Dziwny to był człowiek, ten przez wolną elekcję wybrany w 1648 r. brat

i następca Władysława IV. Ale też dziwne i niezwykle były jego losy. Urodzony w 1609 r., jako młodszy syn Zygmunta III Wazy, od najmłodszej młodości okazywał wielki zapal rycerski, biorąc udział w licznych wyprawach wojennych. Odnaczywszy się niezwykłym męstwem przy zdobyciu Smoleńska, rzucił nagle kraj w 1633 r. i wybrał się do Hiszpanii. W przejeździe przez Francję, został zatrzymany przez tamtejsze władze i bezwzględnie osadzony w twierdzy. Ta niewola, spowodowana austriackimi sympatiami Wazów, trwała przez całe dwa lata i dopiero interwencja papieża pomogła królewiczowi do odzyskania wolności. Następnie wstąpił do klasztoru oo. Jezuitów w Rzymie, gdzie przebywał przez czas jakiś. Mimo, iż nie był związany ślubami kapłańskimi, otrzymał w 1645 roku kapelusze kardynalski, aby go w trzy lata później zamienić na koronę królewską.

Ciężka to była korona, zbyt ciężka dla tak słabego człowieka, jakim był Jan Kazimierz. Toteż byłby bezwątpienia załamał się pod naporem klęsk, jakie runęły na wyniszczoną długimi wojnami Polskę, gdyby nie rada i pomoc mądrej i świadomej celu królowej.

Podczas gdy z jednej strony szła na Lwów nawała kozacka, wspomagana przez wojska moskiewskie, z drugiej król szwedzki Karol Gustaw, zerwawszy układy z Polską, zalewał ziemie Rzplitej od strony Wielkopolski i Litwy niepowstrzymaną falą swej potężnej armii. Wkrótce sytuacja stała się tak groźna, że król z garstką wiernych senatorów, musiał schronić się na Śląsk. Trudności położenia pogarszał jeszcze fakt, że pod wpływem Janusza Radziwiłła, niemal cała Polska oddawała się tłumnie pod szwedzki protektorat.

I teraz dopiero, w obliczu tej katastrofy dziejowej, cały hart i niezłomny charakter królowej zabłysnął pełnym blaskiem. Podczas kiedy król, bezsilny i zniechęcony, myślał już tylko o abdykacji, Maria Ludwika, nawiązawszy kontakt z wybitnymi osobistościami w kraju, pisała do nich listy pełne głębokiej mądrości i prze-

ŻONA DWUCH WAZÓW

konywujących argumentów. Jej niewzruszona wiara w zwycięstwo słusznej sprawy, zjednała nawet najzaciętszych przeciwników. Niemal wszyscy pragnęli teraz powrotu prawowitego króla, zwłaszcza, że brutalne zachowanie Szwedów oraz ich łupiestwo, zraziły całą ludność Rzplitej.

Pod wpływem perswazji swej mądrej małżonki — która zdawała sobie doskonale sprawę, że należało wykorzystać te przychylne nastroje postanowił Jan Kazimierz wrócić do Polski. I tak w towarzystwie Jerzego Lubomirskiego oraz innych dostojników, wyruszył król w drogę powrotną i 9 lutego 1655 r. stanął wreszcie we Lwowie.

Cały kraj powitał go entuzjastycznie, wiadomości z pola bitwy były coraz pomyślniejsze... Uniesiony jednym ze swych szlachetniejszych porywów, postanowił Jan Kazimierz 1 kwietnia 1656 r. złożyć uroczyste ślubowanie w katedrze lwowskiej. Mocą tych ślubów oddawał król siebie oraz cały naród pod specjalną opiekę Matki Boskiej, przyrzekając równocześnie zrobić wszystko dla polepszenia doli uciemnionych włościan.

Niebezpieczeństwo przeszło — przeszedł również podniosły nastrój... i wkrótce „Śluby Jana Kazimierza“ zostały tylko piękną i wzniosłą datą historyczną.

Wróg zewnętrzny został wprawdzie pokonany, pozostał jednak wróg wewnętrzny, znacznie groźniejszy, gdyż był on zarodkiem przyszłego upadku Polski. Pozostała anarchia.

Od wielu już lat wielką ideą Marii Ludwiki było poskromienie „złotej wolności szlacheckiej“, która tyle szkody przyniosła jej przybranej ojczyźnie. Nieszczęsny przywilej Liberrum Veto, które rzucone choćby tylko jednym głosem z tłumy sejmikujących, mogło obalić najbardziej zbawienne uchwały, uważała ona za największego wroga ustroju państwowego. Toteż skupiwszy dokoła siebie ludzi rozumiejących całe niebezpie-

czeństwo tego przywileju, usiłowała przy ich pomocy przeprowadzić reformę sejmową. Niestety skończyło się tylko na naradach i projektach nielicznych zwolenników reformy i mimo energicznych wysiłków królowej, wszystko to poszło wkrótce w zapomnienie.

Widząc, że jej małżonek, chory i zniechęcony, pragnął już tylko zrzucić jak najprędzej ciężar przytłaczającej go władzy, godziła się powoli z jego zamiarem abdykacji. Przedtem jednak pragnęła zabezpieczyć kraj przed burzami wolnej elekcji i zarządziła utrwalenie sojuszu z Francją. Najlepszą do tego drogę widziała w ustaleniu następstwa tronu jeszcze za panowania Jana Kazimierza, a kandydatem na przyszłego króla, miał być książę d'Enghien, syn sławnego woźdźdź Francji, księcia Condé.

Ten „zamach na wolny wybór króla przez elekcję, jedno z najbardziej uświęconych praw ustroju“, miał wkrótce rozpaść kraj cały pożarem wojny domowej. Na czele opozycji stanął człowiek sławny i zasłużony, Jerzy Lubomirski, hetman polny oraz kanclerz koronny.

Walki bratobójcze skończyły się klęską króla pod Mławami oraz pokojem ławnickim w 1667 r., Jan Kazimierz zmuszony był nie tylko udzielić amnestii wszystkim rokoszantom, ale zarazem wyrzec się wszelkich planów wyznaczenia swego następcy.

10 maja 1667 r. umarła Maria Ludwika, wyczerpana tyłoma zawodami a w rok później abdykował Jan Kazimierz.

A korona Polski, którą Maria Ludwika tak usilnie starała się uratować od zagłady, przetrucana z rąk do rąk na polach elekcyjnych, padła wreszcie u stóp najmniej odpowiedniego kandydata. Królem Polski został Michał Korybut Wiśniowiecki.

N O W E W Y D A N I E

głośnej książki

STEFANA KORBOŃSKIEGO

„W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ“

w oprowie płócienniej

Cena: £3.3.0, \$9.00, 40.00 F.

„GRYP“ — 171, Battersea Church Road,
London, S. W. 11.

JAN KUNERT (Oslo)

NIEŚMIERTELNA L A L L A

Miała Francja swoją Mistinguette, Niemcy (na spółkę z Ameryką!) Marlenę, ma również Norwegia swoją Lallę Carlsen. Nie chodzi tutaj o klasę arcyzmu. Popularnej Lalli daleko do finezji niezapomnianej supergwiazdy francuskiej czy do zmysłowej ekspresji Marleny. Ale podobnie jak tamte nie może Lalla Carlsen zejść ze sceny. Przyznaje się do lat 75, ludzie mówią, że ma 100, a wygląda na 45. Żyje jeszcze sporo staruchów, którzy pamiętają jej debiut przed 50 laty w Oslo, w istniejącym do dziś teatrzyku rewiewym „Chat Noir“. A, jak sama powiada, była wtedy już „zaawansowaną panną“, miała bowiem latek 25. Podobno miała więcej, wybór kariery artystycznej nastąpił stosunkowo późno.

Za to cały czas pozostała Lalla wierna swojej scenie, tej, która ją surową i niedoświadczoną przygarnęła, poznała się na rodzaju jej talentu, wychowała i już po dwóch latach przygotowała swojej pupilce pierwszy duży sukces. Potem poszło jak po maśle. Przewaliły się tymczasem dwie wojny światowe; umarła jedyna po zaborze duńskim i unii ze Szwecją królowa i jedyna następczyni tronu, zmarł stary król, zmieniali się szefowie rządu, przechodzili i odchodzili dyrektorzy teatrzyku, reżyserzy i kapelmistrze, meteorowym życiem przesunęło się grono świetnych kolegów i koleżanek — a Lalla Carlsen ciągle trwa. Śpiewa, tańczy, wzrusza starszych panów w pontyfikalnych siwiznach, zadziwia młodzież. Jest niezniszczalna. Jest kochana i uwielbiana. Czy w piosence, czy w skeczu, czy w monologu, jest zachwycająca.

Dwa lata temu porwała się na coś nieprawdopodobnego. Powszechnie bano się co z tego wyjdzie Zdarzają się takie nawiedzenia wśród aktorów. Odradzano jej, perswadowano, zaklinano — nie nie pomogło. Otóż marzeniem stuprocentowej artystki rewiewej była rola Aase, matki Peer Gynta w dramacie Ibsena. Lalla i Aase — nikt nie mógł w taką kombinację uwierzyć.

A mnie wtedy przypomniała się historia z naszym kochanym Frenklem, komikiem najczystszej wody, który na stare lata zagrał, bo się całe życie palił do niej, rolę wojewody w Mazepie Słowackiego. Legendarna katastrofa miała miejsce w roku 1924 w Teatrze Narodowym w Warszawie.

„Peer Gynt“ szedł na scenie letniej w parku Frogner. Na premierę wielbiciele artystki przyszli z trwogą. „Po co jej to“ — narzekali prawie ze łzami.

(Dokończenie ze str. 21)

słownym i przenośnym tego słowa znaczeniu) miejscowy prefekt wydał właśnie zarządzenie, że wszystkie lokale muszą być zamknięte o pół do pierwszej w nocy, za wyjątkiem kilku, którym wolno będzie przyjmować klientów do pół do trzeciej. Do tej pory te wszystkie lokale mogły być otwarte przez całą noc, do białego rana. W Nicei, w Cannes czy w Antibes poruszenie! Syndykaty restauratorów, kawiarni i barów gwałtownie protestują.

Inni mają inne plany. Pierre La-porte, właściciel wytwornej „Siesty“ w Antibes, już robi przygotowania, by aneks swego lokalu przenieść poza wody terytorialne Francji (3 km. od brzegu), na luksusowy jacht specjalnie do tego celu przygotowany, gdzie ręka prefekta Maotti go nie dosięgnie. Szybkie motorówki będą przewozić tam klientów, spragnionych napojów orzeźwiających i dodatkowego strip tease'a. Ten jacht, a właściwie chińska dżonka „Cheng Fen“, już opuściła Hong Kong z załogą złożoną z jedenastu specjalistów tego nocnego życia morskiego i wkrótce przybędzie na lazurowe wody.

AUTOSTRADY

Karola Zbyszewskiego zdziwiło, że we Francji buduje się autostrady małymi kawałkami po kilkanaście km. (rzadko więcej). Rzeczywiście, tu nie ma jednej przyzwoitej autostrady, która by łączyła dwa miasta. Ale powodem tego nie są miejscowe ambicje, jak sądzi Zbyszewski, każdego większego miasta, czy departamentu, by mieć choć kawałek własnej autostrady. Francuzi, w przeciwieństwie do zwykłych śmiertelników, nie rozumują w prosty chłopski sposób, lecz w kartezyjański. Są z tego bardzo dumni. Otóż jeżeli chodzi o autostrady, to wymyślili, że to nie jest tak prosto, jak sobie Niemcy czy Włosi wyobrażają — połączyć nimi dwa wielkie miasta i koniec. Nie — bo są dwa typy autostrad, jedne „odciążające“ wielkie miasta, a dopiero drugie „dla komunikacji“. Podobno ważniejsze i pilniejsze są te pierwsze, by w okresach wielkiego natężenia ruchu samochodowego, jak week-endy czy wyjazd i powrót z wakacji, moż-

na było łatwo wyjechać i wjechać do miast i skończyć z potwornymi korkami. Stąd te małe odcinki paryskie i pod Lille, Lyonem czy Marsylią. A obok tego, przy budowaniu autostrad „komunikacyjnych“ trzeba wziąć pod uwagę miejsca, gdzie z różnych powodów tworzą się korki i małymi kawałkami autostrad omijać je. W przyszłości te małe kawałki połączy się i nagle powstanie wielka, nowoczesna autostrada komunikacyjna.

Odpowiedzialny za ten dział minister wyjaśnił nawet, że pierwszym celem autostrad nie jest zyskanie jednej czy dwóch godzin między Paryżem i Lyonem, lecz umożliwienie łatwego wjazdu i wyjazdu z Paryża czy z Lyonu. Jeden ze specjalistów odpowiedział na to, że minister przypuszczałnie w ogóle nie ma pojęcia dlaczego sprawa budowy autostrad w obecnych czasach jest niesłychanie pilna i ważna i to w pierwszym rzędzie tych lekceważonych autostrad „komunikacyjnych“. Nie chodzi o te kilka godzin czasu, nie chodzi również o korki pod Paryżem, lecz o to, by się ludzie nie zabijali. Drogowa sieć francuska, jedna z najbogatszych w Europie, nie jest przystosowana ani do obecnej liczby samochodów (10 milionów plus turyści) ani do ich szybkości. Toteż rok rocznie pada na nich hekatomba ofiar (w ciągu czterech dni Wielkanocy ponad 200 zabitych i 3.800 rannych), a ci ludzie nie zabijają się w ślimaczących się korkach podparyskich, lecz w polu, za miastami, gdzie chcą jechać szybko.

Francja z tymi autostradami wygląda dość blado, bo ma ich obecnie zaledwie 423 km. (dane z lutego, więc może parę kilometrów przybyło w międzyczasie), co daje 9 km. na milion mieszkańców, podczas gdy w Niemczech jest 50 km. we Włoszech 27 a nawet w Belgii 18. Francja według słynnego powiedzenia wyszła bezpowrotnie z epoki lampy naftowej, floty o żaglach i dylizansów, ale widocznie jeszcze nie weszła w epokę samochodu. Przypuszczalnie my tu bezpośrednio wskoczmy w epokę atomową, w której autostrady w ogóle będą przeżytkiem, bo wszyscy będą latać małymi sputnikami (używam tego wyrażenia, a nie „ranger“ ze względu na „aktualność“ polityczną).

ZONY WOLNOCŁOWE

Turystę, który przejeżdżał granicę między Francją i Genewą, musiał uderzyć fakt, że we Francji przechodził dwie kontrole celne, przekraczał dwie granice francuskie, oddalone od siebie o pewną ilość kilometrów. Rzeczywiście w tej okolicy takie dwie granice istnieją, a powoduje to unikat europejski pod nazwą „Zone franche“. Jak wiadomo Genewa tworzy enklawę wciśniętą w terytorium francuskie. Otóż w 1815 r. na Kongresie wiedeńskim i dodatkowo w rok później mieszkańcy Genewy uzyskali utworzenie dwóch „wolnych zon“, które tworzą naturalne zaplecze rolnicze ich miasta, a dla mieszkańców wolnych zon Genewa stanowi naturalny dla nich rynek zbytu. Jedna zona „Pays de Gex“ obejmuje 390 km. kw., a druga (Zone de St. Julien) 150 km. kw. Jest jeszcze trzecia taka zona, w rej. St. Gingolph na wschód od Evian. Mieszkańcy tych zon (Francuzi) mogą swobodnie sprzedawać w Genewie swe płody rolne (bez żadnych cel) i w zamian nabywać produkty przemysłowe, bez opłacania cła francuskiego. Ale oczywiście nie wolno im odsprzedawać tych towarów innym Francuzom, przybywającym spoza zony, lub wwozić do Francji. Stąd dwie granice celne. Zony te należą do Francji i tworzą jej państwowe terytorium, więc jedna kontrola jest na granicy szwajcarsko-francuskiej, jak między wszystkimi państwami, a druga na granicy tych zon wewnątrz Francji. Jest to oczywisty anachronizm i Francuzom bardzo się to nie podoba, bo po pierwsze muszą pilnować dwóch granic, do tego jednej we własnym kraju, co komplikuje i kosztuje, a po drugie między tymi zonami i Francją istnieje przemyt, którego nikt nie upilnuje. Paryżanin nie musi jechać do Genewy po szwajcarski zegarek, może go kupić równie dobrze we Francji np. w Gex.

W roku 1923 Francja jednostronnie zlikwidowała te wolne zony, na co Szwajcarzy i mieszkańcy tych zon (robiący fortuny na przemyśle) podnieśli wielki gwałt i skierowali sprawę do Trybunału w Hadze. Francja sprawę przerzuciła, zony zostały odtworzone i prosperują w najlepsze.

Jan Claude

SPOTKANIE

— Do ciebie — powiedziała Peggy, wręczając Zygmunutowi słuchawkę —. Po polsku — dodała tonem wyjaśnienia z wyraźnym niesmakiem.

Biedna Peggy! Do dzisiaj nie umiała się pogodzić z tym, że rodacy jej męża, dzwoniąc w Londynie do ich domu, z miejsca zaczynają rozmowę w obcym języku. Zygmunt uśmiechnął się do niej i wziął słuchawkę.

— Proszę — powiedział — Steczkiewicz przy telefonie.

— Zygmunt? — zapytał niski głos kobiecy — Nie poznajesz mnie?

Zastanowił się. Nie, stanowczo nie przypominał sobie tego głosu.

— Nie, nie poznaję. Kto mówi?

— Krótką masz pamięć — zaśmiała się nieznajoma — No, zgaduj! Do trzech razy sztuka.

Zygmunt zirytował się, zwłaszcza że Peggy, sprząając od stołu, rzucała mu od czasu do czasu krótkie i pełne wyrzutu spojrzenia, jak zawsze wtedy, kiedy w jej towarzystwie mówił po polsku.

— Proszę pani — powiedział z naciśnięciem na słowo „pani“ — Niechże pani powie, jaki ma pani do mnie interes, zamiast dawać mi do rozwiązania zagadki.

— Ooo, usposobienie ci się na pewno nie poprawiło — stwierdziła rozmówczyni z przekąsem — Zawsze się złościłeś byle czego. Tylko, że dawniej miałeś śliczne, faliste blond włosy, a dzisiaj pewnie świecisz łysiną.

Bezwiednie spojrzął w lustro, wiążące nad stolikiem telefonicznym, potwierdzając podejrzenia nieznajomej. Faliste blond włosy? To musiało być bardzo dawno.

— No, jeszcze nie poznałeś? — dziwił się głos w telefonie — Pamiętasz ulicę Lwowską i Lardellego w Alejach Jerozolimskich? To ci też nic nie mówi?

Ołśnienie! Niski głos nagle otworzył właściwą szufladkę wspomnień.

— Ewa? Ty w Londynie? Co się z tobą dzieje? — wykrzyknął — Na długo przyjechałaś?

— No, nareszcie! Właściwie powinienam być śmiertelnie dotknięta, jako twoja była narzeczona, którą przecież kochałeś nad życie — cytując twoje własne słowa — i do której nie odezwałeś się po wojnie ani razu. To mi zupełnie nie pasuje do twojego obecnego obrazu brytyjskiego dżentelmena.

— Co za niespodzianka! Kiedy się zobaczymy? Musimy przecież pogadać o starych dziejach. Co u Ciebie słyhać? — Zygmunt pokrywał zaskoczenie potokiem pytań i wykrzykników.

— Wyobraź sobie, że wiele nam nie zostało czasu do tego pogadania. Dopiero dzisiaj dowiedziałam się, że mieszkasz w Londynie i odkryłam twój telefon, a wracam do kraju pojutrze.

— Już pojutrze? Niemożliwe! W takim razie zostaje nam tylko jutro wieczorem, bo rano muszę iść do pracy. Gdzie mieszkasz? Gdzie nam się będzie najwygodniej spotkać?

— No, skoro tak o tym marzysz, możemy się umówić przy wyjściu ze stacji na Gloucester Road. O której wychodzisz z biura?

— Gloucester Road? Poczekaj, daj mi pomyśleć. Będę tam o wpół do siódmej, dobrze?

— Dobrze. A po czym się poznamy? Ostatecznie, to już bezmała dwadzieścia pięć lat od czasu naszego ostatniego widzenia. Ja się bardzo zmieniłam, a ty też na pewno nie odmłodziłeś — zaśmiała się Ewa.

— Nie zwracaj głowy! Ciebie bym nie poznał? Jutro o szóstej trzydziści na Gloucester Road!

— Do jutra!

Kładąc słuchawkę na widełki, Zygmunt znowu spojrzął w lustro i spotkał oczy Peggy.

— Znajoma mojej rodziny w Kraju. Przywiozła dla mnie pozdrowienia — wyjaśnił — Mam się z nią spotkać na chwilę jutro po biurze.

— Czemu nie zaprosiłeś jej do nas? — twarz Peggy zrobiła się chłodna i nieprzychylna.

— Nie zna angielskiego. Znudzilibyś się — odpowiedział, unikając jej spojrzenia.

Deszcz monotonicznie siąpił przed wejściem do stacji na Gloucester Road. Zygmunt strząsnął krople z płaszcza i opuścił kołnierz, a potem spojrzął na zegarek: jeszcze dziesięć minut do umówionej godziny. Usiłował się przekonać, że wcale nie jest podniecony, że go to wszystko właściwie nie obchodzi, ale od wieczoraj porwała go fala wspomnień, prawda, że bardzo już odległych, ale pachnących urokiem młodości, studenckiej beztroski, i tej „miłości na całe życie“, z której się łatwo wyrasta, ale której się nigdy nie zapomina. Uchwycił swoje odbicie w szybie kiosku i westchnął: zamiast studenta o falujących blond włosach zobaczył pana z brzuszkami i wcale imponującą łysiną, na której błyszczały deszczowe krople. Przetarł czaszkę chustką do nosa i zaniepokoił się: czas ob-

chodzi się często o wiele okrutniej z kobietami, niż z mężczyznami; jak obzedł się z wysmukłą figurą Ewy, jej roześmianą twarzą, z której błyskały duże, czarne oczy? Nagle zdał sobie sprawę z tego, że przecież to nie będzie spotkanie dawnych zakochanych z Warszawy, a dwojga obcych sobie ludzi w Londynie. O czym będą mówić? Ona o swoim mężu i dzieciach (pewien był, że wyszła za męża), a on o Peggy i córce? Po co? Czy ich to wzajemnie obchodzi? O co im chodzi na prawdę? O to, aby się przekonać na własne oczy i uszy, jak się postarzel, odmienili, zszarzel, bezpowrotnie od siebie odbiegli? „Odgrzebywanie umarłych“ — pomyślał i wzdrygnął się.

W tej chwili od strony kolejki nadeszła okazała tuszyszka pani, bacznie rozglądająca się dokoła. Wsunęty w kąt, Zygmunt wpatrzył się w nią z niepokojem, bardziej zgadując, niż rozpoznając w niej podobieństwo do dawnej Ewy ze studenckich lat. Oczy — tak, poznałby ją tylko po oczach, które zachowały dawną czerń i żywość; ale twarz, tyle razy całowane usta? Linia bioder, która go urzekła smukłością? Strzeliste nogi, na które tak lubił patrzeć? Ogarnął go nagły, gwałtowny popłoch: za żadną cenę nie mógł, nie powinien dopuścić do utraty, do zmazania tamtych uroczych wspomnień przez konfrontację z inną, postarzałą, nieciekawą rzeczywistością. Podniósł kołnierz u płaszcza i zdecydowanie ruszył ku wyjściu, nie patrząc na Ewę.

Po kilku krokach poczuł, że ktoś dotknął jego ramienia. Spojrzął ukosem, nie ukosem, nie odwracając twarzy. Stała przy nim, niepewna, ale bliska poznaniam.

— Zygmunt? — zapytała z wahaniem.

— Nie rozumiem — odpowiedział po angielsku i wyszedł w mżący deszcz londyński.

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

MARCIN Basiak nie bał się pracy i dlatego dawał sobie radę i pod wozem i na wozie. Pod wozem bywał nieraz. Lecz wdrapywał się na wóz uparcie. Nie pokonała go ani cyinga w Kazachstanie, ani malaria na Środkowym Wschodzie, ani pocisk z niemieckiego szmejsera w słoneczny dzień natarcia na Loreto. Przettrzymał wszystko aż osiadł wreszcie w Middlesborough.

Dziś, gdy już minął czterdziestkę, katar był jedynym zmartwieniem Marcina Basiaka. Bo miał żonę ładną i gospodarną, dzieciaki zdrowe; a sąsiedzi i klienci nie mieli słów uznania dla Marcina. Obietnica jego więcej była warta niż bankowa gwarancja, o pracowników dbał jak o rodzinę i nigdy się nie przechwalał, że mu się powiodło.

A powiodło mu się naprawdę dobrze. Gdzież te lata gdy pociągając przestrzeloną nogą dźwigał skrzynie i skrzynki, wstawał o piątej rano a kończył robotę o jedenastej. Harował, oszczędzał byle się swojego dochrapać.

Dochrapał się. Naprzód starym Fordem rozwził towar po domach, potem założył maleńki sklepik. Z maleńkiego zrobił się większy, potem wcale duży, wreszcie przy sklepie powstały magazyny. Wielkie i nowoczesne, z dźwigami, z rampą na załadunek. Obok wyrósł biura: oszklone, z windami, z maszynami do kontowania, pełne fertycznych urzędniczek; pracowitych, sprawnych i pięknie wyondulowanych. A ciężkie lory dziesięciotonowe z napisem „Marcin Basiak i Spółka — Hurtownia Towarowa“ znane były w całej Środkowej i Zachodniej Anglii. Czym handlował Marcin Basiak? Meblami i fajansem. Sprzedawał wyroby miejscowe i zagraniczne, które sprowadzał z Kontynentu, ze Skandynawii, z Ameryki Południowej i z Dalekiego Wschodu.

Pewnego sobotniego popołudnia, pijąc kawę w ogródku Marcin Basiak zawstydził się straszliwie. Bo gazeta, którą przeglądał upadła mu na trawę. Upadłszy, otworzyła się na stronie dwudziestejósmej i oto w oczy Marcina Basiaka uderzył tytuł artykułu o położeniu gospodarczym kraju pochodzenia jego przodków. „Przecież produkują mnóstwo z tego co ja kupuję gdzie-

JAKUB ROŻENEK

MARCIN BASIAK

indziej. I rozbudowują eksport. „Bardzo ładne wyroby“ — myślał Basiak oglądając fotografie rozmaitych mebelków i innych „cepelii“.

W poniedziałek Marcin Basiak był już w Londynie. Nie tracił czasu. Z dworca taksówka. Chciałbym się zobaczyć z attaché handlowym — powiada Marcin Basiak do obywatela, który z miny i ubioru wyglądał na woznego. Był nim rzeczywiście i do prośby Marcina Basiaka odniósł się nieufnie.

— Zaraz, zaraz; jak pan się nazywa?

— Marcin Basiak — odpowiedział Marcin Basiak zgodnie z prawdą.

— A jak pan się nazywał dawniej?

— Dawniej? Ja się zawsze tak nazywałem.

— Hm? pan wie, że my to możemy sprawdzić?

— Sprawdzajcie sobie, ale ja chciałem się zobaczyć...

— Powiedziałem: zaraz, to znaczy zaraz. Gdzie Pan mieszka?

— Tam i tam.

— Stan cywilny?

— Żonaty i dzieciaty, ale panie co panu do tego?

— Jak to co do tego? Ja przecież spisuję personalia...

— No dobrze, ale poco, przecież ja chcę się tylko zobaczyć z attaché handlowym...

— Albo, albo — orzekł obywatel wozny — przepis jest przepis. Marcin Basiak westchnął, spojrzął rozpaczliwie na ścianę z której wpatrywała się w niego uśmiechnięta fotografia Pierwszego Sekretarza Zjednoczonej Partii oraz podobizna borsuka w wykonaniu abstrakcyjnym z podpisem „Wczasy nad Jeziorem“. Marcin Basiak nie czytał nad jakim jeziorem borsuk zachwala wczasy, bo chciał kupić meble i fajansy za dewizy:

— Panie, drogi Panie, może ja panu wytłumaczę, chętnie podam informacje o sobie, o rodzinie i o wszystkim czego pan sobie życzy, ale czy nie marnujemy czasu? Bo ja chcę się zobaczyć z attaché handlowym w sprawie fajansu i mebli...

— Albo, albo — powtórzył ponuro obywatel wozny. Spisywanie odbywało się zatem dalej i Marcin Basiak, który nie miał powodu ukrywać czegokolwiek podał wszystko co od niego obywatel wozny zażądał, łącznie z imieniem i zawodem teścia oraz miejscem urodzenia nieżyjącej od dawna — Panie świeć nad jej duszą — teściowej.

— To już chyba wszystko — stwierdził niechętnie obywatel wozny sprawdzając formularz — i nagle dorzucił TYMCZASEM... — Świetnie — powiedział Marcin Basiak — więc czy mógłbym się zobaczyć z attaché handlowym?

Obywatel spojrzął na zegarek i oświadczył: Przyjdzie Pan o trzeciej po południu i zgłosi się Pan z tą karteczką do okienka numer cztery.

Marcin Basiak zbaraniał. Lecz pobiegł na miasto, odwiedził kilku klientów, połknął dwie aspiryny i punktualnie o trzeciej zjawił się w ambasadzie.

— W jakiej sprawie — zapytała tym razem obywatelka wozna?

Basiak pokazał kartkę z numerem.

— Nazwisko? — zapytała obywatelka wozna.

Pan Basiak powiedział nazwisko, datę urodzenia, miejsce zamieszkania, imiona rodziców i inne informacje, spisane poprzednio przez obywatela woznego.

Hm, zgadza się, przyznała obywatelka — wozna sprawdziwszy z formularzem, wie pan co? Już jest późno, niech pan przyjdzie jutro rano.

Co się dalej działo w poczekalni trudno opisać, bo nawet Marcin Basiak dokładnie nie pamięta. Wie tylko, że mu ktoś podał szklanek wody, że zażywał jeszcze kilka aspiryn i że znalazł się jednak przed okienkiem numer cztery jako „wypadek specjalny“, co zostało wpisane czerwonym ołówkiem na wstępie nowego formularza. Głucho i mechanicznie odpowiadał Marcin Basiak na pytania. Na te, które mu już zadawano po raz trzeci i na szereg nowych.

IMPORTUJE

E.D.I.C.

Wszystko szło nie tyle gładko, ile bez poważniejszych zgrzytów aż urzędnik nie dobrnął do czwartej strony kwestionariusza. Pytanie: jakimi językami władza starająca się (starająca się)? „Polski, angielski — recytował Marcin Basiak — trochę po włosku ale słabo, aha, trochę po uzbecku...”

— Co? — Poderwał się urzędnik — po jakimu?

— Po uzbecku...

— Niech Pann zaczeka... Urzędnik pobiegł do wnętrza gmachu. Pan Basiak czekał. Za chwilę przyszło dwóch innych urzędników. „Może pan pozwoli z nami...” Marcin Basiak pozwolił. Posadzono go w gabinecie naprzeciwko dostojnika wysokiego stopnia. Marcin Basiak ucieszył się. Widocznie dali spokój tym głupstwom i teraz będzie mógł załatwić z czym przyjechał. „Proszę pana — zaczął — mam sporą hurtownię w Middlesborough. Obsługuję duży rejon. Między innymi sprowadzam meble i fajanse. Mogę dać dobre warunki płatności. Chciałbym dostać specyfikacje towarowe i katalogi produkcyjne. Sądzę, że mógłbym w pierwszym roku sprowadzić za, powiedzmy, dwadzieścia tysięcy funtów, a potem się zobaczy...”

— Zaraz, zaraz — przerwał jego — jak się pan nazywa?

— Przecież wszystko ma pan spisane na kwestionariuszu, a ja naprawdę się spieszę. Potrzebne mi są informacje. Gdzież mam ich szukać jeśli nie w attachacie handlowym...

— Zaraz, zaraz, do attachatu mamy czas. Więc jak się pan nazywa? Marcin Basiak zaciął zęby, zamknął oczy i zaczął po raz czwarty odpowiadać na pytania. Z kim pan utrzymuje stosunki towarzyskie? „Gdzie?” — zapytał Basiak. „Jako gdzie? Wszędzie”. Pan Basiak zaczął wymieniać nazwiska znajomych w Middlesborough, w Londynie, w Glasgow. Zapisywanie szło opornie z uwagi na tajniki pisowni angielskiej. Po znajomych, obgadano sprawę krewnych w kraju. Pan Basiak stwierdził, że nie ma

krewnych. Wreszcie dostojnik sapnął z zadowoleniem, zanucił pod nosem „Rudy, rudy, rudy rydz — co za sztuka” i powiedział panu Basiakowi żeby przyszedł rano bo on kończy urzędowanie.

Marcin Basiak przyszedł rano. Wpuszczono go bez czekania, co mu dodało otuchy, a spisywanie wstępnych informacji ograniczono do nazwiska i daty urodzenia. Za biurkiem siedział dostojnik. „Proszę pana — zagaił — przejrzałem to wszystko, wydaję się w porządku, chociaż oczywiście trzeba będzie sprawdzić. Tylko jedna sprawa jeszcze: dlaczego pan mówi po uzbecku?”

— Byłem młodym chłopcem jak mnie wywieźli do Kazachstanu. Mieszkałem wśród Uzbeków, nauczyłem się, trzeba było jakoś z nimi gadać...

— Gadać? O czym gadać?

— No różnie, o robocie, gdzie zagotować wody, gdzie można dostać chleb, a gdzie morele...

— Morele?

— Tak, morele.

Dostojnik wykaligrafował pięknie na marginesie formularza: „handlował morelami z uzbeckim sektorem prywatnym w czasie wojny z faszystowskim najeźdźcą”. Później rozmowa potoczyła się rażno naprzód. O dwunastej dostojnik spojrział na zegarek i powiedział „To będzie wszystko. Dziękuję Panu”.

— Zaraz, zaraz — powiedział Marcin Basiak — ja bym teraz chciał załatwić sprawę importu mebli i fajansu...

— Proszę Pana, naprzód sprawdzi się pańskie zapośdania. To musi potwać, bo trzeba odesłać do centrali. Szczerze mówiąc bardzo pan sobie zaszkodził tym uzbeckim...

— Ja sobie zaszkodziłem... ???

— No nie wiem, nie wiem... w każdym razie może pan teraz wracać do siebie i niech się pan zgłosi za jakie trzy miesiące...

Marcin Basiak podleczył się już trochę z załamania nerwowego; Lecz wczoraj znowu wzywano leka-

rza. Nic mu nie jest właściwie. Dzwonne objawy. Nie rozstaje się z najnowszym wydaniem gazety w języku przodków i odczytuje po raz setny artykuł pod tytułem: „Rozwój eksportu naszych mebli i fajansu do krajów kapitalistycznych — przełamanie uprzedzeń importerów zachodnich czyni ogromne postępy”.

Później Marcin Basiak śmieje się i płacze na przemian przez godzinę i mruży jakieś niezrozumiałe słowa. Możliwe, że klnie. Pewno po uzbecku.

UDZIAŁ POLAKÓW W FESTIWALU EDYNBURSKIM

W tegorocznym Międzynarodowym Festiwalu Muzycznym w Edynburgu udział polskich artystów będzie dość znaczny; wezmą w nim udział skrzypkowie i śpiewacy.

Wśród całej plejady skrzypków czołowe miejsce zajmuje sławna polska skrzypaczka Wanda Wiłkomirska. Będzie to jej pierwszy występ na Festiwalu w Edynburgu. Poza nią koncertować będą skrzypkowie polskiego pochodzenia, a przebywający stale na emigracji — Henryk Szeryng i Szymon Goldberg. Obaj występowali już wielokrotnie w Edynburgu i dali się poznać publiczności z jak najlepszej strony. Wiłkomirska wykona symfonię 98 Haydna z towarzyszeniem New Philharmonia Orchestra.

Bardzo interesująco zapowiada się występ polskiej śpiewaczki Haliny Łukomskiej — sopran. Nie ma ona jeszcze takiej międzynarodowej sławy jak Wanda Wiłkomirska, niemniej posiada głos o wielkich walorach artystycznych.

* * *

Jeszcze znaczniejszy będzie udział Polski na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym, w którym w tym roku wezmą udział: Czechosłowacja, Francja, Niemcy, Włochy, Holandia, Polska, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, Rosja i Jugosławia.

Na pokaz filmów polskich, w jednym z kin i Klubie Filmowym, przeznaczono cały tydzień. Dyrekcja Festiwalu chce uczcić w ten sposób tragicznie zmarłego reżysera Munka, którego szereg filmów będzie wyświetlanych na Festiwalu. Dodać należy, iż polski przemysł filmowy cieszy się bardzo dobrą marką. Jak dotychczas co roku rażąco usterką był skandaliczny brak jakichkolwiek materiałów propagandowych dla prasy n. t. polskiej produkcji filmowej. Może w tym roku nastąpi jakaś poprawa.

S. B.

Ś.P. KSIĄDZ DZIEKAN HENRYK CZORNY



Śp. ksiądz dziekan Henryk Czorny urodził się w Bukowie powiatu rybnickiego, Ziemi Śląskiej. Był wiernym synem tej prastarej dzielnicy polskiej, która mimo siedmiuset lat niewoli niemieckiej nie przestała być polską i katolicką. Należał do rodziny znanej z patriotyzmu, ofiarności i czynnego udziału w trudnej i niebezpiecznej walce z germanizacją ludu śląskiego.

Konieczność bronienia ojczyzny z bronią w ręce wcześniej stanęła na drodze życiowej ks. Czornego, bo jako młody chłopiec wziął udział w powstaniu śląskim i już wtedy wyróżnił się odwagą i wytrwałością.

Z domu rodzinnego wyniósł nie tylko umiłowanie ojczyzny, lecz również gorącą wiarę i czuł w sobie powołanie do stanu duchownego, po ukończeniu więc gimnazjum i seminarium wstąpił na wydział teologiczny uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Studia te otworzyły mu drogę do najbardziej pożądanego go pracy wychowawczej i pedagogicznej wśród młodzieży. Objął stanowisko prefekta w gimnazjum i już wkrótce zdołał zyskać pełne zaufanie i miłość swych uczniów oraz uznanie ze strony rodziców i przełożonych.

Tę owocną pracę przerwał najazd niemiecki na Polskę we wrześniu 1939. Zagrożony zemstą Niemców za udział w powstaniu śląskim, musiał ks. Czorny opuścić Polskę. Przez Rumunię i

Turcję dotarł do Palestyny i tu został powołany do objęcia stanowiska kapelana w tworzącym się wojsku polskim.

Z Pułkiem 6 Pancernym „Dzieci Lwowskich“ przybył do Włoch i wziął udział we wszystkich bojach, toczonych przez 2 korpus Polski. Już w pierwszym, najcięższym boju o klasztor Monte Cassino znalazł młody kapelan właściwą drogę wykonywania swych obowiązków kapłańskich: szedł wraz z lekarzem pułkowym dr Rutaną tuż za pierwszą linią nacierających czołgów i piechoty, udzielał ostatniego namaszczenia konającym żołnierzom, spowiadał i udzielał komunii świętej ranym, przynosząc im swoją obecnością, spokojem i słowami pociechy ulgę w cierpieniach. Odbywało się to pod największym ogniem niemieckim w obliczu nieustannie grożącej śmierci. Nie zmienił tego trybu postępowania do końca wojny, zawsze był tam, gdzie „Żołnierze pisali historię przelewana krwią“.

Został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari 5 kl., czterokrotnie Krzyżem Walecznych, Krzyżem Monte Cassino i Złotym Krzyżem Zasługi z mieczami. Najcenniejszym jednak odznaczeniem, według jego własnych słów, były uznanie i serdeczna przyjaźń ze strony jego współtowarzyszy broni bez różnicy stopnia. Jak głęboko w jego pamięć i serce zapadły przeżycia owych dni bitewnych, świadczy fakt, że w chwili śmierci miał w ręce książkę Wańkowi-cza „Monte Cassino“.

Po skończonej wojnie i rozwiązaniu P. K. P. R. osiadł śp. ks. Czorny w Leeds, w którym osiedliła się największa liczba żołnierzy Pułku 6 Pancernego „Dzieci Lwowskich“. W oparciu o miłość i przyjaźń do niego tej gromady żołnierskiej, przystąpił ks. Czorny do organizowania religijnego i społecznego życia na obczyźnie.

Jego prawy charakter, szczerłość i jasny sąd o sprawach idące w parze

Z G O N ARTURA MARII SWINARSKIEGO

21 kwietnia zmarł w Wiedniu w 65 roku życia wybitny satyryk i dramaturg Artur Maria Swinarski. Zmarły od pewnego czasu przebywał zagranicą i drukował swoje utwory w pismach emigracyjnych. Instytut Literacki w Paryżu wydał w r. 1960 cztery utwory dramatyczne Swinarskiego pod tyt. „Szasa i Bogowie“. Dużą popularność zdobyła autorowi wyd. w roku 1956 komedia „Achilles i Panny“.

Ostatni szkic A. M. Swinarskiego (o Adolfie Nowaczyńskim) ukazał się w numerze z lutego „O.B.“.

z pracowitością, energią i wytrwałością w osiąganiu postawionych sobie celów sprawiły, że zdobył wielki autorytet w społeczeństwie polskim i angielskim oraz cieszył się powszechnym uznaniem i przyjaźnią. Dar perswazji i umiejętność godzenia sprzecznych interesów i poglądów, przyczyniły się do tego, że Leeds stał się jednym z najmocniejszych i najbardziej zgranych ośrodków polskich na terenie Anglii.

Ponad stu księży angielskich i polskich oraz tysięczna rzesza parafian i przyjaciół zgromadziły się przy trumnie śp. ks. Czornego w kościele i następnie na cmentarzu, a pogrzeb stał się wielką manifestacją hołdu, składanego pamięci tego wspaniałego człowieka, kapłana i żołnierza.

Lzy w oczach dzieci, młodzieży szkolnej i ludzi dorosłych świadczyły o tym, jak głęboko zostało przez nich odczute jego odejście.

Cześć Jego świetlanej pamięci!

Z. Bohusz-Szyszko

Ś.P. PROFESOR STANISŁAW GRYZIEWICZ

Zmarł w Paryżu 15 marca b.r. Stanisław Gryziewicz, wybitny ekonomista, znany działacz gospodarczy, pedagog z zamiłowania, członek szeregu instytucji naukowych: Royal Statistical Society, Academie Intern. Libre des Sciences et des Lettres, Polskie Tow. Historyczno-Literackie i in., odznaczony Franc. Legią Honorową, autor wielu prac z zakresu polityki ekonomicznej, jak: Problem Surowców w Polsce, Uwagi o gospodarczym rozwoju Polski, Zasady polityki ekonomicznej.

Młody ekonomista — po ukończeniu studiów i odbyciu służby wojskowej — poświęcił swą wiedzę i swe siły działalności na polu organizacji polskiego życia gospodarczego, szybko zapisując swe nazwisko w tej dziedzinie na jednym z pierwszych miejsc. Oto ważniejsze etapy jego pracy w okresie 1928-39: zastępca sekretarza gen. Unii Związków Spółdzielczych, radca Min. Rolnictwa, dyrektor Biura Ekonom. Związku Izb. i Organ. Rolniczych, wicedyrektor Śląskiej Izby Przem. Handlowej. Z tytułu pełnionych funkcji bierze udział jako ekspert w rokowaniach o traktaty handlowe z Niemcami i z Francją, a równocześnie pracuje na polu publicystyki gospodarczej, m. in. jako współredaktor Poradnika Spółdzielczego, później jako redaktor Śląskich Wiadomości Gospodarczych i wreszcie publikuje swe prace z zakresu polskiej polityki ekonomicznej.

Po wybuchu drugiej wojny światowej musi opuścić kraj na skutek ewakuacji na wschód śląskich instytucji i urzędów. We Francji podejmuje na zlecenie Polskiego Rządu Emigracyjnego prace dotyczące spraw gospodarczych kraju pod okupacją, a po ewakuacji Rządu do Londynu poświęca się akcji opiekuńczej Pol. Czerw. Krzyża we Francji, jako kierownik działu kulturalno-oświatowego. Na wezwanie Rządu przedostaje się w 1942 r. do Anglii, gdzie pracuje w Pol. Min. Prac Kongresowych, a w 1945 r. otrzymuje nominację na radcę handlowego Ambasady R.P. w Paryżu — niestety, bieg wypadków politycznych uniemożliwia mu objęcie tej funkcji.

Odtąd poświęca swe siły sprawie kształcenia młodzieży i studiom ekonomicznym. W okresie czteroletnim na stanowisku profesora ekonomii w Pol. University College w Londynie zdobywa miłość i wdzięczność swych licznych słuchaczy; opuszcza jednak tę placówkę, by w następnym etapie 1951-53 podjąć w Paryżu z ramienia międzynarodowych instytucji naukowych kierownictwo badań nad zagadnieniami Środkowo-Wschodniej Europy. Owocem tych studiów była m. in. znana i bardzo cenna praca zbiorowa, poświęcona analizie i ocenie położenia w kraju, wydana przez „Kulturę“ paryską pod redakcją ś.p. Gryziewicza w formie t. zw. zeszytów krajowych „Kultury“.

Po zakończeniu tego wydawnictwa, wierny swemu nowemu powołaniu — kształcenia młodzieży — wędruje do dalekiej Etiopii, by objąć tam na okres 8 lat katedrę ekonomii w University College w Addis-Abebie. Praca ta daje mu pełny sukces: uwielbienie młodzieży, uznanie kierownictwa, przyjaźń otoczenia.

Niestety, coraz bardziej słabnące zdrowie skłania ś.p. Gryziewicza do opuszczenia Etiopii i powrotu czasowego do Europy. W latach 1961-62 widzimy go znów w Paryżu. Zbrojny bogatą znajomością stosunków socjalno-ekonomicznych dużej części Afryki, poświęca się studiom nad tymi problemami w Institut d'Etudes du Developpement Economique et Social przy Uniwersytecie Paryskim.

Jednakże etiopski wychowankowie ukochanego profesora, zajmujący już wysokie stanowiska w administracji swego kraju, nie dają mu pozostać w Europie. Uproszony przez swych byłych uczniów wraca znów do Etiopii z początkiem 1963 r. na stanowisko doradcy ekonomicznego etiopskiego banku państwowego. Jest to już ostatni etap jego bogatego i jakże pracowitego życia. Zmożony bezlitosną chorobą musi po półtora rocznej pracy ponownie opuścić

Etiopię, by w Europie szukać — daremnie — ratunku. Po dłuższym pobycie w sanatoriach niemieckich przewieziony do Paryża, po kilku zaledwie dniach oddaje Bogu swą czystą duszę, oddawna przygotowany w głębokiej niezłomnej wierze do tej ostatniej wędrówki — zdala od ukochanej Polski:

Odszedł człowiek wielkich wartości intelektualnych i moralnych, będący uosobieniem prawości bez kompromisów i dobroci bez granic, pozostawiając w serdecznym żalu liczne szeregi przyjaciół w różnych stronach świata, a w najcięższej żałobie żonę, nieodłączną towarzyszkę, oddaną współpracownicę, najczulszą opiekunkę.

(g. b.)

Z ŻYCIA POLSKIEGO W ŚWIECIE

HOBART (TASMANIA)

Z inicjatywy nieżyjącego już kol. J. Przybylskiego powstała w Kole SPK nr. 7 myśl ufundowania własnego sztandaru. Sam inicjator złożył na ten cel z miejsca 5 funtów. Tak powstało specjalne „konto bankowe“. Powołano do życia komórkę do zbierania pieniędzy, a po uroczystościach 10-lecia Koła SPK w Hobart powołano do życia Komitet Sztandarowy w składzie: S. Mucha, R. Sawlewicz, J. Wasilewski, F.

Czernkowski i W. Antkiewicz — z ramienia SPK. Z ramienia innych organizacji weszli do Komitetu: prezes Związku Polaków — P. Połacik, prezes Klubu Karpatczyków — J. Urbański, prezes Klubu Polskiego — J. Malcharek, prezes Koła Kulturalno-Artystycznego — B. Burbo i przewodniczący Koła Rodzicielskiego — M. Jackie-wicz.

Dnia 13 maja 1964 rozpisano konkurs na projekt sztandaru. Do wykonania przyjęto ostatecznie projekt A. Szolomiaka, artysty z Launceston. Realizację projektu powierzono sekretarzowi Koła SPK J. Wasilewskiemu, a haftowanie sztandaru siostrze Karmelitanom w Longford na Tasmanii.

Ponieważ sztandar ufundowano wysiłkiem wszystkich Polaków postanowiono, że będzie on darem Polaków na Tasmanii dla kombatantów w Hobart. Do składu pocztowego zaproszono: M. Drelich, M. Pacię i A. Dziendziela.

Korzystając z obecności gen. Kopańskiego postanowiono połączyć uroczystość poświęcenia sztandaru z 25-leciem Brygady Karpackiej. Na zaproszenie miejscowego Koła R. S. L. sztandar polskich kombatantów wziął udział w powitaniu księcia i księżnej Gloucester. Było to pierwsze i nieoficjalne wystąpienie pocztu sztandarowego.

Uroczystość poświęcenia sztandaru odbyła się 4 kwietnia br. w kościele św. Teresy na Moonah. Rodzicami chrzestnymi byli: pani Czapska — prezeska Koła Polek i p. Połacik — prezes Związku Polaków w Hobart. Aktu



G. n. S. Kopański wręcza sztandar pocztowi. Klęczy: M. Drelich. Obok Generała J. Urbański — prezes Klubu Karpatczyków. Z tyłu gen. Kleberg — prezes Rady Polonii w Australii.

Foto: J. Malcharek

chrtu dokonał arcybiskup Tasmanii ks. dr G. Young. Po Mszy św. złożył gen. Kopański wieniec pod pomnikiem Nieznanego Żołnierza w Hobart. Hold oddali wszyscy Karpateczycy razem ze sztandarem.

Następnie odbyła się w salach Domu Polskiego uroczystość udekorowania arcybiskupa Tasmanii Komandarią Krzyża Polonia Restituta. Dekoracji dokonał gen. Kopański. Po tym akcie wbijano gwoździe pamiątkowe w drzewiec sztandaru.

Spisane z uroczystości dokumenty złożone zostały w Księdze Sztandaru, którą założył J. Wasilewski, będący duszą projektu. Przy odlewaniu głowicy do drzewca pomocnym był A. Kiernicki.

Jesteśmy dumni z posiadania na Tasmanii własnego sztandaru kombatanckiego.

Jerzy Malcharek

VIII ŚWIATOWY ZJAZD SPK W R. 1966

Prezydium Rady Głównej na zebraniu dnia 11 kwietnia br. powzięło uchwałę o zwołaniu i obesłaniu VIII Światowego Zjazdu SPK. Zjazd ten odbędzie się w okresie 20—26 maja (szczegółowa data będzie podana później) w Londynie. W tym samym okresie przewidziane są w Londynie główne uroczystości milenijne.

Prezydium Rady powołało Komitet Zjazdu oraz trzy komisje: ideowo-programową, finansowo-gospodarczą oraz statutowo-organizacyjną.

Prezydium Rady Głównej wysłuchało również sprawozdania finansowo-gospodarczego wygłoszonego przez przewodniczącego Zarządu PCA Ltd., kol. S. Soboniewskiego, który poruszył sprawę nowych inwestycji, przebudowy, podatków, kosztów wydawnictwa „O-rzeł Biały“ i wykonania zobowiązań w stosunku do gimnazjum w Les Ageux oraz Komitetu Domu Młodzieży w Londynie.

Z wykonania planu finansowego uchwalonego przez Zjazd Światowy w r. 1963 wynika, iż wydatki kapitałowe wyniosły ok. £90.000 w tym z zasobów własnych ok. £25.000, z czego na gimnazjum Les Ageux £100, Dom oo. Marianów £2000, Dom Młodzieży £4.100.

Prezydium Rady Głównej działając na podstawie upoważnienia Rady Głównej uchwaliło preliminarz budżetowy całości Stowarzyszenia na rok 1965-66 zamykający się po stronie dochodów i wydatków kwotą £30.150 w tym budżet Zarządu Głównego w wysokości £12.500.

25 ROCZNICA ZBRODNI KATYŃSKIEJ

W tym roku upływa 25 rocznica nieludzkiej zbrodni sowieckiej w lesie katyńskim na tysiącach oficerów i żołnierzy polskich. W ciągu kwietnia br. odbyły się we wszystkich krajach wolnego świata, gdzie żyją Polacy, nabożeństwa i modły za dusze ofiar przeraźliwej zbrodni Rosjan, którzy uchodzili za naszych sojuszników w wojnie z najeżdżącą hitlerowskim i do dnia dzisiejszego grają cyniczną rolę przyjaciół naszego narodu.

Warto może przy tej sposobności zanotować, iż w wywiadzie z gen. Berlingiem, zamieszczonym w nrze 5 Zachodniej Agencji Prasowej znajduje się również ustęp poświęcony Katyniowi. Na pytanie jakie wydarzenia z okresu drugiej wojny światowej pozostawiły najtrwalszy ślad w jego pamięci, Berling m.in. powiedział: „Żałobne nabożeństwo, żołnierskie pożegnanie tragicznie poległych i salut dział 1 D.P. przy mogile w lesie katyńskim“.

Kto są ci polegli, ilu ich było, z czyjej ręki zginęli i dlaczego — tego Berling nie wyjaśnił.

POLSKIE MISTRZOSTWA PIŁKARSKIE MŁODZIKÓW

Do tegorocznych mistrzostw piłkarskich młodzików w W. Brytanii zgłosiło się 25 drużyn. W tej rekordowej liczbie są kluby pozostające pod opieką Stowarzyszenia Polskich Kombatan-tów, Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży, Związku Harcerstwa oraz samdzielne.

Wymienione wyżej organizacje spotykają się z inicjatywy Związku Polskich Klubów Sportowych w W. Brytanii, działającego przy Zarządzie krajowym SPK, na konferencji mającej na celu ustalenie zasad współdziałania w dziedzinie sportu dla młodzików oraz przyjęcie terminarza imprez.

Drużyny młodzików zachowują z reguły tradycyjne nazwy polskich klubów sportowych. Oto często spotykane nazwy: Polonia, Cracovia, Wisła, Lwów, Lechia, Sokół, Wawel, Orkan, Warta, Gryf, Chrobry itp.

WIECZÓR AUTORSKI KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO

28.3. br. odbył się w Rzymie w sali przy kościele św. Stanisława wieczór autorski poety Kazimierza Wierzyńskiego. Wieczór zorganizowany staraniem specjalnie powołanego Komitetu zgromadził ponad 150 osób. Wziął w

nim także udział, wraz z innymi duchownymi, ks. biskup Władysław Rubin.

Wieczór otworzył ambasador Kazimierz Papée, a sylwetkę poety nakreślił Gustaw Herling-Grudziński.

W KILKU SŁOWACH...

W Rzymie powstał komitet uczczenia sakry biskupiej ks. Władysława Rubina. Komitet postanowił przeprowadzić zbiórkę wśród Polaków we Włoszech i przeznaczyć zebraną kwotę na cel wskazany przez ks. Biskupa tj. na Centralny Komitet Obchodu Tysiąclecia Chrtu Polski.

Pobyt gen. Kopańskiego w Australii wywołał duże zainteresowanie społeczeństwa i prasy. Na lotnisku w Sydney, gdzie lądował samolot wiozący generała, czekało 50 reporterów, fotografów i operatorów filmowych. Generał, który przybył by wziąć udział w upamiętnieniu 25 rocznicy Brygady Karpackiej, odwiedził szereg cśrodków polskich oraz uczestniczył w dorocznym święcie kombatanckim w Australii zwanym popularnie ANZAC DAY.

Prezes Zarządu Federacji SPK gen. Karol Ziemiński weźmie udział w tegorocznym XI Zjeździe krajowym SPK w Kanadzie w dniach 22—25 maja. Program pobytu prez. Ziemińskiego obejmuje także wizyty w kołach SPK: Toronto, London, Calgary, Leightbridge, Vancouver. Prezes Ziemiński uda się następnie do Stanów Zjednoczonych na zaproszenie kolegów z A.K.

Koło SPK w Adelaide Płd. Australia, pragnąc przyczynić się do uświetnienia Tysiąclecia Polski, ogłosiło konkurs dla młodzieży na opracowanie tematu „Tysiąclecie wkład Polski do dorobku cywilizacyjnego świata“.

W Londynie odbyła się 25 kwietnia uroczystość poświęcenia sztandaru Koła SPK 123 Croydon. W uroczystości wzięli udział m.in. gen. W. Anders, gen. K. Ziemiński oraz prezes S. Soboniewski.

Ukazał się nr 7 „Kombatanta Polskiego w Beneluksie“ w języku holenderskim. Na treść numeru złożył się m.in. artykuł: „Wspomnienie* o A.F.C. de Casembroot“, przyjacielu Polaków, komisarzu królowej (wojewodzie) prow. Zeeland; B. Strenka — „Churchill a Polska“; tegż autora —

„Wllem A. Maijer“ — o zasłużonym tłumaczu dzieł z literatury polskiej; szkic Willem A. Maijera o początkach i rozwoju literatury polskiej.

W dniach 10 i 11 kwietnia odbyła się w Leicester, Anglia doroczna wystawa filatelistyczna Polskiego Związku Filatelistycznego. Tematem wystawy były „Skrzydła Polskie w Prześtworzeniach“ dla uczczenia 25 rocznicy udziału lotnictwa polskiego w Battle of Britain. Otwarcia wystawy dokonał Lord Mayor miasta Leicester w towarzystwie Małżonki. Cddział miejscowy Anglo-Polish Society przyczynił się pomocą finansową do wydania katalogu wystawy. Wystawa cieszyła się dużym zainteresowaniem.

OBCHODY 20-LECIA UWOLNIENIA Z WIĘZIEŃ I OBOZÓW HITLEROWSKICH

Z inicjatywy Association of Nazi Camp Survivors powstał komitet, do którego weszły wszystkie organizacje jednoczące b. kacetowców i ofiary hitleryzmu w W. Brytanii oraz organizacje opiekuńcze, jak Sue Ryder Foundation, Ockenden Venture i wiele innych. Polski Związek b. Kacetowców w Londynie bierze czynny udział. Komitet ten organizuje w dniu 9-go maja (niedziela) obchód, którego myślą przewodnią jest połączenie się wszystkich byłych ofiar hitleryzmu i ich rodzin we wspólnej modlitwie i złożenie hołdu pomordowanym i zmarłym. O godz. 10,45 odprawione będą modły w krypcie kościoła St. Martin in the Fields przy Trafalgar Square, po czym poszczególne narodowości zgrupują się przy swych przedstawicielach i przejdą grupami do Cenotaph na Whitehall, gdzie każda grupa złoży swój wieniec. Wieniec polski ma na szarfach biało-czerwonych napis „Polish Survivors of Nazi Persecution“.

Wierzmy, że społeczeństwo polskie licznym stawieniem się złoży dowód wiernej pamięci o ofiarach.

Polski Związek b. Więźniów i Kacetowców w Londynie delegował na obchody w Niemczech b. kacetowca, p. Józefa Garlińskiego, który swymi bogatymi wrażeniami z rozmów z młodzieżą niemiecką w czasie dwutygodniowego objazdu podzielił się z nami w odczycie swym 21-go maja, g. 7.30, w Instytucie im. gen. Sikorskiego.

Obchód organizowany przez Polski Związek w Londynie odbędzie się w dniach 29 i 30 maja z następującym programem:

Sobota, 29.5 godz. 11 — otwarcie Walnego Zjazdu Kacetowców w sali „Ogniska Polskiego“ z udziałem zaproszonych gości, członków Związku i niezrzeszonych b. kacetowców. Po południu obrady Zjazdu.

Niedziela, 30.5. godz. 10 — Msza św. w Kościele św. Andrzeja Boboli, po której J. E. Ks. Biskup dr W. Rubin poświęci tablicę pamiątkową, na której wyryto, pod połączonymi znakami Polski Walczącej i Kacetowców, następujący napis: „Za Polskę Wolną i Niepodległą — Pamięci Tysiący Pomordowanych i Zmarłych w Niemieckich Więzieniach i Obozach Koncentracyjnych w 20-tą rocznicę uwolnienia — Polski Związek b. Kacetowców w Londynie“.

ZOFIA KASPRZYCKA

O OPOWIADANIACH BARBARY MĘKARSKIEJ

W ową wiosenną sobotę padał deszcz. — Tylko czytać! Spędziłam wówczas dzień ze znajomymi z nie tak dawnej przeszłości... W Bibliotece Polskiej w Londynie położono mi na stole trzy grube tomiki, zawierające zeszyty „pisma harcerek“, a później „pisma dziewcząt“. Nazwa — „Ogniwa“ — miesięcznik.

Zaczęła go redagować w r. 1949 z rozmachem i humorem utalentowana Ewa Gieratowa by, wyjeżdżając do Stanów Zjednoczonych z Londynu, przekazać je w połowie roku 1951 Barbarze Mękarskiej, która prowadziła „Ogniwa“ cztery lata (ostatni numer — lipiec 1955), utrzymując je zawsze na doskonałym poziomie treściowym i graficznym. Wydawcą pisma był Związek Harcerstwa Polskiego. Forma pisma — litografia.

Mam w pamięci ówczesną atmosferę pracy młodzieży. Pismo i drużyny harcerskie prowadziły młode istoty, które zdawały maturę w roku 1939 lub — tajną podczas wojny. Starzały się one dawać swoim młodszym wychowankom jeszcze „ciepłą polszczyznę“, w której same wzrosły: w opisie obyczaju, przyrody i ziemi, w piosenkach i wierszach. Istniały jeszcze wówczas średnie szkoły polskie, powstawały społeczne szkoły powszechne. To pismo, które zdobywało sobie szybko znaczenie w pracy harcerskiej, stało się też pożądaną pomocą w nauce w szkołach ojczystych. Dla dziewcząt starszych (od lat 16-tu) redagowała wówczas Helena Grażyńska miesięcznik „Znicz“ również wydawany przez harcerstwo. O „Zniczu“, piś-

mie wzorowym, warto by napisać kiedyś szerzej. „Znicz“ wychodził lat prawie jedenaście (1949-1961).

Patrząc na kartki „Ogniw“ ma się ochotę powiedzieć, że gdyby kto chciał poznać młodzież na wychodźstwie — w pierwszym jakby pokoleniu, jej dążenia, zamiary, porywy — niech czyta „Ogniwa“ i „Znicz“.

Jeszcze praktyczne słowo — dla pracy harcerskiej czy w klubach młodzieżowych w obu tych pismach znajdują się materiały solidnie opracowane, sprawdzone z niemalym trudem, źródłowe. Tym są ciekawsze, że w dużej mierze pracowały tu młode głowy — dla młodych. Można z tych materiałów doskonale i teraz skorzystać! Trzeba tylko przyjść do biblioteki... Nikt się na nich nie zawiedzie. Przy „Ogniwach“ wychodziła „Biblioteczka Ogniw“ (ukazały się trzy tomiki).

Rola „Basi“ — jak nazywano dawniej i dziś druhnę Mękarską — była w tym wszystkim duża, zamierzenia planowe; redaktorka umiała obmyśleć i zestawić materiał w całość przekonywującą i trafną. Oprawa graficzna była artystyczna i pomysłowa; z młodzieży wierna od początku do końca była Irena Bogdanowicz i „Narcyz“. Administrację prowadziła również młodzież harcerska — pamiętamy niezmordowaną „Ankę“ i „Jadżkę“ Chruścielównę.

W „Ogniwach“ oprócz młodzieży zamieszczali chętnie swe utwory — poważnie pierwodruki — pisarze starszego pokolenia i artyści jak: A. Bogusławski, Z. Bogdanowiczowa, profesorka: A. Jakubski, C. Jędrzejewiczowa, S. Kościakowski, L. Koczy, W. Wielhorski, K. Rouppert, dr S. Westfal, dr W. Kwiatkowski, M. Szyszko-Bohusz, Z. Kossak-Szczucka, T. Lisiewicz, M. Lisiewicz, B. Obertyńska, L. Giedroyc, druhna Olga Małkowska, K. Iranek-Osmecki. Była to bardzo ciekawa i udana współpraca dojrzałego pokolenia z młodymi.

Warto na tym miejscu przypomnieć, iż pierwsze opowiadanie Barbary Mękarskiej ukazało się w r. 1949 na łamach „Orla Białego“. Śp. redaktor Rydzard Piestrzyński, jak również śp. redaktor Władysław Pańczak z „Ostatnich Wiadomości“ skutecznie i serdecznie zachęcali młodą siłę do pracy piarskiej.

Nieco wiadomości o redaktorce i autorce. Barbara Mękarska przybyła do Londynu po wojennym pobycie w swoim rodzinnym Lwowie do r. 1945; była tam uczennicą tajnej szkoły, następnie studentką chemii na Uniwersytecie Jana Kazimierza, studia kontynuowała w Krakowie, a później w Londynie. Była też czynną i odważną harcerką w konspiracyjnych „Szarych Szeregach“.

Lwów, ta niezmiennie serdeczna „mniejsza ojczyzna“ dla wszystkich stamtąd pochodzących, był i dla Lwowianki Mękarskiej tematem wielu jej opracowań i artykułów, zamieszczanych w czasopismach polskich. W „Ostatnich Wiadomościach“ ukazał się obszerny reportaż pt. „Burza nad Lwowem“, obrazujący życie miasta pod okupacjami: sowiecką, niemiecką i znowu sowiecką; w roku 1956 otrzymuje nagrodę młodych im. śp. Władysława Pańczaka ufundowaną przez Oddziały Wartownicze w Niemczech.

W roku 1953 Barbara Mękarska objęła redakcję dodatku dla dzieci w „Dzienniku Polskim“ w Londynie. Dodatek ten ukazuje się obecnie pod tytułem „Co Tydzień Dzieciom“. W dodatku ukazują się opowiadania znanych piór na emigracji. Z opowiadań redaktorki na uwagę i przedruk, w formie osobnej całości, zasługuje dłuższa opowieść „Gospoda pod żelazną maską“.

Na małej „przeźreni życiowej“ dodatku redaktorka potrafi dać oprócz beletrystyki urozmaicony materiał (wiersze, żarty), a także poglądowo ujęty materiał historyczny polski w cyklach — albumach. Dotychczas opracowała redaktorka jedenaście tematów interesujących i pożytecznych: Na polach bitew, Budownictwo w Polsce, Na Kresach, Z biegiem Odry, Chorągwie polskie, Polskie Orły, Akademia krakowska, Monte Cassino, 50-lecie czynu Legionów, Powstanie Warszawskie, 25-lecie wojny światowej. Ilustratorami tekstów byli graficy i rysownicy: G. Legeżyński, A. Stockbridge (młody Anglik), Janina Chrzanowska. Oprócz nich w dodatku „rysują“ I. Bogdanowiczowa, I. Ludwigowa, M. Gramski. Pomysł albumów, gdzie współpracują z redaktorką dzieci jest ciekawym i pozytywnym eksperymentem pedagogicznym. Redaktorka umie zjednać do współpracy młodocianych czytelników. Co tydzień prowadzi własne „seminarium“ oświatowe, a dzieci się garną — to rozwiązują szarady, to wycinają obrázky historyczne, to robią albumy. Redaktorka odpowiada na listy, rozdaje hojne nagrody książkowe. Ze dodatków jest też pomocą naukową dla szkół ojczystych rozumie się samo przez się.

Ostatnio, w ramach „Biblioteczki Młodzieży“, wydawanej przez „Veritas“, jako tomik dziewiąty, wyszły opowiadania Mękarskiej pt. „Dar króla Jana“. Jest ich sześć, o szerokiej skali tematycznej: od fantazji o pani Twardowskiej (przyjemnie zrehabilitowanej i już na księżycu z małżonkiem) — do zdarzeń opartych na faktach historycznych z dalszej i bliższej przeszłości. „W odwiedzinach u pani Twardow-

skiej“ i „Dziwne przygody starego samochodu“ mają za punkt wyjścia polski Londyn i przypadają do gustu małym czytelnikom (wiem, że już przypadły!). Zarówno przez zgrabną lokalizację i obraz codziennego dnia dziecięcego, jak i przez dalszą pomysłowość fabuły i humor.

Cztery opowiadania historyczne przeniosą młodzież (starszą) w Średniowiecze — gawędą o uczniu Wita Stwosza („Żabka z drzewa“), następnie do siedemnastowiecznego Lwowa — „Pierścien pana Anastazego“ i „Dar króla Jana“. Ten ostatni obrazek daje żywy, zamaszty epizod z życia Sobieskiego we Lwowie, — gdzie tak chętnie przebywał — gdy król otoczony gromadą dzieciaków opowiada o wiktorii wiedeńskiej. Lwów z jego barwnością, różnorodnością osiedlenia — polskiego, ruskiego, ormiańskiego, greckiego — ożył pod piórem autorki. Plastyka obrazów, zbliżenie przeszłości, rysunek postaci — nie zawiodą Autorka czuje się w dawnych czasach swobodnie, obrázky mają pogłębienie historyczne, są udanym tworem literackim. Z trudnego zadania zrobienia miniatur autorka wywiązuje się pomyślnie i lekko.

Te same cechy wykazuje obrazek „Wizyta w Slough“ przypominająca pobyt astronoma Jana Śniadeckiego w Anglii. Tematyka łączenia Polski z zagranicą przy podkreślanu autentycznych walorów polskich, potrafi wzbudzić dumę narodową naszych małych uchodźców z drugiego (i trzeciego!) pokolenia.

Język wszystkich opowiadań jest prosty i żywy. Archaizowanie i nieco regionalizmów lwowskich udane i będą dla młodzieży zrozumiałe. Dobrze są objaśnienia trudniejszych słów i faktów historycznych.

Życzyć by należało naszej młodzieży, aby z tekstu autorskiej Barbary Mękarskiej-Kozłowskiej znowu ukazała się wiązka nowych opowiadań. Lekturę tę przeczytają z uśmiechem i starsi.

Nowoczesno-stylowy rysunek na okładce, Jadwigi Chrzanowskiej, jak zawsze — udany. Czy można mieć nadzieję, zapytamy wydawców — że następny tomik Barbary Mękarskiej uzyska ilustracje i w tekście? Dzieci ucieszyłyby się takimi portretami bohaterów opowiadań.

Zofia Kasprzycka

PO naświetleniu w poprzednich numerach „Orla Białego“ aktualnego stanu sił zbrojnych obozu „zachodniego“ oraz tych krajów komunistycznych, które są związane układem warszawskim, daję krótki opis sił zbrojnych pozostałych państw komunistycznych, t.z. Chin i ich satelitów.

CHINY. Ten najludniejszy kraj świata, którego potencjał ludnościowy jest dwukrotnie większy niż obozu sowieckiego i o 50 procent przewyższa potencjał wszystkich państw należących do NATO, posiada także najliczniejsze siły zbrojne, a w każdym razie najliczniejsze wojsko lądowe. Co nie mniej ważne, posiada nieprzebrane zasoby wyszkolonych rezerwistów, rozbudowuje swój ongiś słaby przemysł uzbrojeniowy i stoi na progu dorobienia się własnych broni atomowych i rakietowych, bo już w październiku ub.r. dokonał wybuchu stosu atomowego, zawieszono na wieży i prawdopodobnie niebawem przeprowadzi pierwszy wybuch bomby atomowej rzuconej z samolotu.

Wojsko, którego znowu zwiększony stan liczebny oceniany jest zgodnie na 2,5 do 2,7 mln., rozmieszczone jest wprawdzie we wszystkich 13 okręgach wojskowych, jednak — ze względu na ograniczone możliwości transportowe — przeważnie w pobliżu granic południowych i północnych oraz wzdłuż wybrzeża. Według jednych ocen dzieli się ono na 35 armii po 4 dywizje, według innych na 40 armii po 3-4 dywizje, składa się przeto z 130 do 140 mniej lub więcej pełnych i gotowych dywizji. Olbrzymią ich większość stanowią niezmotywowane dywizje piechoty (po 14.000 żołnierzy), bo rzekomo istnieją tylko 3 pełne dywizje pancerne i 2 spadochronowe, a ilość całkowicie lub częściowo zmotywowanych dywizji jest niewielka. Żołnierz jest bodaj tak samotywardy, ofiarny i zdyscyplinowany, jak był podczas wojny koreańskiej, a prawdopodobnie lepiej wyszkolony, bo służba aktywna trwa przeciętnie 4 lata. Roczny pobór rekruta wynosi przeciętnie 750.000 jest oparty na selekcji inteligentniejszych kandydatów i dlatego przeważnie dostarcza element miejski. Poborowi ze wsi przeważnie trafiają do milicji, której stan oceniany jest na ok. 13 milionów. Dezercje należą do rzadkości, co oczywiście jeszcze nie dowodzi, że żołnierz jest ideowy i reżimowi bezwzględnie oddany. Przecież wyostać się z Chin nie łatwo i warunki bytowania żołnierza są lepsze niż ludności cywilnej. Gorzej przedstawia się uzbrojenie i wyposażenie wojska. Przeważa uzbrojenie sowieckie starszego typu, bądź dostarczone ongiś z Rosji, bądź produkowane na miejscu, zwłaszcza w Mandżurii. Tamtejszy prze-



SZYBKO I TANIO!
Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
w k o n u j ą
ZAKŁADY GRAFICZNE
GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.
171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

Siły zbrojne Chin i ich satelitów

mysł produkuje już nie tylko wszelkie odmiany uzbrojenia piechurskiego, ale także działa polowe (do średnich włącznie), raketnice bezodrzutowe, działa ppanc. czołgi (głównie T-54) oraz lżejsze typy samolotów sowieckiego wzoru. Jego wydajność nie pokrywa jednak w niektórych działach nie tylko zapotrzebowania, ale nawet zużycia, bardzo dużego wskutek braku części zamiennych i niskiego poziomu służby warsztatowej.

Najsłabszymi stronami wojska są jednak niski stan łączności i środków transportowych oraz niedostateczne wyposażenie w artylerię samobiezną, środki przeprawowe i lotnictwo współpracy. Jak przedstawia się obrona plot., nie jest jasne. Fakt, że od czasu do czasu strąca ona „formozańskie“ samoloty rozpoznawcze „U-2“, dowodzi jedynie, że dysponuje pewną ilością rakiet plot. sowieckiego pochodzenia.

Dowódcy wyżsi są, podług oceny amerykańskiej, doświadczeni, energiczni i oddani reżymowi, ale zbyt drobiazgowi, w planowaniu sztywni i ze współpracą lotnictwa nieobeznani.

Mimo wszystkich tych braków i niedociągnięć lądowe wojsko chińskie jest groźne dla wszystkich sąsiadów kontynentalnych z tym, że w przeciwieństwie do jego dużej ruchliwości taktycznej jego dyspozycyjność operacyjna, t.z. możliwość przerzucania z jednego frontu na drugi, jest bardzo ograniczona rzadkością sieci kolejowej i drogowej oraz niedostatecznością taboru transportowego (tylko 6.000 parowozów i niewiele ponad 200.000 samochodów). Również stan sieci w strefach pogranicznych utrudnia rozwinięcie dużych mas — z wyjątkiem strefy nadmorskiej i pogranicza z Wietnamem. Na tym ostatnim, obecnie najważniejszym kierunku umożliwiłaby ona, podług oceny amerykańskiej, wprowadzenie do walki najmniej 12 dywizji w ciągu 1 miesiąca. Na razie jest ich tam pono tylko 5-6.

Lotnictwo jest daleko słabsze, choć pod względem liczebnym zajmuje trzecie miejsce w świecie, za Ameryką i Sowiecami. Jego tabor samolotowy, oceniany na 2.500 do 3.000 (razem ze sprzętem szkolnym) ma wprawdzie przeważnie odrzutowy napęd, składa się jednak w ogromnej większości ze starszych myśliwców Mig-15 i Mig-17 oraz z około 400 zbyt wolnych bombowców „Tu-4“ i „Il-28“. Nowoczesnych myśliwców typu „Mig-19“ było przed rokiem maksymalnie 80, a groźnych

„Mig-21“ tylko kilka. Co ważniejsze, znaczny procent tego sprzętu jest niezdolny do operacji wskutek braku części zamiennych i niedostatecznego poziomu personelu warsztatowego. Wyszukanie personelu latającego też musi szwankować, bo niedostateczne dostawy paliwa zmuszają do ograniczenia lotów ćwiczebnych. Tak np. w 1963 roku piloci chińscy mieli przeciętnie tylko 8 do 10 godzin latania, gdy formozańscy i japońscy mieli około 20 godzin, a amerykańscy jeszcze więcej. Ważny jest również fakt, że wytwórnie chińskie produkują na razie tylko „Mig-17“, bo do kopiowania nowocześniejszych typów sowieckich jeszcze nie są zdolne. Produkcja ta, rozpoczęta w 1956 roku, rzekomo nie przekracza 20-25 na miesiąc, a tym samym ledwo pokrywa ubytki.

Siły morskie mają wprawdzie 81.000 personelu (w tym 15.000 lotniczego), ale przedstawiają się stosunkowo bardzo skromnie. Składają się one z 4 starszych niszczycieli, 4 jeszcze starszych eskortowców, 14 fregat, 28 okrętów podwodnych, w tym 20 dostarczonych swego czasu przez Sowiety, 24 ścigaczy, 38 trałowców, 59 statków desantowych, 150 przybrzeżnych łodzi torpedowych itd. Tym samym są one wprawdzie większe od floty japońskiej czy formozańskiej, ale jakościowo im bodaj nie dorównują, zaś w stosunku do potężnej 7. floty amerykańskiej są wręcz bezsilne. Zwłaszcza, że chińskie lotnictwo morskie przedstawia się mizernie i oczywiście operować może tylko z lądu. Jedynie chińskie okręty podwodne mogłyby się dać we znaki. Zwłaszcza, że połowa z nich posiada duży zasięg operacyjny.

Flota handlowa składa się z zaledwie 219 statków o łącznym tonażu 522.000.

Bronie niekonwencjonalne. Narodowa Rada Obrony uchwaliła w styczniu nie tylko pięcioletni plan modernizacji i częściowej rozbudowy wojska, lotnictwa i obrony plot., ale także przyspieszenia produkcji broni atomowych i rakiet taktycznych i średniodystansowych, bo zrozumiała, że w razie ewentualnego starcia z Ameryką, Indiami czy Sowiecami sama przewaga liczebna nie wystarczy. Zamierzeń tych nie wolno bagatelizować. Fakt, że eksplodowany w październiku stos składał się z rzadkiego uranium 235, a nie z plutonium czy uranium 238, dowodzi, że poziom zakładów atomowych w Lanchow jest już b. wysoki. Ponieważ zaś

Chiny mają rudę uranową, masowo szkolą specjalistów, mają nadal dostęp do sowieckiego instytutu badań nuklearnych w Dubnej i posiadają już co najmniej 6 reaktorów, przeważa wśród speców i ekspertów opinia, że wcześniej dorobią się dość znacznego zapasu bomb czy głowic atomowych niż rakiet lub nowoczesnych bombowców o większym zasięgu, choć już w dwu zakładach (w Pekinie i Wuhan) budowę rakiet przygotowują. Na temat, kiedy i czy dogonią w tych dziedzinach Francję i Wielką Brytanię, zdania są oczywiście podzielone, ale bodaj przeważa opinia, że około 1970 roku mogą wyprodukować pierwszą bombę wodorową, a około 1975 dorobić się rakiet czy pocisków kierowanych o dość znacznym zasięgu. O ile nawet nie byłyby jeszcze zdolne do sprostania Ameryce czy Sowiecom, o tyle już obecnie są groźne dla wszystkich azjatyckich sąsiadów, zastraszonej od października ub.r. w dwójnasób i przeświadczonej, że one staną się wcześniej potęgą atomową, niż eksperci zachodni przewidują. W zimnej wojnie wybuch październikowy dał więc Chinom już skuteczną broń.

KOREA PÓŁNOCNA.

Ten satelita chiński ma wprawdzie wojsko niewiele słabsze niż południowo-koreańskie, a lotnictwo nawet nieco liczniejsze. Ale jest szachowany obecnością amerykańskich dywizji i eskadr w Południowej Korei. Jego flota, zawsze maleńka, nie została rozbudowana.

WIETNAM PÓŁNOCNY. Siły zbrojne sięgają 400.000 i są dowodzone przez zdobywcę b. francuskiej twierdzy Dien Bien Phu, gen.Giap. Przedstawia dla Pekinu wielką wartość militarną i propagandową. Zwłaszcza dlatego, że umożliwia mu prowadzenie walki o Południowy Wietnam i Laos „per procura“ — bez narażania samych Chin na otwarty konflikt zbrojny z Ameryką. W rzeczy samej nie tylko oddziały Pathet Lao w Laosie, ale przede wszystkim daleko liczniejsze i coraz agresywniejsze oddziały Wiet-Kong są dowodzone, zasilane, zaopatrywane z Wietnamu Północnego. Podług oceny amerykańskiego dztwa w Saigonie walczą obecnie co najmniej 22.000 żołnierzy Giapa w szeregach Wiet-Kongu i to bardzo agresywnie, ofiarnie i zrecznie, górują zdecydowanie nad żołnierzem południowo-wietnamskim, choć jest on lepiej uzbrojony i wyposażony.

Wietnamski płomień

Wojny są w dzisiejszym, skurczonym na skutek nowoczesnej techniki komunikacyjnej świecie, szczególnie zaraźliwe. Toteż zaciągający się płomień pożaru wietnamskiego przeniósł się już na inne miejsca, a w niektórych drażliwych punktach świata przynajmniej zaostriżył drzemiące konflikty.

Najbliższy geograficznie, choć nie wyglądający najgroźniej, to niespodziewany wybuch zbrojnych starć między Indiami a Pakistanem. Przyzwyczailiśmy się już, że następują one na pograniczu Kaszmiru, stanowiącego główną kość niezgody między obu krajami. Tym razem jednak chodzi o Run Kuczu, bezwartościowy niemal skrawek bagnistej terenu w pobliżu morza i z grubsza biorąc między Karaczi a Bombajem, gdzie granica nie była ściśle wytyczona. Przedmiot sporu nie wygląda poważnie, ale obie strony zmobilizowały się tam wojskowo, wymieniane są strzelaniny, wchodzi w akcję czołgi i na tle ogólniejszej, napiętej sytuacji rządy obu bezpośrednio zainteresowanych państw oraz W. Brytania, jako główna stolica Commonwealth'u, objawiają niepokój.

Dla Indii, czujących stałe zagrożenie ze strony Chińskiej Republiki Ludowej od płn.-wschodniej swojej, himalajskiej granicy, interwencja Pakistanu którego rząd zacieśnił stosunki ostatnio — po rozczarowaniach do polityki amerykańskiej — z Pekinem, wydaje się tym bardziej denerwująca. Podejrzenia, o słabego po śmierci Nehru, centralnego rządu Indii pod przewodnictwem premiera Szastri, że — po zaognieniu na tej granicy z Pakistanem — nastąpi poważniejsze zagrożenie ze strony chińskiej w Himalajach, wyglądają na uzasadnione. Pogłoski natomiast, że Run Kuczu nabrał znaczenia z powodu odkrycia tam złóż ropy naftowej, albo że Indie mają tam dokonać próbnego wybuchu swojej, przygotowywanej jakoby atomówki, są mniej przekonujące.

Cokolwiek jest ogniem tego pakistańsko-indyjskiego dymu, starcia wojskowe między siłami zbrojnymi obu państw — jak dotąd — trwają i poczucie niebezpieczeństwa się pogłębia.

PROKOMUNISTYCZNY ZAMACH W DOMINIKANIE

Prokomunistyczny zamach w Dominikanie, czyli republice, której stolicą jest San Domingo i która obejmuje wschodnią część środkowo-amerykańskiej wyspy Hispaniola, odkrytej w 1492 roku przez Kolumba, a zwanej także San Domingo i Haiti, wygląda na ognisko walk znacznie większej wagi.

Hispaniola, której zachodni obszar to republika Haiti leży na Morzu Karaibskim w bliskim sąsiedztwie Kuby i nadaje się doskonale na nową, drugą ko-

munistyczną bazę w tamtejszym rejonie. Oprócz położenia geograficznego, do przewrotów i dyktatury kwalifikuje się ten niespełna trzymilionowy kraj również z powodu swojej mieszaniny rasowej i typowo kolonialnej struktury społecznej. Od roku 1930 do 1961 rządził tam niepodzielnie gen. Trujillo, a po jego zamordowaniu doszedł do władzy prokomunistyczny przywódca Dominikańskiej Partii Rewolucyjnej, Juan Bosh. Obalony z kolei przez spisek wojskowy w 1963 roku opuścił on wyspę, a prezydenturę objął szkockiego pochodzenia proamerykański dr D. R. Cabral, przeciw któremu ostatnio zwolennicy Boscha urządzili nowy, krwawy zamach i obalili go 24 kwietnia.

W San Domingo rozpoczęły się walki zbrojne rewolucjonistów z wojskiem, które wezwało pomocy amerykańskiej. Ponadto, ambasador Stanów Zjednoczonych w Dominikanie, w obliczu przeciągających się walk i niebezpieczeństwa, na które została narażona amerykańska kolonia w San Domingo, także zwrócił się do prez. Johnsona o obronę wojskową. W rezultacie, na Hiszpanioli zaczęły lądować coraz nowe oddziały spadochroniarzy i piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych, co z kolei zaalarmowało Organizację Państw Amerykańskich oraz Radę Bezpieczeństwa ONZ, której zwołania zażądała Rosja Sowiecka.

Ze strony kół appeaserskich podnoszą się już, oczywiście, głosy, że Dominikańska Partia Rewolucyjna, to nie komuniści tylko pragnący wolności, dominikańscy patrioci, ale tę samą piosenkę śpiewano też przy obejmowaniu władzy przez Castro na Kubie. Armia Dominikany z pewnością nie występowałaby krwawo przeciw rzeczywistym rycerzom wolności swego kraju, a zaniepokojenie Waszyngtonu, że wyrasta mu pod bokiem nowa Kuba, jest zupełnie zrozumiałe. Wolno też przypuszczać, że komunistyczni przywódcy uznali silniejsze zaangażowanie się Stanów Zjednoczonych w wojnę wietnamską za porę sposobną dla nowych rewolucji na terenie Ameryki Łacińskiej.

KONFLIKT MOSKWA—WASZYNGTON POGŁĘBIA SIĘ

Zajęcie się przez Moskwę przewrotem w Dominikanie i skierowanie do ONZ sprawy amerykańskich lądowań w tym kraju dowodzi, że pogłębiający się na terenie Wietnamu konflikt jej z Waszyngtonem ma tendencję do rozszerzania się. Zamiast rozmówek przez „czer-

wony drut“ Kreml—Biały Dom czy poufnej korespondencji, jaką wymieniał Kennedy z Chruszczowem, mamy amerykańskie siły zbrojne — tymczasem jeszcze nie naprzeciw „ochotników“, ale już sowieckiego uzbrojenia i baz przeciwlotniczych w Wietnamie. Do tego doszła teraz dyplomatyczna bitwa w Radzie Bezpieczeństwa ONZ o nową Kubę w Ameryce Łacińskiej.

Wobec wojny wietnamskiej Moskwa — wbrew optymistycznym nadziejom, stawiających na spór sowiecko-chiński sowietologów — zaangażowała się bardzo daleko. Nie tylko zawarła układ o pomocy zbrojeniowej z reżymem Hanoi i rozpoczęła już instalację przeciwlotniczych baz dokoła tej stolicy płn. Wietnamu, ale zapowiedziała ewentualne wysłanie swoich „ochotników“ i skierowała kilkakrotne ostrzeżenia pod adresem Stanów Zjednoczonych, że wycofania się ich sił zbrojnych z Wietnamu jest warunkiem wstępnym doprowadzenia do pokoju. Co więcej, Moskwa przyjęła — co prasą zachodnią na ogół przemilczała — delegację „Frontu Wyzwolenia Narodowego“, działającego na terenie Wietnamu Południowego, którego armią jest Wietkong, przez co ze strony Kremla podkreślono jeszcze mocniej wolę interweniowania na terenie pld.-wschodniej Azji.

Z drugiej strony próby pośrednictwa pokojowego, wysuwane ostatnio głównie przez reprezentantów brytyjskiego rządu Wilsona, nie wróżą także powodzenia. Powzięto myśl wyzyskania w tym celu planowanej konferencji w sprawie neutralizacji Kambodży, którą inicjował pierwotnie władca tego kraju, książę Sihanuk. Po ujawnieniu jednak pomysłu zajęcia się przy tej okazji sprawą Wietnamu, inicjator zastrzegł się przeciw tego rodzaju zakulisowym intencjom i konferencja, choć reklamowana jeszcze przez niektórych w istocie straciła poważną aktualność jako mediacja wietnamska. Ostateczny cios zadała jej zerwanie stosunków przez Kambodżę ze Stanami Zjednoczonymi.

POLITYKA NASTĘPCÓW CHRUSZCZOWA

Odpowiednikiem czy raczej jednym z współczynników zmienionego układu stosunków międzynarodowych stała się nowa ekipa rządząca w Sowietach. Pojawienie się jej, po niespodziewanym dla Zachodu i stanowiącym cios dla polityki koegzystencji obaleniu Chruszczowa, wywołało w poglądach zachodniej prasy na Sowiety chaos i dezorientację. Z jednej strony stwierdzano wprawdzie

zaciąga się i rozszerza

trafnie, że zmiana będzie dotyczyła również polityki międzynarodowej, czyli nastąpi pogorszenie atmosfery między Białym Domem i Kremlem, a poprawa stosunków sowiecko-chińskich, ale z drugiej — pocieszano się, że para Breżniew—Kosygin stanowi tylko przejściową fazę walki o władzę, ułatwiającej nawet dalszy romans zachodnio-sowiecki.

W miarę utrwalania się następców Chruszczowa, zaczęto im z kolei wmawiać, że komunistów chińskich uważają oni także za swego głównego wroga i że za większą pożyczkę na inwestycje, zwłaszcza w rolnictwo, można by przecież uzyskać zerwanie osi Moskwa—Pekin. Mimo, że reakcja sowiecka na zaangażowanie się tam Rosji i pomoc jej dla tamtejszych komunistów, przekreśliło wiele nadziei, niektórzy czołowi sowietolodzy dalej propagują powyższą tezę. Zachętą główną dla zachodnich kapitalistów ma być rzekomo nowy krok w kierunku prywatnej gospodarki, którego dopatruje się — wraz z innymi sowietologami — E. Crankshaw w programie Breżniewa i Kosygina. Wyzyskanie w przemyśle sowieckim motywu zysku, według zaleceń charkowskiego profesora sowieckiej ekonomiki, Libermana, głoszącego tę doktrynę w zastosowaniu do komunizmu od roku 1959, zostało jakoby przyjęte przez obecny Kreml.

BEZPODSTAWNE RACHUBY

W artykułach swoich, także na łamach „New York Times“ (3/4, IV. br.) Crankshaw maluje obraz rozwijającej się rzekomo w kierunku równoległym do kapitalizmu gospodarki sowieckiej, obraz mający zachęcać amerykańskich przedsiębiorców do inwestowania w tę gospodarkę. Liczenie na Libermanizm i nadzieje na okupienie się komunizmowi przez pożyczki, to jeszcze jeden przykład, jak rzadko z doświadczenia i historii ludzie umieją wysnuwać wnioski i naukę. Rachuby te bowiem od czasu leninowskiego jeszcze NEP-u w latach dwudziestych wciąż powracają na Zachodzie, wciąż gorzko zawodzą, ale nie wygasają.

W rzeczywistości, wydają mi się one tym mniej podstaw posiadac wobec dzisiejszego reżymu na Kremlu. Para Breżniew—Kosygin, jak wolno już sądzić, otrzymała jako główne zadanie uporządkować ideologię i organizację partyjną po improwizacjach oraz dywagacjach Chruszczowa. Musi ona więc przede wszystkim pilnować prawomyśl-

ności doktrynalnej, szczególnie też ważnej w okresie sporu ideologicznego z Pe kinem, przecenianego na Zachodzie, ale mającego swoją wagę w komunistycznym bloku. Równocześnie następcy Chruszczowa odziedziczyli znaczne, choć w istocie chroniczne przy sowieckim systemie kłopoty gospodarcze i dla ich zażegnania z pewnością chętnie przyjeliby „kapitalistyczną“ pomoc, byle na dogodnych dla siebie warunkach. Spór Moskwy z Pekinem ma jednak tło również ekonomiczne i taką, ewentualną pomocą trzeba by się z komunistami chińskimi podzielić. Podobną możliwość wykluczają jednak z pewnością Amerykanie, co dodatkowo pomniejsza widoki „okupienia się“ przez Zachód komunizmowi i zahamowania tym sposobem jego ekspansji na pld.-wschodnią Azję.

Breżniew na ostatnim, marcowym CK partyjnym obiecał rolnictwu ogromną pomoc finansową bez powiedzenia, skąd weźmie na to pieniądze i to podnieciło, scharakteryzowane wyżej, nadzieje zachodnie. Nie należy jednak zapominać, że od obietnic, składanych pod adresem rolnictwa i dóbr konsumpcyjnych zaczyna każda nowa ekipa Kremla i z reguły ich nie spełnia, co sowieckiego ustroju jednak nie załamuje i bez nacisku od zewnątrz także teraz zapewne nie załamie.

NACJONALIZM I KOMUNIZM

Optyzmizm, dotyczący dalszej ewolucji imperium sowieckiego i komunizmu, ale oparty na innych, nie gospodarczych podstawach objawia w dalszym ciągu prezydent Francji, de Gaulle. Podobnie jak niektórzy inni nacjonalisci, głównie zresztą mniej obeznani z Rosją oraz bolszewizmem, rozróżnia on istotnie pomiędzy elementem narodowym a komunistyczno-ideologicznym w Sowietach i liczy na pomyślne rzekomo zwycięstwo tego pierwszego. Słabość takiej przesłanki polega głównie na tym, że oba te elementy zespoliły się w systemie oraz polityce sowieckiej i zamiast przeciwstawiać się sobie wspierają się nawzajem. Tradycyjny imperializm Moskwy carskiej znalazł w komunizmie doskonałe, unowocześnione narzędzie i stał się dzisiaj pseudo-religią światowej ekspansji „caratu czerwonego“.

Nie doceniając widocznie tej rzeczywistości, de Gaulle który również z przyczyn taktycznych i dla rywalizacji z Ameryką ocieplił ostatnio stosunki z Sowietami, przyjął też nazbyt gorąco w Paryżu Gromykę. Podczas jego po-

bytu wystąpił z telewizyjnym przemówieniem, rozwijającym powyższe, optymistyczne odnośnie do dalszej ewolucji komunizmu tezy.

Wyraził też w ich ramach przesadne nadzieje nawiązywania przez Francję na nowo stosunków z krajami europejskiego Wschodu, czyli naszymi, jakoby „wynurzającymi się spod przygniatających nacisków“ czyli komunistycznej niewoli. W rzeczywistości to „wynurzenie się“ jest pozorne albo w najlepszym wypadku dotyczy bardzo wąsko określonej strefy i dalekie jest od niepodległości, będącej postulatem Polski i innych sąsiadujących z nią narodów. Jako nacjonalista, de Gaulle powinien to rozumieć tym łatwiej, skoro uznaje i popiera dążenia narodów Ameryki Łacińskiej, czy ekskolonialnych ludów „czarnego ładu“.

Zdzisław Stahl

DRUGA INWAZJA SZKOCJI PRZEZ POLAKÓW

Ośrodki polskie w Szkocji przygotowują się do obchodów 25-ej rocznicy przybycia do Szkocji oddziałów polskich, co Szkoci żartobliwie nazywają „inwazją Polaków na Szkocję“. W obchodach brać będą udział i Szkoci, jako gospodarze. Większość uroczystości związanych z tą rocznicą odbędzie się w czerwcu.

Najokazalej obchody te niewątpliwie wypadną w Edynburgu, gdzie już został opracowany bogaty program. Wstępem do uroczystości była wystawa rysunków artysty-malarza Aleksandra Zywa. Na wystawie tej pokazano prace z okresu jego służby w 1. Dywizji Pancерnej podczas walk we Francji, Belgii, Holandii i Niemczech. Wystawa odbywa się w salach Instytutu Francuskiego w Edynburgu i otwarta została 29 kwietnia br. przy udziale zaproszonych gości z gen. Stanisławem Maczkiem na czele. W terminie nieco późniejszym otwarta zostanie wystawa fotograficzna, na której pokazane będą zdjęcia z pobytu polskich oddziałów w Szkocji oraz walk na kontynencie. Wystawa ta budzi duże zainteresowanie tak wśród Polaków jak i wśród Szkotów z uwagi na liczne wartościowe zdjęcia, niekiedy o dużej wartości historycznej, które już obecnie są gromadzone i segregowane.

Program uroczystości przewiduje również szereg odczytów dla Polaków i Szkotów. W odczytach tych przedstawione będą takie istotne fragmenty z pobytu Polaków w Szkocji, jak: Wy-

(Dokończenie na str. 40)

dział Lekarski na Uniwersytecie Edynburskim, Wydział Weterynaryjny, o lotnictwie polskim, o marynarce, o 1. Dywizji Panczernej itp. Przygotowany jest również odczyt o prasie żołnierskiej, który będzie zilustrowany wystawą prasową, na wzór wystawy zorganizowanej ongiś w Londynie.

Do tych uroczystości przykłada również rękę zarząd miasta Edynburga. Już dzisiaj zostało wydane polecenie urządzenia na stokach góry zamkowej (tuż obok Princes Street) dużego klombu z kwiatów, które będą tak dobrane, że będą tworzyły tarczę o polskich barwach narodowych.

Podobne uroczystości, może tylko na nieco mniejszą skalę, zostaną urządzone i w innych polskich ośrodkach, jak: Glasgow, Dundee, Falkirk, Kirkcaldy. Organizacje polskie w tych miastach będą miały znacznie łatwiejsze zadanie przy urządzeniu uroczystości, gdyż będą mogły skorzystać z wystaw urządzanych w Edynburgu. S. B.

MYŚLI PRZYDROŻNE

*Rada mądrych jest zwykle nie-
wygodna — dlatego wielu ludzi
unika jej jak ognia.*

★

*Jest rzeczą zrozumiałą, że głu-
piec, w którym nie ma żadnej głę-
bi, ceni zarówno u siebie jak u
innych przede wszystkim po-
wierzchnię.*

★

*Gładkość jest zawsze wynikiem
zrównania wszelkiej nierówności
i wybitności. Człowiek naprawdę
wybitny nie może być ani równy
ani gładki.*

★

*Głupstwo napisane głupio nie
jest niebezpieczne. Groźne nato-
miast są głupstwa napisane z ta-
lentem.*

★

*Głupiec głupcowi języka nie
utnie.*

*Każdy głupiec jest zdania, że
ludzie rozumni są mu zupełnie
niepotrzebni.*

★

*Ograniczony umysł wyżywa się
w nieograniczonych ambicjach.*

★

*Największe skupienie słabych
nie stworzy sily. Największe sku-
pienie głupców nie stworzy ro-
zumu.*

NIEŚMIERTELNA LALLA

(Dokończenie na str. 27)

W nabitych rządach, głowa przy głowie, nikt nie ludził się, że za chwilę stanie się nieszczęście, kompromitacja, wstyd.

A przecież Lalla zwyciężyła. Nie stworzyła kreacji ale i nie położyła roli. Wniosła nawet do niej nową nutę tkliwości, zrozumiałej w matczynym sercu, kochającym mimo wszystko takiego zwariowanego syna. Jej Aase zdawała się mówić „niech się świat spali byle moje dziecko znalazło szczęście“. Minęło lato, teatr w parku zabito deskami i Lalla wróciła do swojej ukochanej rewii. „Spróbowałam — zwierzyła się — ale to nie dla mnie“.

Pod koniec ubiegłego roku wyprawiło Oslo Lalli jubileusz. 50 lat nieprzerwanej, olśniewającej kariery. Były mowy, wieńce i bukiety kwiatów, prezenty, orkiestra, fraki i dekolty, bankiet z udziałem króla, wdzięczne ujęcie znalazła półwiekowa miłość i przywiązanie publiczności do swojej Lalli. Przeszedł jubileusz, a Lalla ciągle występuje. Entuzjastów jej sztuki przeraża myśl, że może powiedzieć kiedyś „żegnajcie, kochani“. Co wtedy? Oczywiście nie zapadnie się z tego powodu świat i korona norweska, ale na kartach historii rewii tego kraju będzie musiał rozpocząć się nowy, inny rozdział. Bo ten najdłuższy i najpiękniejszy zapisała Lalla Carlsen.

Jan Kunert

POPIERAJ FIRMY POLSKIE



BIURO PODRÓŻY



ANGLOPOL TRAVEL

tuż przy stacji SOUTH KENSINGTON
(róg Exhibition Road — na szlaku Daquise—Ognisko)

38, THURLOE PLACE
LONDON, S.W.7 — Tel.: KENSington 3223

WSZELKIE BILETY, SPROWADZANIE KREWNYCH, WIZY, KUPONY
BENZYNOWE, BONY HOTELOWE, WAKACJE, PRZEKAZY PIENIĘŻNE.

PRZEJAZDY SAMOCHODEM NA KONTYNENT.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab-Brzozowska-Csaky, 116 rue Joseph II, Bruxelles 4, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNI: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. w POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — wględnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

LISTY (dokończenie)

„Tygodnika“ zniknęły problemy osobiste. Wydaje mi się, że w opinii Redakcji prasa polska nie jest powołana do oczerniania czy wybielania jednostek, od tego są sądy związków, stowarzyszeń, czy ostatecznie państwowe wraz z ich aparatem apelaacyjnym. Czy to jest złe, czy dobre podejście, nie mam prawa sądzić, mogę tylko zapewnić, że przeciętny czytelnik był powyżej uszu znudzony ciągłymi się przez miesiące dyskusjami o podłożu osobistym, nie zawsze prowadzonymi w sposób kulturalny.

Pisząc o prasie wychodzącej w Australii, nie sposób pominąć periodyka „Nasza Droga“, wychodzącego w Adelaide. Pismo to mogłoby się stać poważnym wkładem do naszej rzeczywistości, gdyby nie zamulowanie do tytułów w rodzaju „W szponach czerwonego reżymu“, czy tym podobnych. Osobiście nie lubię „thrillerów“, staram się ich unikać nawet w tutejszej telewizji. Trochę więcej odpowiedzialności za drukowane opinie podniosłoby poziom tego dwutygodnika.

Ten mały przegląd z życia Polaków w Australii nie byłby kompletnym, gdyby nie wspomnieć o organizowaniu zbiorowych podróży do Polski, a ostatnio pielgrzymki pod protektoratem duchowieństwa polskiego.

Wyjazd pojedynczego człowieka w sprawach rodzinnych można jeszcze uważać za sprawę prywatną, trudno mieszać się do życia osobistego jednostek, o ile wyjeżdżający też zechce zachować się w Polsce jako osoba zupełnie prywatna. Natomiast wycieczki organizowane przez organa społeczne, może jeszcze z banderami, to w moim skromnym przekonaniu, przekreślenie naszej postawy emigracji politycznej. Nie usprawiedliwia tego nawet tak wielka rocznica jak tysiąclecie chrztu Polski. Mamy przecież nasze uroczystości Millennium w Rzymie, po cóż przedłużać trasę. Rozumiem, ciągnie nas serce, aby w tym wielkim Roku wspólnie z całym narodem, którego częścią jesteśmy, złożyć na Jasnej Górze hold największym naszym Świętościom.

Ale czy nie stokroć ważniejsze od głosu serca byłoby wyrozumowanie i z całą świadomością przyjęte ślubowanie o naszym niezłomnym postanowieniu poświęcenia wszystkich sił walce w obronie właśnie tych Świętości.

Trudno mi się oprzeć myślom, że pielgrzymka do Kraju nie przyczyni się do skonsolidowania naszych wysiłków, a raczej wbrew woli jej organizatorów odda przyszłemu tym, do walki z którymi zobowiązaliśmy się zostając poza Krajem.

Inż. Stanisław Różycki
24, Coolabah Street,
Mentone, Vic., Australia

CZY ZASŁUŻONA KRYTYKA?

Muszę stwierdzić, że szereg nazwisk autorów, których prace zamieszczane były w tygodniku „Orzeł Biały“ ożywiając pismo różnorodnością tematów znikło zupełnie z lamów miesięcznika „Orzeł Biały“.

Zignorowano zupełnie temat Bożego Narodzenia (w numerze grudniowym), który jest tak związany z życiem i tradycją polską.

Uprzedzając ewentualną odpowiedź, iż podtytuł brzmi „Miesięcznik poświęcony zagadnieniom współczesnym“ proszę sprawdzić każdy dotychczasowy numer czy tak jest istotnie.

Z poważaniem

A. Wojtyna, Londyn

Ś. † P.

Ks. Dziekan Henryk CZORNY

Proboszcz parafii w Leeds, Kawaler Orderu Virtuti Militari V klasy, odznaczony czterokrotnie Krzyżem Walecznych, Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami, członek Rady Głównej SPK oraz Koła SPK 413, prezes Koła 6 Pancernego Pułku Dzieci Lwowskich, zmarł w Leeds 12 kwietnia 1965 roku.

Pogrzeb odbył się w Leeds w dniu 20 kwietnia 1965.

O bolesnej stracie Kapłana-żołnierza, patrioty i człowieka wielkich zalet,

z a w i a d a m i a

**STOWARZYSZENIE POLSKICH
KOMBATANTÓW**

Ś. † P.

Stanisław GRYZIEWICZ

doktor ekonomii

Przed wojną: dyrektor Biura Ekonomicznego Związku Izb i Organizacji Rolniczych, wicedyrektor Śląskiej Izby Przemysłowo-Handlowej, redaktor czasopism ekonomicznych.

Na emigracji: współpracownik Polskiego Czerwonego Krzyża we Francji oraz Polskiego Ministerstwa Prac Kongresowych w Londynie; profesor ekonomii Polish University College w Londynie oraz University College w Addis Abebie; ostatnio doradca ekonomiczny Państwowego Banku Etiopii. Członek oraz współpracownik szeregu instytucji naukowych polskich, angielskich, francuskich i amerykańskich; autor wielu prac z zakresu polityki ekonomicznej; odznaczony francuską Legią Honorową.

Urodzony 7 maja 1904 roku, zmarł w Paryżu 15 marca 1965 roku opatrzony Św. Sakramentami i pochowany na cmentarzu polskim w Montmorency,

o czym zawiadamia z najgłębszym smutkiem i żalem

Ż O N A

I RODZINA W KRAJU I ZAGRANICĄ

Ś. † P.

Artur Marya SWINARSKI

Pisarz, dziennikarz, dramaturg

zmarł w Wiedniu, dnia 22 kwietnia 1965 roku.

O tej ciężkiej stracie zawiadamia

REDAKCJA „ORŁA BIAŁEGO“

KRZYŻÓWKA

Nr 571/65

ZNACZENIE WYRAZÓW

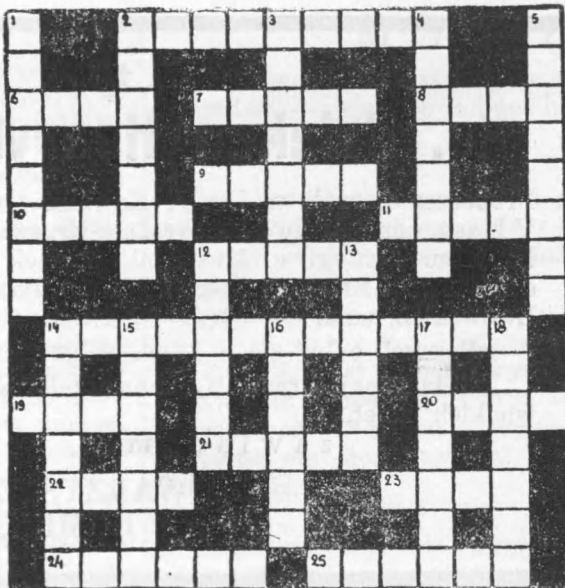
Poziome: 2) świątynia; 6) miasto Wschodu (wspak); 7) szmat, obszar; 8) czerwona i biała weszły do historii; 9) czarna śmierć; 10) i 11) przypuszczalny; 12) drobne ofiary; 14) poemat Kochanowskiego, związany głównie z wojną wschodnią (5, 2, 6); 19) boskie jest błędnym celem (wspak); 20) dodatek, który wyróżnia; 21) nie utrzymania schematu; 22) wielbi (wspak); 23) symbol Irlandii; 24) imię z tytułu książki; 25) kłopot jałdalny?

Pionowe: 1) księżniczka chińska, którą poślubić miał ten, kto rozwiąże zagadkę; 2) takie rozmowy mogą prowadzić do spisku; 3) niebezpieczny pochlebca; 4) „z przodu jak korab, z tyłu jak świątynia” (Pan Tadeusz); 5) tworzy całość z łaciną i dzieciną; 12) karetą, powóz z furmanką (wspak); 13) cechuje ludzi złośliwych; 14) „Muzykę znał, sam słyszał muzycznym talentem” (Pan Tadeusz); 15) gangrena; 16) u szewca i kozła (wspak); 17) „Na świata... pójdę wzgardzony” (Słowacki); 18) urząd kuchenny (wspak).

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 570/65

Poziome: 1) i 5) tamaryszek, 3) oko, 8) kopyto, 10) fiołki, 11) lwica, 12) Wiele hałasu o nic, 15) i 18) Sandomierz, 16) pas, 20) i 22) paliwoda, 21) czart, 25) narwany, 26) fortuna, 27) poszczególnie.

Pionowe: 1) warkot (wspak), 2) mops, 4) kozioł, 6) głaz (wspak), 7) Kmicie, 9) olcha, 10) farsa, 13) Ludwik, 14) opiewa, 15) szpetny, 16) przybysz, 17) sarkofag, 19) partacz (wspak), 23) racz, 24) król.



Czesław Halski: PADEREWSKI —
Dzieje wielkiego Polaka i wielkiego Europejczyka. Stron 100, ilustracji 8. Cena 10/6. Wydano staraniem S.P.K. i Gryf Publications Ltd. Do nabycia w Księgarni S. P. K. (20, Queens Gate Terrace, S.W.7) i w Gryfie (171, Battersea Church Rd., S.W.11) oraz w innych polskich księgarniach.

**CZYTAJ
POLSKĄ
KSIĄŻKĘ**

SZYBKIE

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

T A Z A B

KSIĘGARNIA I DOM
WYDAWNICZY



GRYF

169-171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W.11. Tel. BAT 1445

**POLECA WIELKI
WYBÓR KSIĄŻEK
POLSKICH**

Przedstawicielstwo na Wielką
Brytanię
**MIESIĘCZNIKA
KULTURA**

Administracja miesięcznika
ORZEŁ BIAŁY

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W.7.

Tel. FRE 3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100 East 10th St., N. York 3. NY.

WE FRANCJI:

PACZKI do POLSKI i ROSJI

LEKARSTWA!

LEKARSTWA!

ELKA S.A.R.L. 20 rue Legendre,
Paris 17-e.